

**ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA
DZISIEJSZEGO ŚWIATA
TOM VII**



Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata

Tom siódmy

Konwersatoria
w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
poświęcone przesłaniu Ojca św. Jana Pawła II

Pod redakcją
Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło



Szkoła Wyższa Przymierza Rodzin

Warszawa 2012

Wydawnictwo SWPR
Szkola Wyższa Przymierza Rodzin
ul. M. Grzegorzewskiej 10
02-778 Warszawa
tel.(22) 644 07 97
www.swpr.edu.pl

ZAPISU Z NAGRANIA DOKONALI:
Andrzej Skoczek, Agnieszka Żurek, Marcin Borzęcki

OKŁADKA
Marek Angiel

SKŁAD, ŁAMANIE, REDAKCJA TECHNICZNA
Joanna Łokietek

KOREKTA
Urszula Kossowska-Cezak

FOTOGRAFIE W TEKŚCIE
Waldemar Kompała, Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

DRUK
ELPIL Siedlce

Druk publikacji finansowany przez Jacka Waksmundzkiego

Wydanie I

ISBN 978-83-61140-34-4

SPIS TREŚCI

Przedmowa	7
<i>Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała, Jerzy Derkacz, Krzysztof Osman	9
<i>Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Justyna Cyran-Waksmundzka, Maria Łubowicz, Jarosław Świdzki, Paweł Wilski, Michał Grodzki ..	47
<i>Jakie są moje możliwości zwrócenia zła dobrem?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), s. Małgorzata Chmielewska, Elżbieta Strzałkowska, Elżbieta Wydra	83
<i>Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?</i> Andrzej Dowgiałło (prowadzący), Jan Wilczak, Aleksander Ciepiela ..	109
<i>Czy i jak strapiionych pocieszam?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), ks. dr Jan Sikorski, Adam Pietrzak, Maciej Syka	137
<i>Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?</i> Ks. Piotr Hartkiewicz (prowadzący), Karol i Katarzyna Wyszyńscy, Dominika Figurska i Michał Chorościński, Anna i Krzysztof Łoskotowie	171
<i>Czy słucham głosu sumienia?</i> Ks. Włodzimierz Kwieciński (prowadzący), Zofia i Sławomir Ratajcy, Alicja i Peter Węgorzewscy-Whiskerd	205
<i>Czego szukam i do czego dążę w życiu?</i> Ks. Adam Zelga (prowadzący), Teresa i Marek Stankiewicz, Anna i Maciej Srebro, Konrad Falkowski	243
Spis treści sześciu tomów „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”	267
Wydawnictwo SWPR – przegląd wydanych pozycji	273



Przedmowa

Kolejny tom oddawany do rąk czytelnika zawiera teksty ośmiu Konwersatoriów, które odbywały się regularnie w odstępach comiesięcznych w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie (ul. Grzegorzewskiej 10, na Ursynowie) w roku akademickim 2011 (w każdą trzecią sobotę miesiąca).

Inspiracją spotkań było nauczanie Ojca Świętego Jana Pawła II. Szczegółowy opis powstania idei spotkań został przedstawiony w przedmowie do pierwszego tomu.

Podobnie jak tomy poprzednie, siódmy tom „Odpowiedzi...” opiera się na osobistych świadectwach osób zapraszanych do panelu, uczestników spotkań, jak i na wypowiedziach przesyłanych drogą korespondencyjną. Wszystkim składam serdeczne podziękowania w imieniu własnym, jak i w imieniu stale rosnącego grona odbiorców tekstów Konwersatoriów na całym świecie. Uniwersalność tematów oraz żywość i autentyczność wypowiedzianych świadectw powoduje, że nie tracą one na aktualności i stale znajdują chętnych czytelników. Na końcu siódmego tomu został zamieszczony spis treści wszystkich dotychczas wydanych tomów.

Szczególne podziękowanie kieruję do ks. Adama Zelgi, który prowadzi już siedem lat nasze spotkania, jak i do księży Włodzimierza Kwiecińskiego i Piotra Hartkiewicza, którzy sporadycznie wspomagają Księdza Adama. Serdeczne Bóg zapłać.

Żmudne przepisywanie tekstów zawdzięczamy w tym roku trzem osobom: Andrzejowi Skoczkoowi, Agnieszce Żurek i Marcinowi Borzęckiemu. Korektę wszystkich tekstów Konwersatoriów, jak i złożo-

nej książki wykonała, podobnie jak i w latach poprzednich, Urszula Kossowska-Cezak. Fotografie dokumentujące Konwersatoria są autorstwa Waldemara Kompały i mojego, okładkę zaś zawdzięczamy Markowi Angielowi. Jest to nasze wspólne dzieło. Wszystkim serdecznie dziękuję.

Następny cykl spotkań zaczynamy 20 października 2012 r., jak zawsze w trzecią sobotę miesiąca. Wszystkie informacje dotyczące Konwersatoriów można znaleźć na naszej stronie internetowej: www.swpr.edu.pl, a siedem dotychczas wydanych tomów książki można nabyć drogą internetową (swpr@swpr.edu.pl), zamówieniem pocztowym lub bezpośrednio w sekretariacie Uczelni (ul. Grzegorzewskiej 10, 02-778 Warszawa, tel. 22 644-07-97).

Serdecznie zapraszam wszystkich zainteresowanych do uczestnictwa w Konwersatoriach.

Elżbieta Mycielska-Dowgiatto

Warszawa, 15 lipca 2012 r.

*Czy Jan Paweł II miał wpływ
na moją twórczość?*



Cytaty

Jan Paweł II. *List do artystów. Artysta, wizerunek Boga Stwórcy* (fragmenty). 4. IV.1999 r.

„A Bóg widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre”
(Rdz 1, 31)

Nikt nie potrafi zrozumieć lepiej niż wy, artyści, genialni twórcy piękna, czym był ów *pathos*, z jakim Bóg u świtu stworzenia przyglądał się dziełu swoich rąk. Nieskończenie wiele razy odbłask tamtego doznania pojawiał się w waszych oczach, artyści wszystkich czasów, gdy zdumieni tajemną mocą dźwięków i słów, kolorów i form, podziwialiście dzieła swego talentu, dostrzegając w nich jakby cień owego misterium stworzenia, w którym Bóg, jedyny Stwórca wszystkich rzeczy, zechciał niejako dać wam udział.

Dlatego właśnie uznałem, że te słowa z Księgi Rodzaju będą najważniejszym rozpoczęciem mojego listu do was. Czuję się z wami związany doświadczeniami z odległej przeszłości, które pozostawiły niezatarty ślad w moim życiu. Tym listem pragnę włączyć się w nurt owocnego dialogu Kościoła z artystami, który w ciągu dwóch tysięcy lat historii nigdy nie został przerwany, a na progu trzeciego tysiąclecia nadal ma przed sobą rozległe perspektywy.

Rzeczywistym motywem tego dialogu nie są jedynie okoliczności historyczne czy względy funkcjonalne: jest on zakorzeniony w samej istocie doświadczenia religijnego i twórczości artystycznej. Pierwsza stronica Biblii ukazuje nam Boga jako poniekąd pierwowzór każdej osoby, która tworzy jakieś dzieło: w człowieku twórcy znajduje odzwierciedlenie Jego wizerunek Stwórcy. Tę więc ukazuje szczególnie wyraźnie język polski dzięki pokrewieństwu między słowami stwórcza i twórca.

Jaka jest różnica między „stwórcą” a „twórcą”? Ten, kto stwarza, daje samo istnienie, wydobywa coś z nicości – *ex nihilo sui et subiecti*, jak mówi się po łacinie – i ten ściśle określony sposób działania jest właściwy wyłącznie Wszechmogącemu. Twórca natomiast wykorzystuje coś, co już istnieje i czemu on nadaje formę i znaczenie. Taki spo-

sób działania jest właściwy człowiekowi jako obrazowi Boga. Biblia bowiem stwierdza, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę „na swój obraz” (por. Rdz 1,27), po czym dodaje, że powierzył im misję panowania nad ziemią (por. Rdz 1,28). Było to w ostatnim dniu stworzenia (por. Rdz 1, 28-31). W ciągu poprzednich dni Jahwe stwarzał wszechświat jak gdyby w rytmie kosmicznej ewolucji. Na końcu stworzył człowieka jako najdoskonalszy owoc swego zamysłu. Jemu to poddał widzialny świat niczym ogromne pole, na którym może wyrażać swoje twórcze zdolności.

Bóg powołał zatem człowieka do istnienia, powierzając mu zadanie bycia twórcą. W „twórczości artystycznej” człowiek bardziej niż w jakikolwiek inny sposób objawia się jako „obraz Boży” i wypełnia to zadanie przede wszystkim kształtując wspaniałą „materię” własnego człowieczeństwa, a z kolei także sprawując twórczą władzę nad otaczającym go światem. Boski Artysta, okazując artyście ludzkiemu łaskawą wyrozumiałość, użycza mu iskry swej transcendentnej mądrości i powołuje go do udziału w swej twórczej mocy. Udział ten nie umniejsza oczywiście nieskończonego dystansu między Stwórcą a stworzeniem, na co zwracał uwagę kardynał Nicola Cusano: „Sztuka twórcza, którą człowiek ma szczęście gościć w duszy, nie jest tożsama ze sztuką w znaczeniu istotowym, czyli z Bogiem, ale jest jedynie sposobem jej przekazywania i udziałem w niej”.

Dlatego artysta, im lepiej uświadamia sobie swój „dar”, tym bardziej skłonny jest patrzeć na samego siebie i na całe stworzenie oczyma zdolnymi do kontemplacji i do wdzięczności, wznosząc do Boga hymn uwielbienia. Tylko w ten sposób może do końca zrozumieć samego siebie, swoje powołanie i misję.

Nie wszyscy są powołani, aby być artystami w ścisłym sensie tego słowa. Jednak według Księgi Rodzaju, zadaniem każdego człowieka jest być twórcą własnego życia: człowiek ma uczynić z niego arcydzieło sztuki.

KONWERSATORIUM XLIX

(16 października 2011)

Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), Małgorzata Ajnenkel (tkaczka artystyczna), Andrzej Horubała (pisarz, krytyk literacki, producent i reżyser telewizyjny), Jerzy Derkacz (artysta plastyk, animator sztuki na Ursynowie), Krzysztof Osman (lekarz medycyny sportowej, poeta, fotografik), który nie mogąc być obecny, przesłał swoją wypowiedź.

Ks. Adam Zelga

Każdy z nas wyrasta z Ziemi, ale dotyka tego, co niewidzialne, gdzieś ukryte. Artysta to, co „ukryte”, ma wydobyć, byśmy zobaczyli to, czego nie dostrzegamy, gdy chodzimy po Ziemi, a nie mamy zmysłu artystycznego. Abyśmy mogli dotknąć tego, co niewidzialne.

Dramat artysty polega na tym, że jest on uczestnikiem jednego i drugiego, człowiekiem pośrodku, człowiekiem pogranicza. To, co na granicy, jest zawsze ciekawe, bywa dramatyczne. Zaryzykuję tezę, że artysta zbliża się tu do teologa. Różnica między nimi polega na spojrzeniu. Teolog patrzy ze strony „niewidzialnego” – objawionego na panoramę tego, co widzialne, artysta zaś czyni odwrotnie. Z tej naszej szarej Ziemi stara się dostrzec to, co jest wysoko, żeby nadać temu sens.

Bardzo serdecznie witam pana Jerzego Derkacza, który jest znanym plastykiem ursynowskim, z wieloma sukcesami na swoim koncie, panią Małgorzatę Ajnenkel, która, gdy ma wolny czas, zajmuje się twórczością artystyczną – robi gobeliny. Muszę się pochwalić, że jedna z wystaw pani Małgorzaty była w naszej parafii i zrobiło się anielsko, ponieważ była to wystawa „aniołów miesięcy”. Gobeliny były przepiękne. Podziwiam wielką pani cierpliwość, żeby to piękno wydobyć z kawałka płótna i za pomocą igły,



Paneliści: od lewej Jerzy Derkacz, Małgorzata Ajnenkel, Andrzej Horubała i ks. Adam Zelga

nici... Pozdrawiam Andrzeja Horubałę, znanego reżysera, krytyka literackiego, pisarza, który w swojej twórczości lubi prowokować, o czym pewnie się dziś przekonamy.

Niestety nie ma wśród nas pana Krzysztofa Osmana, który jest lekarzem medycyny sportowej, poetą i fotografikiem. Musiał pilnie wyjechać na spotkanie lekarzy odpowiedzialnych za polskich olimpijczyków, ale przekazał mi swoje świadectwo, które odczytam.

Krzysztof Osman

W życiu każdego człowieka są różne etapy. Co jakiś czas pojawiają się wydarzenia szczególnie ważne. Mogą one zmienić stosunek do rzeczywistości, przemodelować życie.

Wraz z doświadczeniem, z wiekiem pojawia się większa wrażliwość. W młodości jest to wrażliwość intuicyjna.

„Chwilo trwaj wiecznie
Nie potrzebuję cię chwytać
Wystarczy tylko być”

Później pojawia się refleksja. Z zewnątrz wchodzimy w siebie. Mniej reagujemy na intensywne kolory. Unikamy efektów stroboskopowych (występujących przy ruchu w pulsującym oświetleniu; przyp. red.). Jest to moment, w którym pojawia się inne zaciekawienie. Wchodzimy w nie niepewnie. W dzieciństwie jesteśmy otoczeni opieką rodziców. Wiele rzeczy odbywa się automatycznie i nie zwraca się na nie uwagi. Tak było, gdy żył Jan Paweł II. Czułem dumę. Słuchałem innego języka niż wcześniej. Utwierdziłem się w słuszności wielu zasad wyniesionych z domu. Rzeczywistość nie zawsze je akceptowała.

Czułem dumę, opiekę, chłonałem mądrość, dobro, ciepło. Było to wszystko tak cudownie proste, oczywiste i obecne. Nawet tragiczne wydarzenia na placu watykańskim odebrałem jako niezeczywiste. Nie, to nie może być koniec. Za wcześnie. Na pewno nie teraz. Następne lata z pogarszającym się stale stanem zdrowia Papieża wzbudzały litość i zrozumienie. Tym bardziej, że sam zachorowałem na raka. Byłem operowany. Z bólem zapoznałem się blisko i niespodziewanie.



Ks. Adam Zelga odczytuje świadectwo Krzysztofa Osmana

WŁADCA TRUDNYCH CHWIL

We wszystkich kątach czai się
 Pełźnie. Oblepia. W dzień i w nocy
 Siedząc na poręczy łóżka.
 Śmieje się szyderczo. Bezgłośnie. Bezzębnie.
 Wie, że nie przejdzie nikt obok.
 Jego czas jest – zawsze.
 Kiedy cię schwycki. Wciąga powoli.
 Metodycznie, rozchodząc się po wszystkich komórkach
 By utkwic w wyjąłym mózgu
 Wijesz się bezsilny
 Nie obchodzi cię nic
 Jest tylko On i TY – Bez szans.
 Wbity w łóżko. Spocony. Stłamszony.
 Sponiewierany. Bez ludzkich uczuć.
 Jeżeli nikt ci nie pomoże.
 Wielkie słowo – CZŁOWIEK
 Jest śmieszne i nie ma żadnego sensu
 Odejdzie kiedy zechce...
 Ból.

Jan Paweł II, pomimo swojej wielkości, stał mi się jeszcze bliższy. Bliski namacalnie, jak ból, stres, cierpienie, szpitalne zapachy, tragedie innych ludzi. Ale prawdziwym wstrząsem była śmierć. To, co wydawało się niemożliwe, stało się faktem.

OKNO

Otwarte okno...
 Dusza uleciała
 Z umęczonego, cierpiącego ciała.
 Pozostały słowa i myśli wykute.
 W sercach miłujących...
 I kosmiczny smutek.

(3 kwietnia 2005 roku)

Z początku bardzo teatralny. Tysiące zniczy na ulicach Warszawy. Uroczystości pogrzebowe w Rzymie. Śpiewy chórów. Wielkie misterium. Smutne, godne, ogromne, niewyobrażalne. Kiedy zamknęła się księga na trumnie, symbolicznie, w ostatnich podmuchach watykańskiego wiatru, wiedziałem, że to już nieodwracalne.

OSTATNIA ARKA

Modlitwy i pieśni płynęły nad place
Nad wieże kościołów, nad rzymskie pałace
I jak arka ruszyła, trumna drewniana
Wśród dymów kadzideł. Na spotkanie Pana.

Las flag się pochylił, a miliony ludzi
Wielu zadziwionych, że ich Papież zbudził
W bólu się złączyły, a trumna drewniana
Wśród pieśni ruszyła. Na spotkanie Pana.

Skrzydła Ewangelii niosły ją do góry.
Gdzie promienie słoneczne, kolorowe chmury
Gdzie chóry anielskie. Skromna łódź drewniana
Jana Pawła z Polski. Poniosła do Pana.

(8 kwietnia 2005 roku, godz. 12.30)

Upłynęło sporo czasu, jak po stracie bliskiej osoby. Nie chciałem o tym myśleć. Potem szła refleksja – przecież odszedł do Pana. Nie cierpi. Spogląda z góry. Uśmiecha się. Przecież to nie kara. To nagroda za godne, wspaniałe, twórcze życie.

OKNO II

Z niebieskiego okna na ziemię spogląda
Ze swym uśmiechem pięknym, jak Gioconda.
Z twarzą dobrotliwą. Nareszcie bez bólu.
Na pewno szczęśliwy. Z Bogiem...
Jak Król Królów.

(8 kwietnia 2005 roku)

Pytanie panelu – czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość? Jeżeli moje działania można górnolotnie nazwać twórczością, to odpowiedzcie sobie państwo sami. Lubię patrzeć w niebo. Na koniec proponuję skierować tam wzrok.

TWARZ II

Muśliny chmur rozgania wiatr
Z tęczyowych kropli ich promieni,
Spływa na ziemię tamta twarz,
Która już nigdy się nie zmienia.

Kiedy się śmiejesz, płaczesz, łkasz.
Na skraju lata, lub jesieni.
Latawcem płynie tamta twarz.
Która się nigdy już nie zmienia.

Choć niewidzialna. Zawsze – Jest.
Wielka zagadka w środku bytu.
Dobra, życzliwa, piękna twarz.
W każdej godzinie. Aż do świtu.

W oczy spoglądasz. Kryniczna toń.
W lustro codziennie. Od sybarytów.
Czy jeden grymas, rys tamtej masz?
Nie masz... Patrz w niebo.
Czekaj Świtu.

Post scriptum. Ostatnia refleksja bardzo ogólna.

RÓŻNE SĄ ...

Są wernisaże i szpitalne łóżka.
Różne minuty i długie godziny.
Wichry. Powodzie. Piękne jabłka w sadzie.
Wszystko ma swoje skutki i przyczyny.

Jest serca bicie i cisza bez granic.
 Pierwszy krzyk dziecka i prześmieszne miny.
 Twarz matki w zmarszczkach, w siwej aureoli.
 Wszystko ma swoje skutki i przyczyny.

Różne są gwiazdy i różne księżyce.
 Różne są kosze, malwy, Balladyny.
 Światła w kroplach rosy, słońce o zachodzie.
 Wszystko ma swoje skutki i przyczyny.

Ktoś pędzel prowadzi po płótna fakturze.
 W domy wkłada dusze i dymy w kominy.
 I zawsze będzie jak zrobić rozkaże.
 Wszystko ma swoje skutki i przyczyny.

Ks. Adam Zelga

Tyle pan Krzysztof w bardzo pięknej, nastrojowej twórczości-poetyckiej. W ostatnim wierszu wezwał nas, aby oddać głos również tym, którzy pracują nie tylko słowem.

Jerzy Derkacz

Nawiążę do słów, które powiedział ksiądz Adam, że artysta to jest człowiek pogranicza.

Kiedy robiłem wystawę w „Galerii na emporach” u św. Tomasa Apostoła na Ursynowie pt. „Między ziemią a niebem”, to sformułowałem to nieco inaczej. Tam gdzie Ziemia styka się z Niebem, tam wkracza artysta. Tak jak powiedział ks. Adam, jest to strefa jakby niczyja, jest miejscem do zagospodarowania przez artystę. I artyści korzystają z tej przestrzeni wiedzeni różną inspiracją, różnymi tematami.

Czy Ojciec Święty miał wpływ na moją twórczość?

Kiedy 2 czerwca 1979 roku na Placu Zwycięstwa padły z ust Jana Pawła II słowa: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi”, mało kto wiedział, że wraz z tymi słowami padła pierwsza kropla wody, która zaczęła rozsadzać skałę. Podobnie jest z artystą, któremu potrzebna jest inspiracja lub – jak kto woli – natchnienie.

Przytoczone przeze mnie słowa Ojca Świętego trwały we mnie aż 26 lat. Otwarcie na zobrazowanie tych słów nastąpiło tuż



Jerzy Derkacz

po odejściu Jana Pawła II w dniu 2 kwietnia 2005 roku. Wystawa „Kalendarium pontyfikatu Jana Pawła II w sztuce”, mimo że tworzona była z udziałem wielu artystów plastyków, tak naprawdę miała jednego Twórcę – Jana Pawła II.

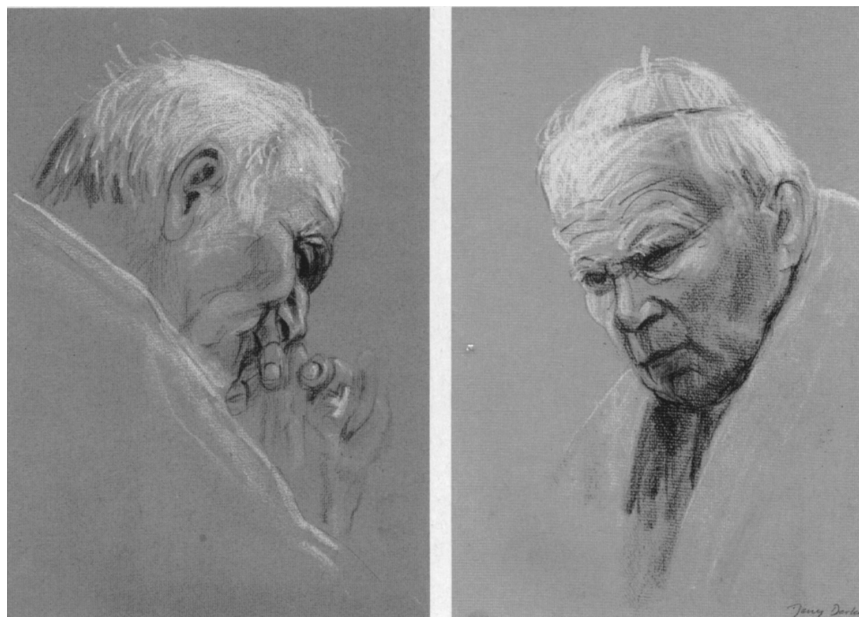
To kalendarium dokonań Jana Pawła II, powiększone do formatu sztandaru, było na wystawie w kościele św. Tomasza Apostoła („Galeria na emporach”) dziełem najważniejszym. Kalendarium pontyfikatu stało się również inspiracją dla zaproszonych przeze mnie artystów do stworzenia dzieł plastycznych podkreślających datę, zdarzenie lub myśl wyrażoną przez Ojca Świętego.

Moja instalacja „Niech zstąpi Duch Twój...” pokazuje cztery rolki trawy, rozwijane niczym dywan, który zasłania szarą rzeczywistość. Kolor życia, jaki pojawia się wraz z datą 1979, niesie nam wszystkim nową wartość – Wolność.

W 2007 roku przystąpiłem do realizacji cyklu rysunków portretowych poświęconych Janowi Pawłowi II, ograniczając liczbę kolorów pasteli do trzech (czern, biel, szarość). Chciałem pokazać twarz Człowieka modlitwy, skupienia, a zarazem tak przyjazną dla wszystkich, którzy kierowali wzrok ku Niemu.



„Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi – tej ziemi”, Jerzy Derkacz (instalacja, 1979)



Z cyklu Homo Viator, Jerzy Derkacz (pastel)

Cykl 25 pasteli pokazywał również twarz Papieża, która fizycznie się zmieniała, ale duchowo była coraz bogatsza. Tworząc ten cykl, chciałem za pomocą kilku kresek pasteli skierować uwagę widza na ten fragment twarzy Ojca Świętego, który będzie przemawiać, emanować i podkreślać wszystkie cechy osoby portretowanej. Pokazanie tego cyklu w kalendarzu na rok 2009, wydanym przez wydawnictwo „Adam”, uzmysłowiło nam wszystkim, czym jest przemijanie. Jak szybko zmienia się karty w kalendarzu i jak szybko upłynęło nam te 27 lat pontyfikatu Jana Pawła II.

Przygotowując się w 2008 roku do dużej indywidualnej wystawy „Droga” w moim rodzinnym Zamościu, nie zapomniałem też o drodze, jaką przeszedł Karol Wojtyła jako kapłan. Cykl „Cztery kolory” pokazuje w sposób uproszczony kolory czterech sutann, które w różnych latach nosił Karol Wojtyła. Wytłoczone daty, które odcisnęły się tak bardzo w życiu nie tylko tego Kapłana, ale również w nas wszystkich, pokazują drogę, którą kroczył Kapłan (1946-1958), Biskup (1958-1967), Kardynał (1967-1978), Papież (1978-2005).

Na 25 listopada 2011 roku w „Galerii na emporach” przygotowuję wraz z zaproszonymi artystami plastykami dużą wystawę „Ojciec”. Wiele prac będzie poświęconych tak bliskiemu nam wszystkim Ojcu Świętemu – Błogosławionemu Janowi Pawłowi II. Na otwarcie tej wystawy w dniu 25 listopada, o godz. 16.30 już dzisiaj zapraszam w imieniu organizatorów: Parafii św. Tomasza Apostoła i Urzędu Dzielnicy Ursynów m.st. Warszawy.

Czy artysta może mieć pragnienie związane z osobą Jana Pawła II? Ja takie miałem. Chciałem zaprojektować tzw. Ołtarz Papieski, na którym Jan Paweł II sprawowałby Ofiarę Eucharystyczną. W części spełniły się moje marzenie. Byłem projektantem i odpowiedzialnym za realizację strony technicznej ołtarza przygotowanego na spotkanie Ojca Świętego z pracownikami LOT-u w dniu 13 czerwca 1999 roku. Zbudowanie „Ołtarza Papieskiego” w ciągu 12 godzin było wyzwaniem, które udało mi się wraz z innymi ludźmi zrealizować. Biały puf, na którym wówczas siedział Jan Paweł II, jest dzisiaj w moim domu cenną pamiątką, a jednocześnie relikwią drugiego stopnia.

Małgorzata Ajnenkel

Występuję w trochę nietypowej roli. Czy Ojciec Święty miał wpływ na moją twórczość? Kiedy ksiądz Adam Zelga zaproponował mi udział w tym Konwersatorium, pomyślałam, że trudno odpowiedzieć wprost na takie pytanie. Po pierwsze, sama twórczość to pojęcie skomplikowane, tajemnicze, a psychologia twórczości na wiele pytań jeszcze nie odpowiedziała. Szczególnie chyba w sztukach plastycznych częściej można mówić o wpływie jakiegoś Mistrza na warsztat artysty, ale jak się ma do tego Ojciec Święty i Jego nauka? Jednak w miarę zastanawiania się nad tym wszystko zaczęło mi się składać w miarę spójną całość.

Najpierw kilka słów o mnie. Z wykształcenia jestem psychologiem, ale po paru latach praktyki, z różnych powodów, zajęłam się tkactwem artystycznym i to stało się moim drugim zawodem. Zrobiłam kilka wystaw, a potem, już chyba ponad 10 lat temu, zaczęła się moja przygoda z aniołami, które, z mniejszym lub większym nałożeniem, tkam nadal.



Jerzy Derkacz i Małgorzata Ajnenkel

Wracając do Ojca Świętego, to prócz Jego wizerunku w mediach, śledzenia wizyt czy czytania niektórych tekstów, miałam z Nim jakby „bliższy” kontakt. Otóż mam zaprzyjaźnioną panią, której życie było silnie związane z Janem Pawłem II. Jeszcze jako biskup uczestniczył w jej ślubie w Krakowie, potem miała u Niego kilka audiencji, w tym indywidualnych, jedną nawet kiedy Ojciec Święty był już bardzo chory. Prawie przy każdym spotkaniu z nią rozmawialiśmy o Nim, o Jego charyzmie, nieprzeciętnej osobowości i ciepłe, jakie wytwarzał, oraz o jej doświadczeniach religijnych z tym związanych.

Ja też, może bezwiednie, czerpałam z tego, jakoś to się we mnie osadzało i pamiętam kilka snów z papieżem, szczególnie jeden, taki wyrazisty, „ojcowski”, który przyniósł mi uspokojenie i który do dziś sobie przypominam w trudnych chwilach.

Problemem chyba każdego artysty jest tzw. niemoc twórcza, która czasem go ogarnia, szczególnie po zakończeniu jakiegoś etapu, po wystawie. Pojawia się wówczas pytanie „co dalej?”. Czy zmienić kierunek, tematykę, nawet środki wyrazu? Często pojawia się pustka, bezsilność, nawet depresja. Po mojej kolejnej wystawie też zastanawiałam się, co dalej?

Moja sztuka ma charakter dekoracyjno-użytkowy, „przyjazny” dla domu, to przeważnie motywy ze świata przyrody. Nigdy nie zajmowałam się tematyką religijną, uważałam, że wymaga niezwykłego warsztatu, a zalew „kiczu sakralnego” tylko mnie denerwował. Ale pamiętam moment, kiedy zdecydowałam się na tkanie Aniołów. Było w tym naprawdę coś metafizycznego, jakby olśnienie znane w psychologii, poczułam, że muszę zrobić właśnie Anioła (a było to jeszcze przed modą na Anioły, których jest teraz mnóstwo, co zresztą mnie cieszy, choć to konkurencja).

Nie traktowałam tego tematu jako ściśle religijny, zresztą różni ludzie kupują anioły z różnych powodów, ale od początku miałam poczucie, że to taki dobry motyw, dający dużo radości i spokoju podczas pracy. I tak zaczęło się wielkie krążenie Aniołów. Zrobiłam z nimi kilka wystaw i śmieję się, że przed każdym Bożym Narodzeniem same się „wystawiają”, bo nie wiadomo jakimi drogami nagle ktoś do mnie dzwoni z propozycją czy prośbą o wystawę – tak już było trzy razy. Kiedy próbuję zacząć inną, nową tematykę, znów pojawiają się zamówienia na Anioły i wiążą mnie ze sobą. A ja naprawdę czuję, że z każdym Aniołem darowanym czy sprze-

danym dają trochę dobrej energii, dodają do nich przeważnie jakąś wierszowaną, osobistą dedykację i prośbę, żeby się serdecznie zajęły nowym podopiecznym. Ale najciekawsza jest odpowiedź moich Aniołów, bo wiele osób twierdzi, że naprawdę „działają” i jest to dla mnie dodatkowa, niezwykle cenna gratyfikacja. Sama zresztą podczas przygotowań do ich dużej wystawy przeżyłam dwie katastrofy zdrowotne i wyszłam z nich cało, może też nieprzypadkowo.

CAMBRIEL, ANIOŁ STYCZNIA

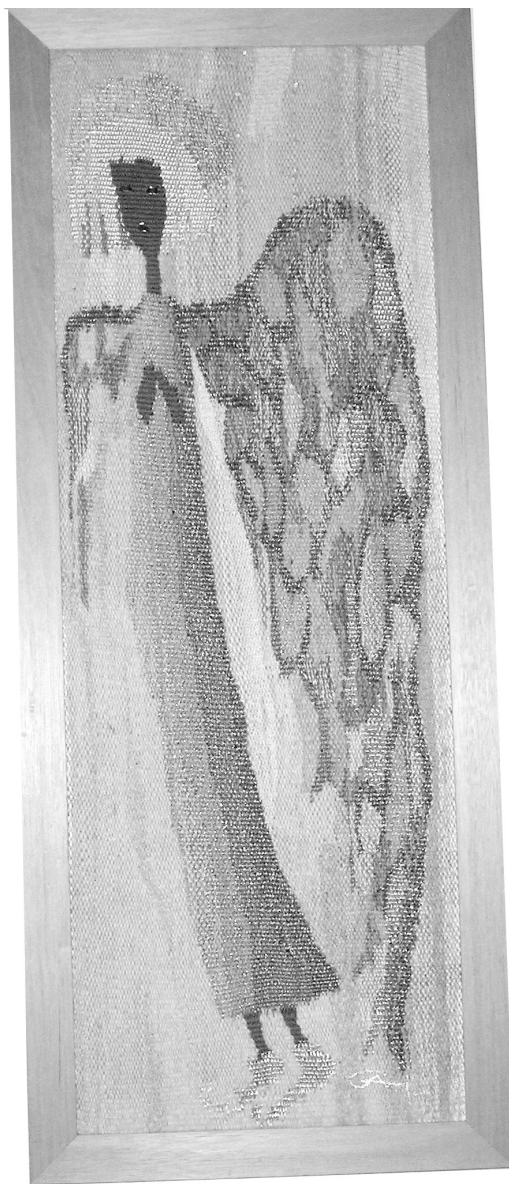
*Cambriel, choć spracowany,
wciąż w ruchu i w biegu,
w wolnych chwilach żongluje
gwiazdkami ze śniegu,
lecz gdy którąś upuści, biada jej,
oj biada,
topi się i na ziemię tłą anielską
spada.*

ANIOŁ STRÓŻ

Dla wszystkich Czytelników z serdecznymi życzeniami anielskiej opieki – M. Ajnenkel

Jak to teraz powiązać z wpływem Ojca Świętego?

Jego przekaz można sprowadzić do najprostszych zasad: miłości bliźniego, współczucia, pomocy i dzielenia się dobrem z drugim człowiekiem. Tym, z różnym skutkiem, staram się kierować także w pracy. Same Anioły to także przekaz symboliczny: łączności



Anioł stycznia



Anioł Stróż

z Bogiem, opieki, dobrej energii, otwarcia na drugą istotę, harmonizowania i zbawienia świata. A znane i opisywane są od czasów pogańskich.

Ważna jest też dla mnie osoba Papieża jako twórcy, bo nieobce Mu były zmagania w twórczym procesie, jak i radość związana z tworzeniem i skończeniem dzieła. Wspomina właśnie o tym w liście do artystów. I rzeczywiście, nie do opisania jest uczucie po wytworzeniu nawet najmniejszej rzeczy czy idei, która z nas wypływa, jest emanacją naszej osobowości, częścią nas samych.

I jeszcze istotna rzecz. Twórczość to nie tylko sam akt tworzenia, ale stała motywacja, samodyscyplina, pewien rodzaj determinacji, by się pokazać publicznie, wystawić na krytykę, to konsekwencja i wiara w to, co się robi. Tego też uczył Jan Paweł II całym

swoim życiem, ale szczególnie swoją postawą podczas choroby i przed śmiercią. To widzieliśmy wszyscy i często to wspominam w chwilach zniechęcenia.

Konkludując, mogę więc powiedzieć, że Ojciec Święty podarował mi skrzydła.

A na koniec kilka rymów.

OJCIEC ŚWIĘTY
czyli
„Kto mi dał skrzydła?”

On dodawał mi skrzydeł (są małe i duże),
abym mogła wyruszać w powietrzne podróże.

Wiele par do wyboru: stabilne i kruche,
te z szorstkimi lotkami lub pokryte puchem.

Gdy przypinam tęczowe, błyszczące i gładkie,
często lot, co ciekawe, kończy się upadkiem.

Za to te niepozorne, matowe i szare,
dużo dłużej mnie niosą nad ziemskim obszarem.

Więc próbuję kolejnych, aż trafię na takie,
co powiodą mnie prosto Aniołowym Szlakiem.

Andrzej Horubała

Czy Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość?

Zakładam, że skoro zadano mi takie pytanie, to występuję przed państwem jako twórca anonimowy, który w skrócie ma opowiedzieć o swoich dokonaniach z zaznaczeniem obecności czy inspiracji papieskich.

Jestem autorem monodramu „Mono”, trzech powieści – „Farciarz”, „Umoczeni” i „Przesilenie” oraz zbioru szkiców krytyczno-literackich „Marzenie o chuliganie”. Jestem twórcą telewizyjnym mającym na koncie wiele programów rozrywkowych, publicystycznych i dokumentalnych. Ostatnio reżyserowałem i produko-

wałem program Janka Pospieszalskiego „Warto rozmawiać”, a tworzyłem także dokumenty, takie jak „Rodowody niepokornych” oraz „System 09”. Obecnie co tydzień zasilam tygodnik „Uważam Rze” swoimi szkicami krytycznymi.

Moja debiutancka powieść „Farciarz”, pisana na przełomie roku 2001 i 2002, była zogniskowana wokół organizacji uroczystości pogrzebowych Jana Pawła II i cała była poświęcona analizie relacji między bohaterem, młodym japiszonem specjalizującym się w wielkich widowiskach rozrywkowych, a Papieżem Polakiem. Książka obrazoburcza, prowokacyjna, na szczęście została właściwie zrozumiana przez młode pokolenie czytelników, bo oto dwudziestoparoletni krytyk związany z krakowskim kwartalnikiem „Pressje” – Adam Leszkiewicz trafnie opisał ją jako opowieść o zadufanym grzeszniku, który lepszą, szczęśliwszą część swego życia zawdzięcza właśnie Papieżowi...

„Debiutancka powieść Andrzeja Horubały – stwierdza krytyk – to specyficzny rachunek sumienia, którego główny bohater powieści – w pewnym stopniu *alter ego* autora – dokonuje nie tylko w swoim, lecz także w imieniu wszystkich katolików działających w przestrzeni publicznej. Kontekstem tego rachunku sumienia jest pontyfikat Jana Pawła II, a pretekstem nieuchronnie zbliżająca się śmierć Papieża. (...) Papież okazuje się kimś nieskończenie wyraźnym ponad urazy, roszczenia, a także podziękowania szeregowego katolika, który, miotając się od sarkazmu do hołdowniczych postaw wobec ciężającej na jego życiu postaci Jana Pawła II, na koniec potrafi jedynie powiedzieć: „Ojciec, miałeś rację”.

Zatem w sensie jak najbardziej dosłownym Jan Paweł II miał wpływ na moją twórczość.

Czy dotyczy to także następnych powieści? Są one dość mocno osadzone w otaczającej mnie rzeczywistości, akcja jednej z nich toczy się między innymi w kaplicy i zakrystii parafii błogosławionego Edmunda Bojanowskiego, bohater ostatniej mojej książki ociera się o krąg rodziców, których dzieci chodzą do Szkoły Przymierza Rodzin.

I w obu powieściach oczywiście Papież: jego osoba, jego nauczanie są obecne. Nie tak silnie jak w „Farciarzu”, gdzie bohater rozmawia z Janem Pawłem II, gdzie odbywa imaginacyjną wyprawę wakacyjną gdzieś na Mazury, gdzie razem z nim pływa nocą



Andrzej Horubała

po jeziorze, dyskutując o etyce seksualnej, wreszcie uczestniczy w audiencji i próbuje protestować przeciw wesołej pop-kulturowej ewangelizacji, jaką prowadzi Papa Wojtyła...

Ale przecież całe nasze pokolenie to pokolenie JP2.

Czy Papież jest obecny w mojej twórczości krytycznej?

Oczywiście.

Gdy zerknąłem na indeks osobowy moich recenzji, zauważyłem, że postać Jana Pawła II przewija się tam bardzo często, zazwyczaj pełniąc rolę ostatecznego autorytetu, czy to w kwestiach interpretacji historii (na przykład jego homilia z Placu Zwycięstwa) czy spraw moralnych lub politycznych...

W szkicu o Andrzeju Kijowskim opowiadając o jego zbiorze „Tropy”, relacjonuję, jak Papież nauczył inteligentów wielkości, jak czyścił ich z gombrowiczowskiego gestu kpiny i groteski, autoironii i autoszyderstwa, które są widomym znakiem mentalności niewolników...

A i w ramach swojej aktywności telewizyjnej w dokumencie „Rodowody niepokornych” ukazałem wpływ Jana Pawła II na współczesną historię Polski i odzyskanie niepodległości. O Papieżu – gwiazdzie pop-kultury, który nawet z umierania po-

trafił zrobić telewizyjny show, opowiadałem w dokumencie „System 09” ... Jest więc Papież obecny w bardzo wielu moich wypowiedziach, czasem pełniąc rolę centralną, czasem poboczną.

Skoro nasze spotkanie ma być jednak czymś więcej niż opowieścią o nieznanym państwu dziełach, odniosę się do tekstu, który został zaproponowany jako inspiracja do naszego zgromadzenia. Jest to jednocześnie skrótowy pokaz mojej aktywności krytycznej, jak też projekt wielkiej pracy, jaka stoi przed nami i młodszymi pokoleniami. Pracy nad dziełem Jana Pawła II.

Gdy czyta się „List do artystów”, nie sposób nie dostrzec, jak bardzo nauczanie Papieża jest warunkowane przez czas i korzenie Karola Wojtyły. Przez jego osobiste doświadczenie, wzrastanie w naszej narodowej wspólnoty, wreszcie przez czas, w jakim tworzył, a także literackie i myślowe wpływy, jakim ulegał. Cóż widzimy bowiem, gdy przeczytamy krytycznie jego posłanie do artystów?

Uderzy nas fakt, że opinie Papieża wypływają z jakiegoś niesamowicie rozhukanego kultu talentu i artysty, kultu, który – powiedzmy otwarcie – jest sprzeczny z przekazem ewangelicznym. Gdy Papież pisze: „Kto dostrzeże w sobie tę Bożą iskrę, którą jest powołanie artystyczne – powołanie poety, pisarza, malarza, rzeźbiarza, architekta, muzyka, aktora... – odkrywa zarazem pewną powinność: nie można zmarnować tego talentu, ale trzeba go rozwijać, ażeby nim służyć bliźniemu i całej ludzkości” – to przecież jest to niezgodne z hierarchią wartości, jaką niesie Dobra Nowina.

Przywołajmy historię znanej aktorki, która nie chciała poddać się aborcji i w związku z tym została wyrzucona z eksperymentalnego teatru genialnego reżysera. Przywołajmy postać artysty, który odmówił przejścia na stronę transgresji, odmówił udziału w eksperymentach, które na pewno – pozostaną przy sztuce aktorskiej – doprowadziłyby jego talent do rozkwitu.

Czy te postawy uwzględnia Papież w swoim liście? Czy nie należy zbyt pochopnie wynosić na ołtarze talent?

A sytuacje przeciwne, jakże częste: gdy człowiek staje się egoistyczną bestią i rujnuje własną rodzinę zogniskowany na rozwoju swego talentu... Czyż „List do artystów” nie stanie się zbyt łatwym rozgrzeszeniem takich postaw? (We wczesnym Kościele aktorzy przechodzący na stronę Pana porzucali grzeszny zawód i byli

wspomagani finansowo przez wspólnotę...). Kult talentu, jaki narzuca współczesność, a za współczesnością mimowolnie promuje Papież, wydaje się być czymś bardzo niebezpiecznym.

W mojej działalności krytycznej staram się na własny użytek zastępować słowo „talent” wyrazem „smykałka”, by nie padać placikiem przed kimś, kto jest obdarzony zdolnościami manualnymi albo ładnie składa słowa. Cóż, że ktoś wrażliwy jest na dźwięki, barwy, nastroje? Czy dlatego ma być naszym przewodnikiem i mistrzem? Owszem, scena, gdy papież Juliusz II po ujrzeniu Kaplicy Sykstyńskiej klęka przez Michałem Aniołem, jest bardzo wzruszająca, ale przecież zwodnicza.

Tak jak zwodnicze są radości z pozyskania – zazwyczaj na moment, chwilę – jakiegoś artysty pop, który akurat zmęczony, na kacu, na detoksie, nagle postanawia złożyć świadectwo w kościele, że wierzy i ogólnie Jezus jest OK.

Powinniśmy ufać Jezusowi i jego nauce, a nie celebrytom. Nie celebrytom, czy nawet artystom: obdarowanie kogoś smykałką nie jest namaszczeniem na kapłana czy proroka.

I jeszcze: kto się modli śpiewem, dwa razy się modli. Otóż, wcale nie jestem tego taki pewien, chyba że wejdziemy w jakieś licytacje i zgodzimy się ze stwierdzeniem: kto milczy, modli się stokrotnie. Muzyka otwiera nas na przeżycie estetyczne, czasem ekstazy. I wspólne śpiewy, rozmiłowanie nawet w pięknie dostojnego chorału gregoriańskiego wcale nie musi odnosić się do Boga...

W „Liście do artystów” jest wiele stwierdzeń, które najwyraźniej mają ująć tytułowych adresatów i skłonić do szacunku wobec Kościoła i Papieża, ale przecież z punktu widzenia zdrowego rozsądku uzbrojonego w wiedzę teologiczną są one zwyczajnie nieprawdziwe. Stwierdzenie Dostojewskiego, pozytywnie przywołane przez Papieża, że „piękno zbawi świat”, to przecież egzaltowana herezja. O ile się nie mylę, świat zbawił Jezus Chrystus i Bóg, a nie artysta, choćby najzdolniejszy, jest Zbawicielem i Stworzycielem świata.

Pisze Jan Paweł II, odnosząc się do sztuki współczesnej: „Nawet wówczas gdy artysta zanurza się w najmroczniejszych otchłaniach duszy lub opisuje najbardziej wstrząsające przejawy zła, staje się w pewien sposób wyrazicielem powszechnego oczekiwania

na odkupienie”. To już jest myślenie życzeniowe i świadectwo niedostrzegania całych obszarów sztuki, głównie tej związanej z transgresją, przekroczeniem norm, które naprawdę nie dadzą się potraktować jako powszechne oczekiwanie zbawienia... Chyba że uznamy inicjacje demoniczne za oczekiwanie na odkupienie.

Papież głoszący autonomię sztuki wobec Kościoła na pewno cieszy postępowych publicystów, ale wyłączenie tej sfery aktywności spod moralnego czy religijnego osądu jest po prostu kapitulacją.

Nie bez powodu szatan zyskał imię Lucyfera. Zgoda, wiem, że stało się to w związku z błędem tłumaczenia księgi Izajasza, błędem obciążającym tak drogiego mi świętego Hieronima. Ale tradycja, choć oparta na fałszu, przekazuje nam bardzo mocny przekaz: niosący światło, ktoś olśniewający, może być zwodzicielem, może być księciem tego świata, może być złem.

Papież, który współuczestniczy w nadymaniu rozdętego ego artystów, nie walczy z tym niebezpieczeństwem. Domyślam się, że czyni to powodowany szlachetnymi pobudkami, że liczy na siłę swej perswazji.

I, będąc dzieckiem epoki, a także przywołując własne uniesienia z młodości związane czy to z Teatrem Rapsodycznym, czy z uprawianiem poezji, daję się uwieść temu światu, wywyższając sztukę, która powinna być tylko służebnicą Ewangelii. Widzimy, jak wzrastanie w oparach polskiej poezji romantycznej – Norwida i Mickiewicza modeluje myśl Papieża, czasem zresztą prowadząc na manowce.

O, tak z pewnością dyskutowałbym z Janem Pawłem II o jego „Liście do artystów” – liście, w którym nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw, na jakie naraża nas kult sztuki.

Przecież to, co dawał nam Jan Paweł II i jego obecność wśród nas, to nie teoretyczna podbudowa, nie inspiracje artystyczne, ale pytanie moralne, pytanie o to, co przynosimy na spotkania z nim. Wielkie rekolekcje odbywające się z okazji papieskich pielgrzymek, wielkie towarzyszenie mu w jego wysiłku to było to właściwe przesłanie do artystów, do ludzi kultury. Diagnozy, które stawiał Jan Paweł II, nie do końca orientujący się w rozwoju sztuki współczesnej, były niczym wobec świadectwa jego trwania, były niczym wobec pytania, jakie zadawał swoją intensywną obecnością.

Zakończę więc, przywołując finał mojej debiutanckiej powieści:

„Drzwi się otwierają, gdzieś w głębi widzę w fotelu malutką postać Jana Pawła II, Karola Wojtyły, Ojca. Przygarbiony wygląda jak święty Antoni Pustelnik z madryckiego „Kuszenia” Hieronima Boscha. Przykurczony, słabowity staruszek. Poprawia sobie drżącą lewą rękę. Szklanym spojrzeniem omiata podłogę. Słabowity, drobnutki – nic już prawie nie zostało z krzepkiego faceta, który wygrał wojnę z komuną.

Nie jest silnym gniewnym starcem à la Chomeini, nie ma godności wysuszonego ascety, to już staruszek rządzony przez niekontrolowane skurcze mięśni, delikatna, więdnąca roślinka. Malutkie ludzkie zawiniątko. Budzący litość kłębuszek.

A z góry nadlatują potężne ptasie maszkarony i szybują, szyderczo kracząc, żeby go wgnieść w rozpacz bezdenną, pokazując triumf i moc zła. Lecą ptaki z dziobami jak kutasy, smoki z dupami zamiast pysków, zakonnicy ze świńskimi ryjami – wcielenia banalnego do bólu zła, które niszczy ziemię. Wielkie myszy z obwisłymi pierściami, chudzi księża spleceni w miłosnych nieprzystojnych uściskach z siostrami zakonnymi – rozplenione zło, które nie krępuje się już własnym występkiem. W wielkiej psiej czaszce podróżuje tłum śliniących się kapłanów-pedofilów z chichoczącymi nieletnimi ofiarami, które najwyraźniej polubiły igraszki z katechetami. Sunie uczony w drucianych okularkach z wielką księgą pod pachą i dupczy jakiegoś osła. Całe brutalne, nieskrępowane w swym zepsuciu zło świata, któremu intelektualści dają coraz większe przyzwolenie, lata pod sklepieniem sali audiencyjnej. Obślizgła ryba o pysku przypominającym rozchylającego się do akcji penisa wyłania się spoza chmur. Triumf zła, rozpasanego, przybranego niedbale w szatki nowoczesności zdaje się niepodważalny: „Umrzesz, staruszkule, już niedługo, a my szybko posprzątam po Tobie i przyzwolimy na wszystko!”

Ale oto gdzieś z boku z odsieczą lecą hufce anielskie. Przezroczyste, malowane niepewną kreską, jakże eteryczne i ulotne w porównaniu ze światem zła! Zaraz zetną się z szatanami. A wśród tych niebieskich wysłańców, ledwie widocznych na ciemnym tle, jakby były tylko szkicem, widzę też moje anioły stróże, te wymodlone przez Małgosię. Lecą na odsiecz papieżowi. Lecą na odsiecz mnie”.

Dyskusja

Iwona Waksmundzka

Nie mogę pochwalić się takim dorobkiem twórczym jak moi przedmówcy, niemniej chciałam powiedzieć kilka słów o tworzeniu w zakresie słowa, które czasem jest mi darowane, i wpływie na to Jana Pawła II. Czasem tworzy się we mnie taka refleksja poetycka, której nie powinnam zatrzymać dla siebie, a którą chcę się podzielić z innymi.

Pierwsze, co hamuje moje wyjście do innych z wypowiedzią, to lęk przed tym, czy nie brakuje mi pokory i odpowiedzialności za to, co tworzę. Boję się, czy nie jest to pycha twórcy, o której mówił pan Andrzej Horubała. Mam nadzieję, że słowo, które wychodzi ze mnie, może być dla kogoś dobrem albo niepokojem, ale nie złem, czego bardzo bym nie chciała.



Iwona Waksmundzka

Zawsze widzę obraz papieża Jana Pawła II, albo wcześniej Karola Wojtyły, kiedy każda jego wypowiedź, czego mogliśmy do-

świadczą, czy z obrazów naocznych czy z biografii, była poprzedzona bardzo długą refleksją, modlitwą i medytacją, zanim on przekazywał je szerszemu gronu ludzi, zwłaszcza w czasie pielgrzymek. Myślę, że chodziło o ogromną pokorę, którą on miał w sobie – sam jako twórca – oraz odpowiedzialność jako duszpasterz, zwracający się do milionów.

Kiedy, jakiś czas temu, ukazała się recenzja mojego tomiku w kraju objętym konfliktem wojennym, ogarnął mnie ogromny niepokój, bo wypowiedź wskazywała na to, że można ją zakwalifikować jako moją opinię o jednej stronie konfliktu. Powstała obawa, że mogę być zrozumiana jako przeciwnik drugiej strony. To spowodowało mój ogromny lęk, bo tak wcale nie było. Nie mogłam się opowiedzieć ani po jednej, ani po drugiej stronie. Po prostu zrodziła się ogólna refleksja na temat zła wojny, zła przemocy i bezradności tych, którzy są krzywdzeni. Tak było w tym wypadku.

Wtedy przyszedł mi na myśl obraz Jana Pawła II i jego pielgrzymki do Ziemi Świętej, kiedy oczekiwano jego wypowiedzi w bazylice Grobu Pańskiego. Każda oczekująca grupa wyznaniowa chciała usłyszeć potwierdzenie swoich racji. A papież, zanim odpowiedział wszystkim, zaczął modlić się w skupieniu i chyba wyciszył obie strony tą swoją głęboką medytacją. Dlatego zawsze jest mi wzorem.

Kiedy powstaje coś nowego, to największą radością dla twórcy jest to, jeżeli jego słowo wychodzi i wraca, ale z dobrym owocem. Widać, że było komuś potrzebne i przyniosło albo światło, albo nadzieję, albo przynajmniej odrobinę radości, ale nie poczucie gniewu, niepokoju czy rozedrgania.

Tworzenie to – jak mówił mój przedmówca – ogromna odpowiedzialność, żeby nie ulegać uludom, czy to jest moje piękno, czy piękno Stwórcy, które się we mnie odbija. Myślenie takie może być nasycone egoizmem i brakiem pokory. Ale tak wcale nie musi być, jeśli ma się świadomość, że zostało ono darowane po coś.

Myślę, że w każdej dziedzinie sztuki, nie tylko w słowie można znajdować odbicie piękna Stwórcy, a więc piękna pierwotnego, przy ogromnej pokorze i odpowiedzialności za to, co się pokazuje i co się robi. Niestety, trudno jest nazwać emanacją piękna niektóre dzieła sztuki. Mam tu na myśli np. dramaty noblistki Elfriede

Jelinek, w których trudno jest dopatrzeć się tradycyjnie rozumianego piękna. Ale jest też mnóstwo dzieł, stworzonych przez innych twórców, które tym pięknem emanują.

Aby nie mówić za dużo, chciałam zakończyć słowami o pięknie Cypriana Norwida: „Bo piękno na to jest, by zachwycało do pracy – praca, by się zmartwychwstało.”

Waldemar Niemotko (zamieszkały w Australii)

Książka, która w pewnym sensie zmieniła moje życie, nosi tytuł „Pamięć i tożsamość”. W ten sposób Papież Jan Paweł II wpłynął na moje wieloletnie już działania w obronie polskiej historii i polskiej tożsamości.

W środowisku anglosaskim najnowsza historia Polski jest na ogół źle pojmowana i często wręcz fałszywie interpretowana. Tradycyjne polskie wartości wymagają niejednokrotnie obrony.

Kiedyś uczestniczyłem w spotkaniu poświęconym dialogowi międzyreligijnemu pod przewodnictwem rabina Raymonda Apple, w sali zebrań dużej synagogi w Sydney. Podczas dyskusji poprosiłem o ocenę treści artykułu z bieżącego numeru gazety „Au-



Waldemar Niemotko, obok siedzi Krystyna Niemotko

stralian Jewish News” na temat sposobu obchodzenia wspomnień o ofiarach Holokaustu na terenie niemieckich obozów koncentracyjnych w Auschwitz i na Majdanku. Wówczas nieoczekiwanie rabin Brian Fox z Manchesteru w Anglii zaindagował rabina Apple, kim jest zadający pytanie. Zorientowawszy się, kim jestem, zawołał dramatycznym głosem: „To jest Polak. Polska była i jest źródłem najbardziej zacieklego antysemityzmu”.

Inny przykład dotyczy pryczy obozowej i kilkunastu drobnych rekwizytów wypożyczonych z Muzeum na Majdanku dla potrzeb żydowskiej ekspozycji w Sydney. Po upływie terminu wypożyczenia, eksponaty nie zostały dotychczas zwrócone, mimo upływu wielu lat.

Ostatnio uczestnicząc w Polsce w różnych spotkaniach, miałem sposobność poznania osób, którym bliska jest idea utrwalania polskiej tożsamości. W szczególności chodzi o położenie kresu rozkradaniu dóbr polskiej kultury i przeinaczaniu polskiej tożsamości. Entuzjaści są jednak na ogół osobami rozproszonymi i niezorganizowanymi. Teraz w wolnej Polsce powinniśmy w sposób bardziej stanowczy przekazywać młodemu pokoleniu prawdę o naszej najnowszej historii, z której mamy prawo być dumni. Czy temu celowi służy jednak wzmianka we współczesnym podręczniku szkolnym określająca jako czyn zbrodniczy wydanie rozkazu o wybuchu Powstania Warszawskiego? Dlaczego tak, jak nawołuje brytyjski historyk Norman Davies, Polacy nie chcą poświęcić więcej uwagi pogłębianiu znajomości własnej wspaniałej historii?

Elżbieta Pierścionek

Chciałam podziękować księdzu Adamowi, że mnie zaprosił na Konwersatorium, mówiąc, że jest to spotkanie twórców. W ten sposób nobilitował moje dzieło, tomik moich wierszy.

W czerwcu, kiedy była uroczystość dziesięciolecia Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin i poświęcenie sztandaru, ksiądz Adam dał mi zadanie napisania czegoś nawiązującego do tematu. Wczoraj w Dniu Nauczyciela napisałam wiersz, który chciałabym zadedykować pani Rektor z wielką wdzięcznością za Konwersatoria.



Elżbieta Pierścionek (z mikrofonem)

W SWOJEJ SKALI

Był jednym z nas
– Jan Paweł II Papież
Syn narodu najpierwszy
Sługa Boży korny
Najpoddańszy, najmniejszy.

Od nas był
Pani Jasnogórskiej cały
Bez lęku oddany
Ukochanej Matki syn umiłowany.

Z naszych był
Pilny uczeń i światły profesor
Sprzymierzony z Bogiem, rodziną i szkołą
Młodych szukał,
W nich przyjaciół odnalazł,
Zjazdy światowe zwoływał
Do życia w prawdzie, młodzież przekonywał.

Dla nas był
 – Mąż Opatrznościowy
 Mecenas nauki, kultury i sztuki
 Pasjonat pracy twórczej
 Orędownik godności
 Człowiek modlitwy i słowa
 Swoim żywym przykładem
 Boga nam przybliżył
 – jak Hostię – na dłoni podał.

Karol Wojtyła, niespożyty młodzieniec
 Z podkrakowskich Wadowic,
 Piewca życia
 Patron nad patrony
 Ojciec Święty na Watykanie
 Dziś w randze – Błogosławiony!

Czy w swojej skali jesteś
 Choć trochę jak On?

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

W podanych do bieżącego Konwersatorium cytatach było jedno bardzo ważne zdanie, że właściwie każdy z nas jest twórcą, mimo że nie mamy talentów takich lub innych, ponieważ kształtujemy swoje życie. I jesteśmy twórcami tego, co przez całe życie tworzymy i jesteśmy za to odpowiedzialni.

Ks. Adam Zelga

Wydaje się, że w cytowanej definicji artysty Papieżowi chodziło o udział talentu w tej pasji, którą ma Bóg, a nie w tej pasji, którą ma Książę tego świata. Czy „piękno” satanistyczne może być piękne? Piękno głoszone przez Księcia tego świata, jakie niesie światło? To, co powiedział Pan Andrzej, powinno zwrócić bardziej wnikliwie naszą uwagę, nasze czuwanie na to właśnie rozróżnianie piękna.



Ks. Adam Zelga i paneliści

Czy piękno jest obojętne moralnie? Według Dostojewskiego czy Norwida – nie. Jest dane, aby zbawiało. Po to, aby człowiek zmartwychwstawał. Nie jestem na tyle naturą filozoficzną, żeby wchodzić w takie rozważania, ale usłyszana refleksja nad „Listem do artystów” niech służy nam, aby zastanawiać się, czy piękno, które nas zachwyca, rzeczywiście zbliża do tej pasji, którą ma Pan Bóg, czyli zbawia, czy przeciwnie, tę pasję gasi.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nasze Konwersatoria są od początku poświęcone tematom, które Ojciec Święty poruszał. Potem rozszerzyły się również na zagadnienia niepodjęwane przez Ojca Świętego. Stale jednak czujemy Jego opiekę nad naszymi Konserwatoriami.

Chcę natomiast powiedzieć o powstaniu tego pomysłu. Skąd on się zrodził?

W czasie śmierci Ojca Świętego prowadziłam dwa seminaria – seminarium magisterskie na Uniwersytecie i seminarium licen-

cyjnie tutaj w Szkole Wyższej Przymierza Rodzin. Na tych seminariach były omawiane prace magisterskie i licencjackie. Nie wiedziałam, jaki jest światopogląd moich studentów, choć nie ukrywałam swoich przekonań.

Oba te seminaria upamiętniły mi się z tego względu, że wszyscy studenci, bez wyjątku, umawiali się i ustalali, kto z kim ma pojechać do Rzymu na uroczystości pogrzebowe. To było niezwykle dla mnie, że w tych dwóch środowiskach, zupełnie niezależnych, ta sprawa tak wyraźnie zaistniała. Postanowiłam coś z tym zrobić. I wtedy zaczęliśmy rozmawiać z obecnym tu księdzem Adamem Zelgą i utkaliśmy taką formułę – już siódmy rok trwającą „intrygę” – Konwersatoria.

Krystyna Niemotko

Od wielu lat mieszkam w Sydney w Australii. Chciałabym serdecznie podziękować Pani Rektor Elżbiecie Mycielskiej-Dowgiałło za bardzo interesujące teksty z Konwersatoriów. Dla nas w Sydney jest to wielka radość, gdy otrzymujemy kolejne zbiory „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”.



Krystyna Niemotko, pierwsza od lewej

Jako koncertująca pianistka i pedagog mam z racji swego zawodu liczne grono znajomych wśród Australijczyków, także z młodszego pokolenia. Organizujemy spotkania, na których prowadzimy dyskusję między innymi na tematy poruszone na Konwersatoriach. W ten sposób do kręgu pojęć świata anglosaskiego wnika duch słowiański i to nas bardzo cieszy.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nasze spisywane teksty, rozsyłane drogą mailową do ponad 500 osób w kraju i za granicą, w rzeczywistości docierają do znacznie większej liczby osób, bo, jak często mi piszą moi odbiorcy, przysłane teksty oni rozsyłają dalej. Poszczególne tomy książki „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”, dzięki finansowemu wsparciu pana Jacka Waksmundzkiego, też rozchodzą się szeroko.

Trzeba powiedzieć, że zawdzięczamy to całemu zespołowi ludzi dobrej woli, którzy podjęli się spisywania nagrywanych wypowiedzi i ich redagowania.

Rozmawiałam wielokrotnie z członkami Zarządu Klubu Inteligencji Katolickiej, gdzie są organizowane bardzo ciekawe spotkania i pytałam się, dlaczego nie są one nagrywane i spisywane, a tylko zamieszczane są krótkie streszczenia w biuletynie Klubu. Słyszałam odpowiedź: „No, bo nie ma ludzi, którzy włożyliby swój trud, żeby spisać nagrane spotkania”.

W tym miejscu zatem chciałabym serdecznie podziękować wszystkim tym, którzy w różny sposób przyczyniają się do tego, że słowa przekazywane na naszych spotkaniach nie giną, lecz rozchodzą się szeroko po całym świecie.

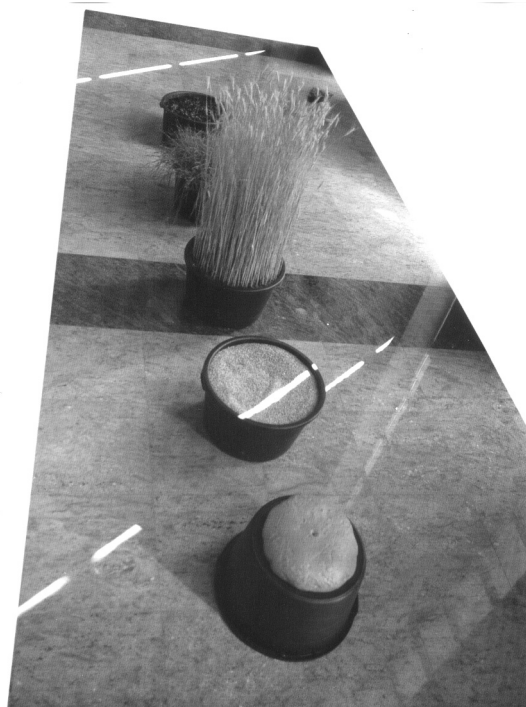
Irena Moraczewska-Derkacz

Ojciec Święty Jan Paweł II był dla mnie, jest i zawsze będzie wielkim człowiekiem.

Chciałabym krótko powiedzieć o swojej instalacji, którą kiedyś zrobiłam na wystawę w kościele św. Tomasza Apostoła. Instalacja moja „...przecież to, co siejesz, nie ożyje, jeśli wprzód nie obumrze” pokazuje pewną cykliczność procesu obumierania. Składa się z pięciu kadzi. Pierwsza to ziemia z wysianym ziarnem; druga to zboże, które wykiełkowało; trzecia to zboże z dorodnymi kłosami; czwarta kadź to plon wydany – ziarno; piąta kadź ustawio-



Irena Moraczewska-Derkacz



Irena Moraczewska-Derkacz *Instalacja*

na jest w formie stołu z położonym na niej chlebem. Powstał on z obumarłych ziaren, które wydały plon.

„...przecież to co siejesz, nie ożyje, jeśli wprzód nie obumrze”,

Jaki był tego sens?



Słuchacze konwersatorium



Paneliści i słuchacze

Nawiążę do swego odczucia, kiedy odszedł od nas Jan Paweł II i kiedy wszyscy płakali i był ogólnoświatowy płacz – ja wtedy nie potrafiłam płakać. Pomyślałam: chodźmy wszyscy i bądźmy jak najbliżej, idźmy do kościoła, bądźmy blisko siebie, blisko Jana Pawła II. On od nas nie odszedł. Jest z nami cały czas. On będzie zawsze z nami. I to, co się dzieje u nas w naszym kraju, to zło, które jest, zamieni się w dobro, właśnie za sprawą Jana Pawła II – wierzę w to głęboko.

Ks. Adam Zelga

Ta wypowiedź niech będzie podsumowaniem naszego Konwersatorium. Bardzo Państwu dziękuję.

Spisał z nagrania Andrzej Skoczek

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną



Jerzy Engel (Warszawa) – zamiast świadectwa:
Ojciec Święty Jan Paweł II błogosławi Orła Białego na koszulce polskich zawodników.



*Wyznawane wartości i ich realizacja
w moim codziennym życiu*



Cytaty

Zbigniew Kaliszuk, *Kościół nie powinien mieszać się do polityki?* (fragment)

Polityka nie obejmuje tylko zagadnień dotyczących gospodarki, infrastruktury, stosunków międzynarodowych czy bezpieczeństwa, ale poprzez nią rozstrzyga się wiele kwestii dotyczących moralności, czy wręcz życia ludzkiego (aborcja, in vitro). Co więcej, polityka nie jest jakąś sferą, która toczy się gdzieś tam w telewizorze, ale ona dotyka sytuacji bardzo konkretnych ludzi. Z tej perspektywy zaangażowanie Kościoła w politykę (opowiadanie się za konkretnymi wartościami i rozwiązaniami prawnymi, nie partiami!) jest wręcz jego obowiązkiem. Jezus nie uczył nas, że każdy ma się martwić wyłącznie o siebie, ale tego, że jesteśmy też odpowiedzialni za los innych ludzi. „Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Jeśli w wyniku aborcji, czy in vitro giną całkowicie bezbronni osoby, to nie można milczeć, podobnie jeśli w wyniku adopcji dzieci przez homoseksualistów niewinne dzieci miałyby być skazywane na posiadanie dwóch tatusiów. Kościół musi upominać się o los tych osób. Kto jak nie Kościół ma to robić? Ojciec Święty Jan Paweł II w liście *Il recente consistoro* pisał: „Głos Kościoła jest zawsze ewangelicznym krzykiem w obronie ubogich tego świata, tych, którzy są zagrożeni, otoczeni pogardą i których prawa ludzkie są gwałcone.”

Przemysław Babiaryz, Michał Bondyra, „Absurdalna rzeczywistość bez krzyża” (rozmowa Michała Bondyry z Przemysławem Babiaryzem – popularnym dziennikarzem telewizyjnym, fragmenty)

Jakiś czas temu rozmawialiśmy przy okazji Pańskiego zaangażowania w akcję „Nie wstydzę się Jezusa”. Czym dziś jest ten brak wstydu?

– Tym co zawsze, tym co przez wieki. To kwestia przyznania się przed innymi do wiary. To aspekt społeczny naszej wiary. Ona tkwi

w nas, w naszym sercu, w naszym umyśle, nasza wola przekonana przez rozum mówi nam o Panu Bogu – ale nie istnieje wśród innych ludzi. Teraz nasze przyznanie się do Stwórcy rodzi niebezpieczeństwo narażenia się na szyderstwo, na obśmianie. Być może bowiem w gronie, w którym się znajdziemy, wiara będzie uchodziła za coś staroświeckiego, godnego wstydu albo mówiąc popularnym językiem – obciachowego. Wtedy pojawia się kwestia, czy jesteśmy gotowi wystawić się na to szyderstwo? Czy potrafimy obronić to, co dla nas jest najcenniejsze: wartość najwyższą – Chrystusa, Boga? Tym samym jest to test na naszą wiarę, czy też na jej obraz w oczach innych ludzi. Przed takim wyborem stajemy często.

Dzisiaj wiarę manifestuje się w rzeczach drobnych, bo to od nich zaczynamy. Sprawdzianem dla nas jest chociażby udział we Mszy świętej podczas kilkudniowego wyjazdu z ludźmi, którzy nie są naszą najbliższą rodziną ani gronem przyjaciół. Czy będziemy starali się wtedy uczestniczyć w Mszy? Czy wręcz przeciwnie, nie będziemy chcieli odstawać od otoczenia, które do kościoła nie chodzi?

Drugą kwestią jest obyczajowość. Dotyczy ona choćby piątkowego postu. Czy przy możliwości wyboru nie zjemy potraw mięsnych? To jednak tzw. stan pokojowy: nikt nas nie atakuje za to, że wyznajemy zasady inne niż wszyscy, a problemem jest tylko to, czy stać nas na przełamanie, odróżnienie się od innych, na pójście pod prąd.

Inaczej jest jednak, gdy sprawa wiary postawiona jest na ostrzu noża. Dzieje się tak, gdy mamy otwarty atak na kapłanów, siostry zakonne, symbole religijne. Wtedy pytanie jest trudniejsze: czy jesteśmy w stanie stawić czoła szyderstwom, profanacji, czy pozostaniemy neutralni, bo będziemy się bali zaangażować? Jeszcze inny aspekt przyznawania się do Jezusa i wiary tkwi w przyznawaniu się do ludzi uważanych przez ogół za gorszych z racji swojej choroby, niedołężności czy ubóstwa. Pamiętajmy, że w takich osobach też mieszka Chrystus. Jednak czy my Go w nich widzimy? Czy potrafimy te osoby wziąć w obronę?

KONWERSATORIUM L

(19 listopada 2011)

Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), Justyna Cyran-Waksmundzka (prawnik, prezes fundacji rodziny Waksmundzkich „Projan”), Maria Łubowicz (założyciel i dyrektor Niepublicznej Specjalnej Szkoły Podstawowej „Krok po Kroku” dla dzieci z autyzmem), Jarosław Świdorski (profesor, elektronik, organizator nauki), Paweł Wilski (przedsiębiorca), Michał Grodzki (prezes ASK „Soli Deo” w roku akademickim 2010/2011, student prawa UW).

Ks. Adam Zelga

Serdecznie Państwa witam. Powinniśmy odśpiewać „100 lat”, bo to 50. nasze Konwersatorium – Konwersatorium jubileuszowe. Jego pomysł zrodził się po śmierci naszego Papieża, zgodnie z po-



Paneliści: od lewej Paweł Wilski, Jarosław Świdorski, Michał Grodzki, Justyna Cyran-Waksmundzka, Maria Łubowicz i ks. Adam Zelga



Słuchacze

wszechną troską: „Czy potrafimy skorzystać z nauki Jana Pawła II?”. Odpowiedzią na to zapotrzebowanie było między innymi nasze Konwersatorium inspirowane nauką Ojca Świętego.

Spotykamy się już siódmy rok. Pamiątką tych spotkań jest sześć tomów książki pt. „Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”. Takich książek, z takim materiałem państwo nigdzie nie dostaniecie, a jeszcze za taką przystępną cenę – po 10 zł za książkę. Temat dzisiejszego spotkania brzmi: „Wyznawane wartości i ich realizacja w moim codziennym życiu”. To zachęca niemal do spowiedzi!

Justyna Cyran-Waksmundzka

Na wstępie dziękuję księdzu Adamowi za powiedzenie, że nasze wypowiedzi mogą stać się rodzajem spowiedzi, a zatem że mamy się otworzyć, że mamy ujawnić naszą intymność. Bo kiedy przygotowywałam się do Konwersatorium, do wypowiedzi na zadany temat, to się zastanawiałam nad taką oto kwestią, jak mówić o sobie, żeby to nie było zbyt osobiste, zwłaszcza pośród grona osób, których się nie zna. Uznałam jednak, że nie umiem inaczej, a zatem cieszę się, że Ksiądz nadał jednoznaczny kierunek naszym „uzewnętrznieniom się”.



Justyna Cyran-Waksmundzka

Zacznę od dania świadectwa. Mam 31 lat i mam już za sobą parę trudnych życiowych przeżyć. Gdy miałam 20 lat, zginął tragicznie mój brat cioteczny, a zatem przyszło zmierzyć się mojej rodzinie ze stratą dziecka. Był to ból nie do zniesienia, towarzyszy nam on zresztą po dziś dzień. Następnie po paru latach dowiedziałam się, że mam raka tarczycy. Drugi potężny cios, nowy strach. Potem, po kolejnych latach, rodzę dziecko i przez 1,5 roku obserwuję, czy nie jest ono głęboko upośledzone, bo taką diagnozę postawili lekarze w piątej dobie jego życia. A zatem doświadczeń przykrych trochę i sporo wysiłku, aby się z nimi uporać. Nie mówię tego oczywiście po to, aby się nad sobą uzalać, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale aby zaakcentować, że przeżycie tego wszystkiego nie byłoby możliwe, gdyby nie wiara w Boga. Oczywiście na początku tych wszystkich sytuacji był potworny bunt, gniew, poczucie niesprawiedliwości i kompletnego niezrozumienia, również ogromnej pretensji do Boga. Ale potem zawsze przychodziła refleksja: to musiało się zdarzyć z jakiegoś powodu, ma to sens, za tym wszystkim stoi głęboko mądra siła – Bóg; to się nie dzieje bez przyczyny. We wszystkich tych sytuacjach nieprawdopodobnie pomagała modlitwa, a życie stawało się bogatsze duchowo. Najwyraźniej było

mi to wszystko potrzebne, abym umiała kroczyć bardziej wartościową drogą. Najwidoczniej Bóg uznał, że raz na jakiś czas musi mną potrząsnąć. Takie zatem jest moje świadectwo – „Jezu, ufam Tobie”. Szkoda tylko, że ufanie przychodzi dopiero po jakimś czasie od przeżycia traumy. Szkoda, że człowiek nie jest na tyle silny, na tyle mądry i w pełni wierzący, żeby od razu przypomnieć sobie tę myśl, że może coś w wymiarze ludzkim jest straszne, ale tak naprawdę jest dobre. Bo przecież Mu ufam.



Justyna Cyran-Waksmundzka (z mikrofonem), obok Michał Grodzki i Maria Łubowicz

Odniosę się teraz do dzisiejszego tematu.

Pomyślałam, że zwrócę uwagę na jedną z wartości, jakie przyszły mi na myśl, mianowicie na wartość miłości do bliźniego, która moim zdaniem jest bardzo trudna do realizacji, ale bez której nie wiem, czy w ogóle byśmy tutaj wszyscy byli. Wychowałam się w domu, w którym mama zawsze powtarzała: „zachowuj się tak, aby innym było z tobą dobrze, zauważaj drugiego człowieka, bądź empatyczna”; w którym babcia kochała nawet łotra, a mama całe swoje życie zawodowe poświęciła młodym kryminalistkom z zakładu poprawczego. Mimo że realizacja miłości do bliźniego jest trud-

na, często bardzo trudna, jest wartością ogromnie potrzebną. Kiedy bowiem przychodzi taki moment, że się kogoś ma już serdecznie dosyć, warto przypomnieć sobie to boskie przykazanie. Bo przecież z takiego podejścia nie może wyniknąć nic złego, może się zdarzyć tylko dobro. Przecież to z tej wartości rodzi się tolerancja, chęć niesienia pomocy i otwartość na inność. Myślę więc, jak ogromnie ważne jest, abym umiała własne dziecko wychować w duchu tej mądrości, w otwartości na miłość, którą ono samo powinno ludziom dawać i umieć przyjmować. Myślę o wychowaniu w jedności ze światem, ze sobą i z innymi ludźmi.

W tym kontekście przyszła mi do głowy także taka oto refleksja, że współcześnie czasem trudno jest konfrontować z innymi ludźmi znaczenie poszczególnych wartości, chociaż wyjściowo wyznaje się te same podstawowe zasady, zwłaszcza gdy jest się wychowanym w rodzinie katolickiej, chodzi się do kościoła i przestrzega przykazań. Czasem bowiem dwoje ludzi wyznaje co do zasady te same wartości, ale rozumienie ich jest inne, a przynajmniej gdzie indziej kładzie się akcent. Pomyślałam sobie o kradzieży pod postacią łamania praw autorskich, czyli np. o ściąganiu filmów czy piosenek z internetu. Obecnie takie zachowanie jest powszechne, pewnie mało kogo dziwi, ale problem jest i twórca nie jest z tego zadowolony. Jak może sobie poradzić z tym zagadnieniem zwłaszcza młody człowiek? Ma wyjść z pokoju i nie oglądać filmu, chociaż wszyscy inni oglądają? Ma narazić się na opinię dziwaka, osoby, która przesadza? Uważam, że w dzisiejszych czasach, tak bardzo nowoczesnych, jest to trudne.

Idąc zaś dalej tym tropem – przykazanie „nie zabijaj” jest oczywiste dla prawie wszystkich i znaczy tyle, co „nie zabijaj chodzącego, dorosłego człowieka”. Już jednak zdecydowanie nie dla wszystkich nakaz ten dotyczy eutanazji czy aborcji.

Mamy zatem piractwo, przekraczanie prędkości, mamy też drobne kłamstewka w życiu codziennym. Pomyślałam sobie, że najtrudniej jest z tymi wartościami pozornie błahymi, które gdzieś nam uciekają w życiu codziennym, bo się nie zastanawiamy nad ich negatywnymi konsekwencjami.

Na zakończenie chciałam jeszcze zagadnienie wartości odnieść do mojego życia zawodowego. Fundacja, w której działam, zajmuje się obecnie trzema obszarami. Pierwszy to pomoc chorym dzie-

ciom, drugi – pomoc biednym dzieciom i ich rodzinom, a trzeci to umiłanie życia seniorom. I o ile te dwa pierwsze obszary nie budzą kontrowersji – wiadomo, że warto wesprzeć finansowo turnus rehabilitacyjny chorego dziecka i warto opłacić kurs języka angielskiego dziecku z wielodzietnej rodziny, na który nigdy go nie będzie stać, o tyle umiłanie seniorom życia może budzić wątpliwości. Organizujemy starszym ludziom za darmo różne atrakcje – od wyjścia do muzeum, przez spotkanie ze specjalistą typu prawnik, lekarz, po wyjście do kawiarni. Ale przecież my tych ludzi nie znamy i nie wiemy, czy byli i czy są dobrzy, czy nie krzywdzą swoich bliskich, czy zasługują na taką pomoc. Pomimo jednak tych myśli, przeważyły inne. Ważniejszą niż znajomość tych osób, ich losów, okazała się wartość, jaką jest poszanowanie starości, a także świadomość, że nam nie wolno osądzać innych ludzi. Bo jeżeli nawet robili coś złego, to może pod koniec życia mają szansę się poprawić. A może dzięki naszym spotkaniom spotka ich coś dobrego i zaczną to dobro dalej przekazywać? Mamy taką nadzieję.

Maria Łubowicz

Muszę przyznać, że kiedy usłyszałam temat dzisiejszego spotkania, to niezależnie od tego, co powiedział ksiądz Adam, zrobiłam sobie rachunek sumienia. Nie tylko zastanawiałam się, co to są wartości, czy jakie ja wartości wyznaję, ale przede wszystkim skąd się te wartości w moim życiu wzięły, no i co ja z nimi robię? Właściwie na pierwsze pytanie, które zadałam sobie samej o wartości, odpowiedź była prosta: dwie najważniejsze wartości to Bóg i człowiek. W rzeczywistości jednak to nie jest wcale takie proste. Co to znaczy Bóg? Bóg jest ponad wartościami. Tak naprawdę dopiero doświadczenie Boga, wejście w jakąś relację z Nim ukierunkowuje czy wprowadza w takie wartości, jaką jest np. miłość czy przyjaźń. Jeżeli miłość i przyjaźń, to czy mogę sobie wyobrazić prawdziwą miłość, przyjaźń bez prawdy? Czy mogę sobie wyobrazić prawdziwą miłość, przyjaźń bez służby? I tutaj zaczyna być coraz trudniej. Kiedy zaczęłam sobie zadawać takie pytania, to – jak już powiedziałam – na zasadzie rachunku sumienia przejrzałam swoje życie. Musiałam stwierdzić, że takie patrzenie pojawiło się dopiero w pewnym momencie, że to była pewna droga, że te wartości nie były od zawsze tak samo ważne i takie same. Pojawiła się koniecz-



Maria Łubowicz

ność odnoszenia wartości do samego Boga, konieczność poszukiwania dobra, konieczność poszukiwania tego, co jakoś pogłębia moje życie.

Jak to wyglądało w codzienności? Przede wszystkim było ustalenie na swoje potrzeby hierarchii wartości, sprawdzenie, które miejsce w moim życiu zajmuje Jezus. I dostrzeżenie, że do Niego właściwie wszystko się odnosi. Ale co to znaczy żyć na co dzień takimi wartościami, jak miłość, jak przyjaźń? Także tymi wartościami, które z tego wynikają – jak służba. Ja mówię o miłości w bardzo szerokim znaczeniu: miłość do najbliższych, ale również miłość do człowieka obcego, miłość do Kościoła, miłość do Ojczyzny. To jest bardzo szerokie pojęcie miłości, z którym wiąże się właściwie wszystko, o czym dalej mówię.

Co znaczy wierność wartościom w codzienności? To właściwie nieustanne decyzje, podejmowane właściwie odnośnie do drobiazgów. Bo przecież o wiele prościej jest ukryć coś, co jest mi niewy-

godne, niż przyznać się. O wiele prościej nie zabrać głosu w sytuacji, kiedy mam inne zdanie, niż wypowiedzieć je i narazić się na śmieszność. Na odrzucenie. O wiele prościej nie stanąć po stronie prawdy w sytuacji, kiedy wiem, że to się będzie łączyło z odrzuceniem, z samotnością, czasem nawet z jakimiś niezbyt przyjemnymi opiniami na mój temat.

To są takie codzienne wybory. Tak samo odnośnie do służby. Przecież o wiele przyjemniej jest wrócić do domu, wziąć książkę, wypić herbatę, posiedzieć spokojnie, pogadać z mężem i dziećmi, niż po pracy gdzieś jechać, zajmować się rzeczami, które bezpośrednio mnie nie dotyczą, ale są ważne dla innych osób. To jest to, co pani Justyna mówiła o swojej działalności. To jest właśnie to. Poświęcić swój czas, swoją osobę, dać coś z siebie innym ludziom. To są takie niby drobiazgi. To są pytania, przed którymi staję każdego dnia. Ale równocześnie myślę, że one tworzą pewną drogę do tego, żeby móc podjąć decyzje zgodne z moimi wartościami, decyzje, które są decyzjami życiowymi, mogą stanowić punkty zwrotne. Przed laty takich decyzji było sporo w moim życiu i powiem szczerze, że ich nie żałuję. Jedne były bardzo trudne i wiązały się z przy-



Maria Łubowicz (z mikrofonem) oraz Justyna Cyran-Waksmundzka

krymi dla mnie konsekwencjami, a inne wniosły jakąś niezwykłą radość w moje życie. Radość związaną z tym, że można coś dobrego robić również dla innych, nie tylko dla grona tych najbliższych.

Myślę, że pierwszą bardzo ważną decyzją, niby śmieszną, niby prostą, była decyzja odejścia od zawodu, który wykonywałam. Jestem inżynierem, skończyłam Politechnikę Warszawską. I nagle po jakimś czasie pracy, która wydawało się, że wciąga, że daje satysfakcję – bo przecież przyjemnie jest trzymać w ręce, oglądać coś, co się samemu zaprojektowało – okazało się, że Pan Bóg pokazał mi inną drogę. Doświadczyłam Jego miłości, piękna kontaktu z Nim i zapragnęłam dzielić się tym z innymi. To właściwie było pierwszym punktem zwrotnym, który zmienił moje życie. Podjęłam studia katechetyczne, rozpoczęłam pracę w szkole. I tak się właściwie zaczęło. Potem doszły do tego kolejne działania, związane się ze wspólnotami religijnymi, zaangażowanie w pracę w zaprzyjaźnionych parafiach, organizowanie rekolekcji. To też były decyzje podejmowane każdego dnia: czy z moimi dziećmi wyjechać gdzieś na wakacje nad jeziora, posiedzieć u teściów, gdzie właściwie o nic się nie muszę martwić, czy zorganizować wyjazd rekolekcyjny dla kilkudziesięciu osób w wieku od paru miesięcy do dziewięćdziesięciu paru lat, którym trzeba zapewnić program na każdy dzień, przygotować i zapewnić materiały do pracy duchowej, zorganizować Msze święte codzienne..., no, właściwie zapewnić wszystko. Zadbać o ich życie przez dziesięć dni czy dwa tygodnie od rana do wieczora tak, żeby miało ono sens. Żeby to nie był czas stracony. Tak to wyglądało właściwie każdego dnia.

Chciałabym jeszcze powiedzieć o decyzji, którą podjęłam dwa lata temu, kiedy zostałam zaproszona do zespołu tworzącego szkołę dla dzieci autystycznych. Jest to szkoła specjalna, dla dzieci nie tylko z autyzmem, ale również z upośledzeniem intelektualnym. W momencie, w którym zostałam zaproszona, pomyślałam sobie: czemu by nie? Mam doświadczenie w tworzeniu i kierowaniu szkołą katolicką, mam doświadczenie przygotowywania dokumentacji dla takiej szkoły, bo to było jedno z zadań mojej pracy w nadzorze oświaty, w nadzorze szkół. Więc czemu nie służyć tą wiedzą i tym doświadczeniem innym? Tak się zaczęła moja służba w zespole założycielskim szkoły – zespole kilku osób tworzących szkołę. Potem, muszę powiedzieć, że zafascynował mnie temat i myśl

o tym, że można pomóc dzieciom, które są wprawdzie bardzo kochane przez swoich rodziców, ale równocześnie są niechciane, odrzucane, niezauważane i niepotrzebne w społeczeństwie. Dzieci, dla których nie ma miejsca w masowych szkołach, bo nikt się nimi właściwie nie zajmie w taki sposób, żeby zapewnić im to wszystko, czego one potrzebują. Jest to po prostu fizycznie i organizacyjnie niemożliwe przy takim systemie oświaty, jaki dzisiaj mamy i autyzmie niezbadanym do tej pory do końca, o którym nawet nie wiemy, skąd się bierze. Doprowadziło mnie to do kolejnego punktu zwrotnego. W tym czasie zaproponowano mi, abym nie tylko współtworzyła tę szkołę, ale ją później poprowadziła. Więc znowu kolejne studia, kolejna praca, no i decyzja o porzuceniu dotychczasowej pracy, o której myślałam, że to będzie miejsce, gdzie sobie spokojnie doczekam do emerytury. Miło, przyjemnie, właściwie taki high life. Nagle okazało się, że nie. Stałam przed decyzją, czy tę pracę rzucić, decydując się na wielką niewiadomą, bo prócz tego, że mieliśmy trójkę dzieci – kandydatów do szkoły, to nie było nic. Nie było budynku, nie było gdzie prowadzić zajęć. Mimo to, podjęłam decyzję o zmianie pracy i wejściu w niewiadomą, w przyszłość, która była nieznaną. I tu muszę powiedzieć, że doświadczyłam niezwyklego działania Bożego, niezwykle cudów, kiedy Pan Bóg pokazał, że rzeczywiście wybór Jego – wybór służenia dobru, służenia ludziom, którzy potrzebują pomocy – jest wyborem, na który On patrzy z uśmiechem. Daje też w odpowiednim momencie – czasem w ostatniej chwili, przyznaję – pomoc, przysyłając ludzi, którzy wybawiają nas z różnych opresji, pomagając właściwie od samego początku. W tej chwili muszę z radością powiedzieć, że szkoła istnieje i mamy gdzie się podziać już drugi rok, a perspektywa jest jeszcze piękniejsza, bo w perspektywie jest dom, już samodzielny budynek dla szkoły. W ten sposób Pan Bóg, poprzez wybieranie tego, co jest dobrem, prowadzi mnie przez życie, pokazując, że warto takich wyborów dokonywać, chociaż czasem jest bardzo trudno. I tak jak powiedziałam, niektóre wybory (wybór wartości, prawdy) łączą się czasem z olbrzymią samotnością. Ale ani przez moment, to mogę dzisiaj powiedzieć z pełną odpowiedzialnością, nie żałuję tego, co robiłam, wyborów, jakich dokonałam, i tego zaangażowania, którego doświadczyłam. Wydaje mi się, że wybór wartości związanych z Bogiem, z wiarą, prowadzi do tego, że staję się bardziej człowiekiem.

Jarosław Świdorski

Moje wystąpienie chcę zacząć trochę nietypowo. Jestem życiowym optymistą, zwłaszcza jak na mój wiek; najczęściej się mówi – wiek Zagłoby, bo to już jest ten wiek, kiedy dwie siekiery nad głową zawisły – za chwilę skończę 77 lat. W tym wieku albo cały czas się narzeka i wtedy lepiej nic nie mówić, albo się patrzy na życie optymistycznie.

Kiedyś, jeszcze jako młody chłopak, gdy czytałem Biblię (teraz też lubię ją czytać), moją pasją było wykrywanie różnych miejsc, które mnie jakoś szczególnie niepokoiły. I tak się złożyło, że jednocześnie dotarłem i w Biblii, i w powieści – o ile pamiętam było to „Na wschód od Edenu” – do miejsca, kiedy Kain został w pewnym sensie odrzucony przez Boga, tzn. jego ofiara nie została przyjęta. I on stoi taki naburmuszony – tak sobie wtedy go wyobrażałem – a Pan Bóg mówi do niego: „grzech leży przed tobą”. Oповідаłem to w wolnym tłumaczeniu, nie dosłownie, niedokładnie cytuję. „Grzech leży przed tobą, zło leży przed tobą” i tu w jednym tłumaczeniu jest: „i ty m a s z panować nad nim”, w innym tłumaczeniu jest: „i ty p o w i n i e n e ś p a n o w a ć nad nim”. Wreszcie w trzecim tłumaczeniu – miałem wtedy kilka tłumaczeń dostępnych – „p a n u j nad nim”. Wtedy przeczytałem też tę przygodę z „Na wschód od Edenu”, kiedy stary człowiek trafia na ten sam werset i zaczyna studiować hebrajski, żeby zrozumieć słowo, które zostało tam użyte. Mianowicie tam jest zapisane „tim-szel”, nie – będziesz, nie – powinieneś, ty m o ż e s z panować nad nim. Zrozumiałem, że Pan Bóg nam coś bardzo ważnego ofiarował. Ograniczył swoją wolę, aby nam dać wolną wolę. „Możesz panować”. Później echo tego odzywa się w Nowym Testamencie, kiedy Paweł mówi w liście do Filipian: „wszystko mogę w Tym, który mnie wzmacnia, w Jezusie”. To hasło było szczególnie popularne w XVI w.

Aby być właściwie rozumiany, muszę w tym momencie powiedzieć, że jestem protestantem – ewangelikiem reformowanym, czyli popularnie mówiąc – kalwinistą. Nazwa niezbyt słuszna, bo to nie od Kalwina się zaczęło, tylko właśnie od apostoła Pawła. W XVI w. Kalwin oparł znaczną część swojej nauki na tym powiedzeniu „możesz”. Możesz, bo Pan Bóg dał ci wolną wolę i z tego będziesz rozliczony, jak ty z tej wolnej woli potrafiłeś korzystać.



Jarosław Świdorski

Nie będę się tu dalej zagłębiał, bo można dyskutować, czy to jest naprawdę wolna wola, czy poczucie wolnej woli, to jest inna sprawa. Dla nas to jest wolna wola. W czasie, o którym wspomniałem, zacząłem patrzeć tymi kategoriami na swoje dzieciństwo. Dziś patrzę na całe swoje życie. Może jeszcze nie dodałem, że to hasło do dzisiaj pobrzmiwa w mowie potocznej, a nie zawsze wiemy, iż jest wzięte z Biblii. Brown, premier Wielkiej Brytanii, syn pastora, kalwinisty, mówił: „ja mogę” i zwrot ten przyjął jako hasło dla swojej działalności. Obama mówił: „my możemy”, to było (i jest) jego hasło. Wiadomo, wyrósł w kalwinistycznej rodzinie i dla niego było ono naturalną postawą.

Pozwolę sobie teraz powrócić do wspomnień z mego wczesnego dzieciństwa. Gdy wojna się kończyła, miałem dziesięć lat. Dziś pamiętam przede wszystkim te momenty, kiedy moja mama, bo najbardziej odczuwałem wpływ mamy, która mówiła, że trzeba mocno wierzyć i kochać otoczenie, a wtedy Pan Bóg nam pomoże. Wyjdziemy ze wszystkiego złego, bo z Wiadomą Pomocą można wyjść nawet z najtrudniejszej sytuacji. Mam w pamięci, nie będę Państwa zanudzał szczegółami, trzy przypadki, kiedy mój ojciec stał pod lufami, dwa razy niemieckimi, raz rosyjskimi, i kiedy już

wszyscy uważali, że to koniec, a mama mówiła: „musisz mocno wierzyć, że Pan Bóg ocali ojca”. I ojciec dożył do końca wojny i żył jeszcze długo. Miałem potem sam kilka takich momentów. Kiedy zaczynałem studia, zachorowałem bardzo poważnie, i lekarz, który dał mi – co było wtedy wielką rzadkością – zwolnienie dożywotnie ze służby wojskowej, powiedział: „Pamiętaj, chłopcze, jak będziesz bardzo spokojnie żył, nie przepracowywał się, dobrze się wysypiał, to jeszcze kilka lat pożyjesz”. A ja właśnie wkrótce potem, będąc już na studiach, podjąłem pracę zawodową, równoległe do studiów, na pełnym etacie. Trafiłem, bardzo szczęśliwie, na najciekawszą przygodę, jaka mogła mi się przydarzyć w latach 50., na początki nauki o półprzewodnikach. Kto z Państwa ociera się o technikę, wie, że cała dzisiejsza technika właściwie rodziła się wtedy. Do czego się człowiek dotknął, to wszystko było nowe. Miałem 28 lat, gdy zostałem doktorem. Nie dlatego, że byłem specjalnie zdolny albo nadzwyczajnie pracowity. Po prostu miałem przed sobą rzeczy tak nowe, że cokolwiek się zrobiło w tym zakresie, można było publikować na świecie. Mając 33 lata, habilitowałem się. Nie miałem jeszcze 39, jak odbierałem nominację profesorską. Dla mnie było to właśnie owo „możesz”.

Gdy skończyłem 65 lat, po raz drugi w życiu znalazłem się na dłuższy czas w szpitalu. I znowu coś, jakby echo przeszłości. Lekarz, wypisując mnie, powiedział: „Ma pan szczęście, ma pan 65 lat, idzie pan na emeryturę, będzie pan odpoczywał, pożyje pan jeszcze trochę”. Do dziś pracuję na pełnym etacie. Ani na chwilę nie przerwałem pracy od tamtych czasów. I bardzo mi z tym dobrze. Jeszcze mam trochę czasu na inne prace, robione obok obowiązków zawodowych.

Parę słów o tych innych pracach. Jeszcze jako student zajmowałem się działalnością młodzieżową, chrześcijańską działalnością młodzieżową. Były to bardzo trudne czasy, koniec lat 40. i 50. aż po początek lat 60. Podaruję sobie wspomnienia kontaktów z ówczesną rzeczywistością polityczną, ale powiem, że między nami, młodymi ewangelikami, było jakieś dziwne przekonanie – otaczający nas w przewadze, przynajmniej w grupie rządzącej, ateści oczekiwali, że my będziemy ich najbliższymi wspomocicielami. Uważali, że mogą i powinni wykorzystać fakt, że jesteśmy kimś innym niż większość katolicka. Wtedy napisaliśmy coś w rodzaju

wyznania wiary, wyznania sposobu postępowania. Jak chcemy działać. I tam było takie znamienne zdanie, że podstawowym naszym celem jest przekonywać ludzi, którzy odeszli od wiary lub z różnych przyczyn nie mogą wrócić do wiary, że Bóg jest większy i lepszy, niż ludzie potrafią Go opisać i zrozumieć. Naszym hasłem było, że my nie idziemy do ludzi, żeby spierać się z inaczej wierzącymi, ale idziemy do tych, którzy nie wierzą, którzy albo odeszli, albo nie umieją wrócić. Im trzeba wytłumaczyć, że to, co ich oddaliło, czy też co staje im na przeszkodzie w wierze, wynika z tego, że nie rozumieją właściwie otaczającej rzeczywistości i dlatego nie rozumieją także Boga. Bardzo dużą rolę odegrało w tym właśnie poszukiwanie rzeczywistego, współczesnego znaczenia różnych słów. Jeszcze teraz, jeżeli państwo czasem zaglądną do żarliwych dyskusji w internecie czy w innych podobnych miejscach, to gros sporów polega na tym, że ludzie nie umieją prawidłowo zdefiniować tego, o co się spierają. O tej samej rzeczy każdy mówi tak, jak o tym przysłowiowym kole narysowanym na ścianie: jeden mówi, że to jest kula, drugi, że to jest koło, a trzeci, że to jest rysunek. Po prostu nie wiedzą, nie rozumieją tego, nie umieją tego zdefiniować. Mają zupełnie różne pojęcia i mogą się o nie godzinami spierać. Odkryciem było dla mnie kiedyś, że słowo zupełnie fundamentalne, słowo w i a r a było zupełnie inaczej rozumiane za czasów Abrahama, inaczej za czasów Mojżesza, a inaczej np. za czasów apostoła Pawła. A w rzeczywistości znaczyło prawie to samo, tylko było dopasowane do ówczesnego świata pojęć tamtych ludzi. Wiara w języku aramejskim, w staroaramijskim, w którym są zapisane losy Abrahama, oznacza „oddanie się do niesienia na rękach”. To było słowo używane w stosunku do piastunek. Oddajcie się do niesienia na rękach, oddajcie się z całym zaufaniem temu Jednemu. To popchnęło Abrahama do wyjścia. Apostoł Paweł zaś mówi: „Wiara jest pewnością rzeczy niewidzialnych”; dzisiaj byśmy powiedzieli „rzeczy niepoznawalnych”, „rzeczy doświadczalnie nie do uchwycenia”. To wszystko nie jest w pełni prawdą dla współczesnego człowieka. Współczesny człowiek wie, że wiara opiera się – przynajmniej ja mam takie głębokie przekonanie – na doświadczeniu. Opiera się na doświadczeniu osobistym, ale także na tym przejętym od osób godnych zaufania. Przecież ja wiarę wziąłem m.in. z ciężkich, wojennych doświadczeń moich rodzi-

ców. To stało się podstawą mojej wiary. A także z doświadczeń własnych. Możesz pracować, mimo że mówią ci po cichu, że masz bardzo się oszczędzać, to jakoś pożyjesz. A przecież możesz też działać, nawet w sytuacjach ekstremalnych. Oto podstawowa wartość, którą wyznaję, patrząc wstecz na swoje życie, na minione 77 lat: „Wszystko mogę w Tym, który mnie wzmacnia”.

Na koniec, nawiązując do dyskusji kularowej, pozwolę sobie powiedzieć coś kontrowersyjnego. Czy my, chrześcijanie, możemy zajmować się polityką? Co to jest polityka? Czy my rozumiemy to słowo? Jeżeli przyjąć starą definicję encyklopedyczną, że polityka jest walką o zdobycie i utrzymanie władzy, to mnie jako chrześcijanina ona nie obchodzi. To nie mój świat. Nie będę walczył ani o władzę, ani o utrzymanie tej władzy. A jeżeli przyjąć taką współczesną, rozmytą definicję, że polityka to jest działanie władcze ze strony władz państwowych, wobec obywateli, to ja powiem: „przepraszam, niech ktoś to przetłumaczy na ścisły język i wtedy będziemy dyskutować, co to jest polityka i czy należy się nią zajmować”.

Paweł Wilski

Nie mam łatwego zadania, ponieważ zostałem przedstawiony w roli przedsiębiorcy. Jakim przedsiębiorcą może być osoba, która ma 26 lat, skończyła studia rok czy dwa lata temu i nie ma żadnego lub ma małe doświadczenie? Tak właśnie jest. Zaproponowałem to słowo, opisujące mnie jako przedsiębiorcę nie dlatego, że prowadzę duży biznes, tylko dlatego, że jest to pewna ciekawa postawa, którą chciałbym w życiu pokazywać. Rozumiem ją jako pewną aktywność życia codziennego. Cały katalog codziennych rzeczy jest pewnym zbiorem prac na różnych polach, zarówno zawodowym, jak i prywatnym, duchowym. W tym moim dzisiejszym świadectwie chciałbym właściwie skupić się na tym, czym się kieruję w codziennym życiu we wszystkich tych obszarach. Jedną z większych wartości jest wzięcie sobie do serca biblijnej przypowieści i zachęta do czynienia sobie Ziemi poddaną oraz pomnażania swoich talentów. Staram się postępować zgodnie z zasadą prawdy i pracy: poszukiwania prawdy o sobie, w czym mogę być dobry, w czym nie jestem dobry, nad czym powinienem popracować, oraz podejścia do tego w sposób rzetelny i możliwie

szczerzy – dający najszerszy obraz – by potem wykonać solidną pracę nad dążeniem do obranego celu.

Na co dzień pracuję w biurze rachunkowym. Wypełniamy konkretną misję, jaką jest optymalizacja podatkowa i doradztwo naszym klientom. Na tej podstawie budujemy pewną wartość dla nich, jak i dla siebie, próbujemy budować pewną wspólnotę, która daje nam wzajemne korzyści, prowadząc do zamierzonych celów. Intuicyjnie zastanawiając się nad rzeczami, które są dla mnie najważniejsze i które właściwie codziennie gdzieś się pojawiają, przygotowując się do tego dzisiejszego spotkania, zadałem sobie pytanie, skąd się ta intuicja bierze i gdzie ma swoje korzenie. Przeglądając bibliotekę domową i książki, które w ostatnich paru latach udało mi się przeczytać, znalazłem książkę, która wywarła na mnie ogromne wrażenie, a mianowicie pozycja prof. Stefana Swieżawskiego o św. Tomasz z Akwinu – „Św. Tomasz z Akwinu na nowo odczytany”. Przypomniałem sobie, że kiedy ją czytałem, to wrażenie zrobił na mnie opis czterech cnót kardynalnych, którymi człowiek w życiu powinien się kierować, żeby być osobą cnotliwą, czyli prawą. Uważam, że niewątpliwie te cztery cnoty



Paweł Wilski

kardynalne są takimi wartościami w życiu, którym staram się podporządkować i które staram się realizować codziennie. Chciałbym się na nich skupić, ponieważ, jak mówiłem, mają one dla mnie istotne znaczenie.

S p r a w i e d l i w o ś ć to przede wszystkim sprawiedliwość wobec siebie, umiejętna ocena, czy obrana droga jest możliwie najkrótsza i w pełni wykorzystująca nasz potencjał, czy nie jest drogą naokoło, czy nie jest drogą po łuku, która marnuje nasze możliwości i naszą produktywność, a tym samym nie w pełni wykorzystuje dane nam talenty i zdolności. Sprawiedliwość jest też jednak cnotą społeczną i powinniśmy, kierując się nią, hołdować zasadzie „każdemu, co jego, co mu się należy”. Musimy umieć oceniać – może nie tyle oceniać, może to jest złe słowo – ale dostrzegać wady i zalety osób, z którymi się spotykamy, i z nimi szczerze i prawdziwie rozmawiać. W wypadku firmy jest to bardzo proste, ponieważ, jeżeli dostrzeżemy zalety naszych współpracowników i ich wady, to możemy realizować nasze cele znacznie lepiej, wiedząc, na co musimy nałożyć nacisk, czego nam brakuje, a co już mamy. Tutaj znalazłem ciekawe odniesienie do reguły św. Benedykta, która mówi: „Jeśli chodzi o opata, niech wie, jak ciężkiego zadania się podjął – rządzić duszami i dążyć do naprawy obyczajów, jak musi jednego łagodnie zachęcać, drugiego ganić, jeszcze następnego przekonywać”. To jest właśnie taka postawa sprawiedliwa, która dostrzega rzeczywistość otaczającego nas świata. W tej sprawiedliwości należy pamiętać, żeby nie hołdować własnemu ego, żeby nie wywyższać się nad innymi, nie faworyzować ludzi, których bardziej lubimy z jakis powodów, tylko możliwie najbardziej transparentnie i obiektywnie ich ocenić.

Drugą cnotą jest m ę s t w o. Nie chodzi o walkę, ale gotowość do obrony wyznawanych przez nas wartości. Naszą wytrzymałość i wolność do tego, żebyśmy potrafili się sprzeciwić błędom czy nieprawdzie, czy fałszowi otaczającego nas świata. Napotykając zaś krytykę naszego postępowania, powinniśmy umieć podjąć we własnym sercu i duszy ocenę, czy ta krytyka jest słuszna czy nie. W pierwszym przypadku – powinniśmy zdobyć się na pokorę i uznanie swego błędu, co poprowadzi nas do rewizji swego postępowania. Na wypadek zaś niesłusznego oskarżenia – powinniśmy nie ulegać zewnętrznym naciskom i bronić wartości, które wyraża-



Paweł Wilski

my swymi czynami. Te czynniki zewnętrzne podam znowu na przykładzie mojej działalności firmowej. Ostatnio musiałem szczerze porozmawiać z jednym z pracowników i powiedzieć mu, że jeżeli nie weźmie się do pracy, to nie będę miał innej możliwości, jak go po prostu zwolnić. Zdecydowałem się na szczerą rozmowę, płynącą prosto z mojego serca, a nie odwołującą się do jakichś zewnętrznych czynników, np. zrzucania odpowiedzialności za tę rozmowę na kogoś innego. Tu trzeba brać odpowiedzialność za swoje czyny i za to, co chcemy przekazać osobiście, a nie wysługiwać się innymi.

Kolejną cnotą jest u m i a r. W przypadku codzienności jest to umiejętność organizacji czasu pracy, mierzenia zamiarów wedle sił, zachowania pewnej symetrii między polami działalności codziennej, ale też i roztropność, czyli równy podział. To jest to, co już powiedziałem wcześniej, zgodnie z zasadą: „każdemu, co mu się należy, co jego”. Żeby mobilizować silniejszych, ale z drugiej strony nie demotywować tych słabszych.

I na koniec m ą d r o ś ć, którą rozumiem jako umiejętność szerokiego patrzenia na daną kwestię, wycucie właściwości momentu. To nie jest tylko kwestia wiedzy, a właściwie wiedza jest tutaj zupełnie wtórna, ważna jest własna intuicja i wrażliwość. Takim przykładem może być dyskusja. Mając ogromną wiedzę na jakiś te-

mat, dwie strony się spierają i to może prowadzić do usztywniania się stanowisk i jakiegoś zapętlenia. A tylko mądra postawa doprowadzi do jakiegoś konkretnego rozwiązania, które zadowoli obie strony. Mądrością jest też przewidywanie, przewidywanie tego, jakie konsekwencje będą miały nasze czyny – zarówno dla nas, jak i dla szerokiego otoczenia.

Zastanawiałem się, czy ja w codzienności w pełni realizuję te cnoty. Jestem przekonany, że do końca nie, mam jednak poczucie, że czuwa nade mną Bóg i w tylu decyzjach, które podejmowałem, i w sprawach, których doświadczyłem, Opatrzność mnie prowadzi.

Ostatnią wartością, która jest dla mnie niezwykle istotna, jest odpowiedzialność za własne słowo. Nawet jeżeli obrona danego słowa wiązałaby się z płynięciem pod prąd, jest to tak ważna cnota i wartość, że należy jej się trzymać i nie być chorągiewką na wietrze.

Michał Grodzki

Na wstępie chciałbym podkreślić, że uważam za bardzo ważne, aby wyznawane wartości nie wynikały jedynie z tradycji i przyzwyczajień, bo wtedy jest to tylko pusta deklaracja; św. Tomasz z Akwinu nazywał to słomą i myślę, że to jest dobre określenie.



Michał Grodzki

Tutaj chciałem opowiedzieć parę słów o sobie. Myślę, że jak każdy z nas, zostałem wychowany w rodzinie katolickiej i zawsze jakoś tych wartości przestrzegałem, choć często bez głębszej refleksji. Uważałem siebie, szczerze mówiąc, za osobę, która żyje tymi wartościami; tak minęło mi liceum, a także prawie cały pierwszy rok studiów. I wtedy miało miejsce bardzo ważne dla mnie, przełomowe wydarzenie. Pamiętam, że w styczniu, w swoim rodzinnym mieście wybrałem się do klasztoru Kapucynów z potrzebą porozmawiania z jakimś księdzem, żeby się upewnić w swoich przemyśleniach. Jak wspominałem, studiuje prawo. Gdy wszedłem do zakrystii w tym klasztorze, zobaczyłem, że jest tylko jeden ojciec; szczerze mówiąc, pierwsze wrażenie było, że to nie ktoś taki, o kogo mi właśnie chodzi – z wyglądu starszy, raczej schorowany, na pewno mi dobrze nie odpowie na moje pytania. Nie miałem jednak wyjścia, głupio było tak bez słowa się wycofać. Ojciec zaprosił mnie na rozmowę i spytał, z czym przychodzę. Zacząłem tłumaczyć, że studiuje prawo, że nie wiem, co dalej robić. Nagle zobaczyłem, że wyciąga on z portfela dwie legitymacje – radcy prawnego i sędziego. Tłumaczył mi, że w wieku 40 lat rzucił prawo i zdecydował się wstąpić do seminarium.. Było to dla mnie czymś szokującym, momentalnie otworzyłem się i była to bardzo owocna rozmowa. Zrozumiałem, że Ktoś nade mną czuwa i był to czas dla mnie przełomowy, kiedy naprawdę zacząłem żyć wiarą i znalazłem motywację, żeby być na tych studiach. Ksiądz wspominał wtedy, że był w mojej miejscowości tylko przejazdem i w ostatniej chwili zdecydował się zająć do klasztoru.

Uważam, że wyznawane wartości są bardzo dobrym fundamentem do tego, żeby stawiać sobie w życiu wyzwania. Zauważyłem to także po sobie, że kiedy w jakimś momencie osłabiam swoją motywację i widzę pewną słabość swoich wartości, choćby odpowiedzialności, wówczas automatycznie w codziennym życiu pojawia się słomiany zapal i własną inteligencją czy cwaniactwem próbuję nadrobić brak czasu, który powinien być na coś poświęcony. Bardzo ważne jest, żeby kontaktować się i spotykać z ludźmi, którzy mają te same wartości co ja, a przy tym są serdecznymi i ciepłymi ludźmi, czyli w pewnym sensie grupą wsparcia. W moim przypadku było to Akademickie Stowarzyszenie Katolickie „Soli Deo”, mające swoją siedzibę w Warszawie. Tam spotkałem się z ta-



Michał Grodzki

kimi serdecznymi i ciepłymi katolikami, wyznającymi wartości podobne do moich. To było dla mnie bardzo budujące. Zauważyłem, że w moim życiu, właśnie choćby na uczelni, o wiele łatwiej przychodzi mi obrona określonych wartości, kiedy wiem, że mam za sobą grupę wsparcia, która mnie podbudowuje. Równocześnie nad tymi wartościami trzeba ciągle pracować, żeby po pewnym czasie nie stały się one rutyną. Spotkałem się z takim określeniem, jak „ostrzenie piły”, co bardzo dobrze określa to, co trzeba robić, czyli dbać zarówno o potrzeby duchowe – przez modlitwę, jak i intelektualne – przez czytanie książek. Jest to podobnie jak z tężyzną fizyczną – jeśli nie będziemy dbali o sprawność fizyczną, nie pomożemy swojej dziewczynie w kluczowym momencie, kiedy ją ktoś zaatakuje; tak samo, jeśli nie będziemy przygotowani intelektualnie i duchowo do pewnych wyzwań, to zawiedziemy w jakimś ważnym momencie. Z biegiem czasu uświadamiam sobie, że bardzo dużo zależy ode mnie, że bardzo łatwo jest zrzucić odpowie-

działność na innych, na los, czy nawet na Boga. Jest oczywiste, ja tak uważam, że Bóg kieruje naszymi czynami, ale tak naprawdę, to my jesteśmy Jego ręką na tej ziemi i do nas należy stale się rozwijać i własną determinacją przekształcać świat, w którym żyjemy.

Chciałem jeszcze trochę opowiedzieć o mojej działalności w „Soli Deo”. Zajmujemy się organizowaniem różnych konferencji na uczelniach, na różne tematy. Czasem są to tematy trudne, niekiedy kontrowersyjne, tak jak problem antykoncepcji, seksu przed ślubem i wielu innych. Ta działalność utwierdza mnie w przekonaniu, że jest ona bardzo potrzebna. Ważny jest dobór odpowiednich prelegentów, aby ich słowa były zaakceptowane. Jeżeli ksiądz mówi o seksie, to ktoś mógłby powiedzieć: „Co ksiądz o tym może wiedzieć?”, natomiast jeśli osoba świecka, żyjąca w małżeństwie, mająca swoje doświadczenia, powie o seksie i powie to z uśmiechem i radością, to sądzę, że to bardziej przemawia. Dlatego też działalność Stowarzyszenia pokazuje, że warto brać odpowiedzialność w swoje ręce, bo dajemy coś innym i przy okazji sami rozwijamy siebie, nie przez piękne idee, ale przez piękne działanie.

Diskusja

Ks. Adam Zelga

Pan Profesor mówił o definicji wiary. Myślę, że każdy powinien wypracować własną, której jest wierny. Jeżeli wiara jest wartością, którą wybrałem jako naczelną, trzeba ją też precyzyjnie zdefiniować. W książce, którą pan profesor wspomniał, „Na wschód od Edenu” Johna Steinbecka, o ile sobie przypominam, w konflikcie między braćmi wspomniany werset biblijny tłumaczył jednemu z nich, zdaje się, Chińczyk. Ale żeby zbadać dokładnie, jakie tam jest słowo i jakie jego przesłanie, wyjechał ze Stanów, pojechał na wschód i tam studiował Pismo Święte. Po kilku latach wrócił, otworzył Biblię i powiada do tego chłopaka: „możesz”, „możesz panować nad swoim grzechem, możesz panować nad swoim życiem”. Wiara to rozszerzy, podpowie: „możesz” o tyle, o ile potrafisz być w rękach Pana Boga, o ile potrafisz odczytać swój wy-

bór w relacji do Pana Boga. Całe moje życie to takie odczytywanie, odczytywanie tego, co się wokół mnie dzieje, czy tego, co się we mnie dzieje, zadania, które mam, właśnie w takim kontekście. Zakończę pięknym przejściem. Od owego, jednego z najpiękniejszych biblijnych słów „możesz” do wiersza polskiego przedwojennego poety, Jerzego Lieberta, który pisze: „Uczyniwszy na wieki wybór, codziennie wybierać muszę”. Życzę, by Państwo potrafili wybierać zgodnie z tym testamentem, przymierzem, które przyjęliście, i abyście nigdy nie chowali się, nie uciekali, tylko zawsze sobie mówili: „jednak możesz!”

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

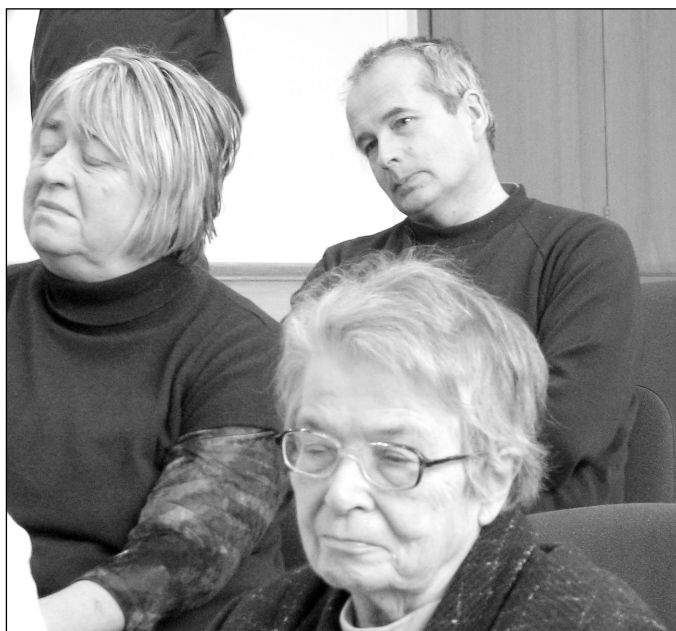
Pierwsze nasze Konwersatorium, siedem lat temu, było poświęcone odpowiedzi na pytanie: Czy angażować się w politykę? Nawiązywało wypowiedzi Jana Pawła II na ten temat. Z tego konwersatorium pamiętam do dzisiaj podstawowe przesłanie, że polityka to służba i że ten, który chce działać w polityce, musi zdawać sobie sprawę, że służy i że dla niego musi to być podstawowe zadanie i wartość.

Według mnie jest to wartość podstawowa dla każdego, kto ma jakąś rolę do spełnienia w życiu. Nie to, co dla mnie jest najważniejsze, tylko to, co dla tego drugiego człowieka. Od dłuższego czasu modlę się o to, żeby żaden dzień nie minął mi bez tego, żeby mogła coś dobrego zrobić drugiemu człowiekowi. Bardzo sympatycznie to odbieram, że Pan Bóg podsuwa mi różne rzeczy do zrobienia, czasem są to drobiazgi, ale czasem też sprawy trudne, które wymagają ode mnie znacznego wysiłku, ale potem dają radość i satysfakcję.

Bogdan Motelski

Pragnę uzupełnić wypowiedź pana profesora na temat dokładnego znaczenia wyrazu „timszel” z książki „Na wschód od Ede-
nu”.

Otóż w tłumaczeniu tej powieści, którą dysponuję, mówi się, że słowo „timszel” należy tłumaczyć jako „możesz”, w znaczeniu „jesteś w stanie” albo „dasz radę”. Czyli potrafisz zwalczyć grzech, a nie tylko możesz.



Bogdan Motelski wśród słuchaczy konwersatorium

Ewa Jurewicz

Chciałam skomentować usłyszane wypowiedzi. Przedstawiono wartości różnej rangi, które nie zawsze są porównywalne; służba to



Ewa Jurewicz

jest wartość bardzo ogólna, wolność też, a są jeszcze te pomniejsze, wyróżnione w katalogu cnót, znanych z Pisma Świętego i każda z tych cnót jest też wartością, która jest użyteczna przy analizowaniu tych wielkich wartości. Służyć można, nie tylko będąc politykiem, ale też gdy gotujesz dobrze obiad albo pozmywasz naczynia.

Wydaje się poza tym, że na ogół nie należy utożsamiać wartości i działania, bo można nie działać, a wartości mieć i im służyć, np. w zakonie kontemplacyjnym; człowiek się modli i pielęgnuje miłość przez treść tej modlitwy, modli się za innych z pełnym zaufaniem, co też jest wartością. Człowiek chory, który nie ma możliwości żadnego działania, zaprzętnięty na pozór wyłącznie ratowaniem swojej fizis, on też służy wartości, jeżeli jest np. cierpliwy. Wrażliwość moralna nie może nas opuszczać, jeżeli wybieramy jakieś wartości. Istotna jest cnota, którą nazywa się umiejętnością rozsądzania. Gdybyśmy nie mieli możliwości wyboru między wartościami, życie nie byłoby ciekawe, ja bym się zanudziła.

Janina Wiśniewska

Większość swojego życia zawodowego spędziłam, pracując na uczelni. Nie ukrywam, że między tzw. prawdami ekonomicznymi próbowałam moim młodym słuchaczom przemycić pewne wyższe wartości, by w swoich decyzjach zawodowych nie kierowali się tylko chęcią zysku, ale pamiętali przede wszystkim o poszanowaniu godności człowieka. Wydawało mi się, że to jest mój obowiązek jako osoby wierzącej i nauczyciela akademickiego. Nie do końca się to jednak wszystkim podobało – może studentom, a może tym, którzy zdecydowali o moim byciu na tejże uczelni.

W takich chwilach człowiek styka się z problemem „móc robić to, co przybliży nas do Boga, a być”, czyli jak zapewnić dzieciom przysłowiowy chleb. Ponieważ nie bardzo lubię się poddawać i unikać zasady, że można czynić gorzej, żeby tylko sobie zapewnić lepsze warunki, a już zupełnie jest mi obce wchodzenie w „układy”, rozpoczęłam inną drogę tzw. kariery zawodowej. W biznesie pojawiły się kolejne, często jakże inne od uznawanych przeze mnie kryteria uczciwości. Jako osoba wyznająca pewne wartości nie potrafiłam godzić się na poświadczanie nieprawdy, jak ode mnie tego czasami wprost oczekiwano. Kiedy, na przykład, odpowiadałam za przygotowanie planu naprawczego firmy, stara-



Janina Wiśniewska, za nią Teresa Stankiewicz

łam się jak najlepiej wykorzystać swoją wiedzę, doświadczenie, ale jak się okazało, zarządowi zupełnie nie o to chodziło, bo nie należało aż tak „szczerze” wykazywać tych obszarów, w których były różnego rodzaju nadużycia finansowe, typu nieuzasadnione wydatki, niekorzystne umowy, kolejne ekspertyzy, z których nic nie wynika itp. I co się okazuje? Osoba, która wyznaje określony świat wartości, chce działać na korzyść firmy, a nie tylko dla wąskiego grona, które potrafi „wyprowadzać”, zupełnie nie jest tam potrzebna. W uzasadnieniu do odwołania mnie ze stanowiska, w obecności ośmiu osób usłyszałam, że zarząd nie ma do mnie żadnych zastrzeżeń merytorycznych... a zatem jakie ma, kolor oczu nie taki. I znów pojawia się dysonans, świat wartości a świat realny, czyli co dzieciom dać jeść. Bo wiadomo, człowiek traci pracę... i zderza się z tą jakże inną rzeczywistością.

Nawiązując natomiast do wypowiedzi Pani Justyny odnośnie do pewnych wątpliwości, czy jej fundacja pomaga właściwym osobom, powiem tak, że każdy pozytywny gest skierowany do innych sprawia, iż ten świat staje się lepszy. A ten obecny jest światem, którym rządzą określone mody. Niemodne jest teraz bycie starym, niemodne jest bycie nie na czasie, bycie człowiekiem słabym – tutaj pani dyrektor mówiła, że dzieci z pewnymi problemami są z za-

łożenia dziećmi odrzucanymi przez społeczeństwo. Doświadczam tego na co dzień, gdyż mój syn taki właśnie jest. I często moje bar-ki już nie są w stanie udźwignąć tego odrzucenia, a co dopiero mówić o sytuacji młodego człowieka.

Odnosnie do osób starszych, chciałam przywołać pewne wydarzenia, które mogą posłużyć może jako podpowiedź, a może jako inicjatywa godna szerszego rozpropagowania. Kiedy moje dzieci były w przedszkolu, wychowawczynie grupy córki organizowały co pewien czas wyjścia do Domu Seniora. Dzieci miały wtedy okazję powiedzieć wierszyk, zaśpiewać, przygotować jakieś „dzieło sztuki” i obdarować nim nieznaną sobie osoby. Wówczas miałam nienormowany czas pracy i w związku z tym mogłam parokrotnie uczestniczyć w takich spotkaniach. W mojej ocenie były to cudowne chwile i dla tych starszych osób, i dla dzieciaków. Moja córka, będąca obecnie w pierwszej klasie gimnazjum, do tej pory czasem wraca do tamtych spotkań. A zatem wydaje się, że było to coś, co właściwie nic nie kosztowało w sensie materialnym, ale stanowiło ogromną wartość dla wszystkich, ale radość na twarzach seniorów była chyba najlepszym podziękowaniem dla maluchów.

Jan Mroczek

Jak wygląda dziś życie publiczne, to służenie innym ludziom, czy można to robić uczciwie? Podam przykład z własnego podwórka. Studiowałem prawo na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie uczono nas, że prawnik musi być uczciwy, że musi działać rzetelnie, zgodnie z prawem, a jednocześnie władze dawały swoją polityką przykład wręcz odwrotny.

My, studenci, byliśmy trochę w takich kleszczach. Z jednej strony mówiono nam, żebyście byli uczciwi, a z drugiej – ci sami profesorowie, ci sami wykładowcy zachęcali nas do takich postaw, które przeczyły temu. Jak my, chrześcijanie, mamy bronić tych wartości? Od roku akademickiego 2007/2008 Zakład Prawa Rzymskiego na UJ objął ksiądz profesor Franciszek Longchamps de Berier. Jest to postać znana. Został zmuszony do odejścia z Uniwersytetu Warszawskiego w okolicznościach, nie chcę powiedzieć nielegalnych, ale w każdym razie niejasnych. Pojawiają się głosy, że



Jan Mroczek

został zmuszony do odejścia dlatego, że był księdzem i że postawił wartości chrześcijańskie ponad to, czego wymagał Wydział i Uniwersytet. Przechodząc na UJ, cały czas jest wierny tym wartościom. Pytanie brzmi, czy można żyć uczciwie w dzisiejszym świecie, gdzie panuje relatywizm? Czy potrafimy zdefiniować uczci-



Krystyna i Jan Mroczek

wość?

Jarosław Świdorski

Pytanie, które postawił pan Jan, jest może najbardziej fundamentalne – co to jest uczciwość? Odpowiem może trochę obok, jak ta dziewczynka poproszona przez mamusię: powiedz „chrząszcz brzmi w trzcinie”, a dziewczynka odpowiedziała „a skąd on tam się wziął?”. Chciałbym przekazać tę informację trochę od strony logiki. Uczciwość pojawia się w słownictwie religijnym stosunkowo późno, przedtem była to sprawiedliwość, czyli postępowanie zgodne z prawem. Czyli uczciwe postępowanie to takie, które jest zgodne z istniejącymi i uznawanymi normami. Potem następuje druga trudność, co znaczą uzgodnione, posiadane, przyjęte przez wszystkich normy? Na przykład na ulicy jest czerwone światło, po drugiej stronie ktoś dostał ataku epilepsji – czy mam czekać, aż się zapali zielone, czy przejść, aby ratować chorego? Czy jest to uczciwość, czy sprawiedliwość?

Uczciwość musi odnosić się do praw bardziej fundamentalnych. Dla chrześcijanina najbardziej fundamentalne jest prawo miłości – miłości do Boga, do bliźniego. Moim zdaniem, najważniejsze prawo brzmi: „miłujcie się tak, jak Pan Bóg was umiłował”. Wszystkie mniejsze nakazy mogą złamać w imię tego podstawowego i to będzie jeszcze wciąż uczciwe.

Jeśli chodzi o aktywność polityczną, to co ma robić polityk? Moim zdaniem, niech to, co robi, robi zgodnie z prawem i z tą myślą, że ktoś będzie z tego korzystał. Jeżeli on pisze prawo, to niech to nie będzie ustawa, która zaraz po wyjściu budzi w nas zgrozę, bo jest sprzeczna z kilkoma innymi i jeszcze czasem jest wewnętrznie sprzeczna.

Janina Wiśniewska

W nawiązaniu do przedmówcy powiem jeszcze o czymś z własnego zawodowego podwórka. Przez całe dorosłe życie wydawało mi się, że mam umiejętność dosyć precyzyjnego wyrażania myśli, zwłaszcza w kwestiach merytorycznych, a przynajmniej takie sygnały miałam i od studentów i od osób, dla których przygotowywałam różne opracowania. Kiedyś miałam okazję brać udział w tworzeniu fragmentów jednej z ustaw i gdy zwróciłam uwagę, że warto byłoby dokonywać takich zapisów, żeby przeciętnie myślący człowiek był w stanie rozumieć ich treść, to pod jakimś tam pozoz-

rem zostałam odsunięta od tych prac.

To, dlaczego tak się stało, rozumiałam dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się, że mimo iż ustawa jeszcze nie weszła w życie już były uruchomione szkolenia na temat umiejętności jej interpretacji.

Jarosław Świderski

Chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów o działalności społecznej. Jest ona uprawiana przez niektórych polityków – i bardzo dobrze – ale nie dlatego, że są oni politykami, tylko dlatego, że są społecznikami i że jest im bliska sprawa człowieka. Być może polityk ma trochę więcej możliwości czy to jako poseł, czy przewodniczący partii w danym regionie. Przypuszczam jednak, że gdyby on był nawet, przepraszam za porównanie, stróżem nocnym, to też by potrafił społecznie postąpić i pomóc na przykład jakiemuś bezdomnemu. Wiadomo, jakie możliwości miał Papież i jak dużo zrobił. Zrobił to nie dlatego, że uprawiał politykę – musiał uprawiać, był władcą państwa, władcą określonej społeczności – ale przede wszystkim był wielkim człowiekiem, wielkim społecznikiem i także w tej dziedzinie działał.



Jarosław Świderski



Słuchacze

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jeszcze podejmę tę dyskusję. Mnie się wydaje, że istnieje jakaś podświadoma powszechna opinia, że polityka to jest rzecz brudna, że nie należy wchodzić w politykę, bo to jest coś złego. Jest to bardzo niekorzystne społecznie, taka spuścizna naszej najnowszej historii. Jeśli uznamy, że polityka to jest droga niewarta tego, żeby ją podejmować, to nie będziemy mieć porządnych ludzi w rządzie, bo skąd? Musimy wytworzyć społeczną świadomość, że polityk może być porządnym i prawym człowiekiem i że nie wchodzi na tę drogę ze względu na władzę i na zaszczyty, tylko ze względu na to, co mówi i robi – ze względu na służbę społeczeństwu i Ojczyźnie. To jest sprawa, o którą powinniśmy zabiegać.

Jarosław Świdorski

Chciałbym jeszcze tylko coś dodać. Oczywiście polityk może być człowiekiem porządnym, bardzo wartościowym i świetnie działać, ale mówi się o rządzie polityków i o rządzie fachowców. Ja chciałbym, aby minister był mniej politykiem, a bardziej fachowcem, to jest istota sprawy. Niech on nie walczy o utrzymanie się na tej pozycji, ale niech on jak najwięcej zrobi dla ludzi.

Ks. Adam Zelga

Bardzo państwu dziękuję za udział w naszym spotkaniu i zapraszam za miesiąc. Nasze 50. spotkanie odbyło się w aurze życzliwego ekumenizmu. Panie profesorze, szczególnie Panu dziękuję za obecność. Szczęść Boże.

Spisała z nagrania Agnieszka Żurek

Jakie są moje możliwości zwyciężania



zła dobrem?

Cytaty

Jan Paweł II. *Wyzwania stojące przed ludzkością: życie, chleb, pokój i wolność.* 10 stycznia 2005 r. (fragment)

W tegorocznym Orędziu na Światowy Dzień Pokoju pragnęłam zachęcić katolików i wszystkich ludzi dobrej woli do refleksji nad wezwaniem Pawła Apostoła: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”: *vince in bono malum* (Rz 12, 21). U podłoża tego wezwania jest głęboka prawda: w sferze moralnej i społecznej zło przybiera oblicze egoizmu i nienawiści, które mają charakter negatywny; tylko miłość, obdarzona pozytywną mocą wielkodusznego i bezinteresownego daru, gotowa nawet do ofiary z siebie, może zwyciężyć zło. W bardzo szczególny sposób wyraża się to w tajemnicy narodzin Chrystusa: aby zbawić człowieka od egoizmu grzechu i od śmierci, która jest jego owocem, Bóg sam w Chrystusie – pełni życia – wkracza z miłością w dzieje człowieka i wprowadza go w wyższy wymiar życia.

Jan Paweł II. *Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj.* 1 stycznia 2005 r. (fragmenty)

Od zarania dziejów ludzkość przeżywała tragiczne doświadczenie zła i starała się zrozumieć jego korzenie oraz wyjaśnić jego przyczyny. Zło nie jest anonimową siłą, działającą w świecie za sprawą deterministycznych, bezosobowych mechanizmów. Zło jest możliwe wskutek ludzkiej wolności. Właśnie ta zdolność, odróżniająca człowieka od innych istot żyjących na ziemi, stanowi ośrodek dramatu zła i stale mu towarzyszy. *Zło ma zawsze czyjąś twarz i czyjeś imię*: twarz i imię mężczyzn i kobiet, którzy je dobrowolnie wybierają. Pismo Święte uczy, że na początku dziejów Adam i Ewa zbuntowali się przeciw Bogu, a Kain zabił swego brata Abła (por. *Rdz* 3-4). Były to pierwsze błędne wybory, po których

na przestrzeni wieków nastąpiły niezliczone dalsze. Każdy z nich ma *istotne znaczenie moralne*, które zakłada określoną odpowiedzialność podmiotu i wiąże się z podstawowymi relacjami osoby z Bogiem, z innymi osobami i ze światem stworzonym.

Jeśli szukać będziemy najgłębszej istoty zła, okaże się, że *w ostatecznym rozrachunku jest ono tragicznym uchybieniem wobec wymogów miłości*. Dobro moralne natomiast rodzi się z miłości, objawia się jako miłość i kieruje się ku miłości. Jest to szczególnie oczywiste dla chrześcijanina, który wie, że udział w jednym Ciele Mistycznym Chrystusa rodzi szczególną relację nie tylko z Jezusem, ale i z braćmi. Logika miłości chrześcijańskiej, która w Ewangelii stanowi pulsujące serce dobra moralnego, prowadzi w następstwie aż do miłości nieprzyjaciół: „Jeżeli nieprzyjaciel twój cierpi głód – nakarm go. Jeżeli pragnie – napój go” (Rz 12,20).

By wprowadzać pokój, zwyciężając zło dobrem, trzeba zwrócić szczególną uwagę *na dobro wspólne* oraz jego formy społeczne i polityczne. Kiedy bowiem na wszystkich płaszczyznach krzewi się dobro wspólne, krzewi się pokój. Czyż osoba może się w pełni realizować, nie uwzględniając swej natury społecznej, czyli bycia „z” innymi i „dla” innych? Dobro wspólne dotyczy jej z bliska. Dotyczy z bliska wszystkich form, w jakich wyraża się społeczna natura człowieka: rodziny, grup, stowarzyszeń, miast, regionów, państw, wspólnot ludów i narodów. *Wszyscy w jakiś sposób uczestniczą w budowaniu dobra wspólnego*, w stałym poszukiwaniu dobra bliźnich, tak jakby chodziło o nasze własne dobro. Ta odpowiedzialność spoczywa w szczególności na władzy politycznej na każdym szczeblu jej sprawowania, ponieważ jest ona wezwana do tworzenia tych wszystkich warunków społecznych, które pozwalają człowiekowi na integralny rozwój własnej osoby i ułatwiają go.

KONWERSATORIUM LI

(17 grudnia 2011)

Jakie są moje możliwości zwyciężania zła dobrem?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), s. Małgorzata Chmielewska (przełożona Wspólnoty „Chleb Życia”, prowadzi domy dla bezdomnych, chorych i samotnych oraz noclegownie dla kobiet i mężczyzn), Elżbieta Strzałkowska (prezes Stowarzyszenie Rodzin Zastępczych pow. Nowodworskiego „Gniazdo”), Elżbieta Wydra (prezes fundacji „Alaska”, organizator zajęć edukacyjno-sportowych dla „dzieci ulicy” na warszawskiej Pradze).

Ks. Adam Zelga

Spotykamy się tydzień przed wigilią i żyjemy świątecznym klimatem. Obecny od dawna w supermarketach, na ulicach, rodzi się w sercach chrześcijan, wciąż oczekujących na przyjsie Pana. A On w sposób zdumiewający postanowił przemówić do człowieka skażonego złem. Bóg przemówił do człowieka przez oddanie mu się całkowicie jako dziecko w Betlejem i w Eucharystii. To jest Dobra Nowina, która zapiera dech w piersiach.

Spotykamy się przed wigilią. Ma ona w sobie niezwykle polski urok, zaczyna się w rodzinach, które przeżywają wigilię narode-



Ks. Adam Zelga

nia Jezusa. Zaczyna się od ceremonii pojednania, ceremonii przebaczenia, od wykrzesania w sobie takiej siły, która pozwoli stanąć naprzeciw tych, którzy zasiądą z nami do stołu wigilijnego, i powiedzieć, że mimo wszystko kochamy się, jesteśmy dla siebie, przebaczymy sobie. Gest przebaczenia jest trudny szczególnie dla ludzi, którzy mają innym do przebaczenia wiele. Są jednak tacy, którzy potrafią to uczynić.

Pozwolę sobie przytoczyć dwa przykłady realizacji słów „zło dobrem zwyciężaj”. Pierwszy opowiedział ks. Bronisław Bozowski, sławny warszawski kapłan dwu środowisk – warszawskiej inteligencji i ludzi z marginesu. 17 września 1939 r. był we Francji. Kiedy przygotowywał się do Mszy świętej, ktoś wszedł do zakrystii i powiedział, że do Polski weszli Rosjanie. Wtedy młody ks. Bronisław Bozowski długo się spierał ze sobą w zakrystii, bo nagle uświadomił sobie, że nie może wyjść do Stołu Pańskiego i sprawować liturgii, w czasie której padną słowa „odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” – a jego serce jest wypełnione nienawiścią... Po dłuższej chwili modlitwy i skupienia doszedł do wniosku, że jedyną i najgłębszą siłą, najgłębszą odpowiedzią na tę agresję może być Msza święta i z wielką mocą wypowiedział te słowa. Dobrze pamiętam ten przykład, bo on jest dla mnie świadectwem wielkiej klasy wewnętrznej człowieka. Można



Paneliści: od prawej ks. Adam Zelga, Elżbieta Wydra, s. Małgorzata Chmielewska i Elżbieta Strzałkowska

więc przebaczyć siłą wiary nawet taką wielką krzywdę.

Drugi przykład to opowiadanie ks. Jana Sikorskiego, który w stanie wojennym opiekował się internowanymi w Białoleńcu. Opowiadał o pewnym człowieku, który po wyjściu z „interny” był bardzo gnębiony politycznie. Nachodzono go, nagabywano, wzywano na śledztwa i rozmowy. Któregoś dnia zmęczony kolejnym przesłuchaniem, niemal doprowadzony do granicy depresji, powiedział do śledczych: „u mnie nad łóżkiem wisi obraz Ostatniej Wieczerzy i tam jest Judasz, który wychodzi. Dajcie mi spokój, bo ja nie chcę być Judaszem”. I dali mu spokój. Taką moc ma siła płynąca z miłości, jeżeli na niej będziemy budować naszą przyszłość. Jeżeli tej przyszłości nie będziemy budować na przebaczeniu, ale na wendecie, to ludzkość nie będzie miała żadnej przyszłości.

Elżbieta Wydra

Fundację „Alaska” założyliśmy z mężem sześć lat temu. Od początku pomagały nam w pracy nasze córki.

Urodziłam się i wychowałam na Pradze i od małego dziecka wiedziałam, co to jest głód, przemoc, agresja, poniżanie człowieka, odebranie mu nadziei i powiedzenie dziecku, że nic z niego nie będzie. Na Pradze jest bardzo dużo rodzin trudnych, dysfunkcyjnych, patologicznych i w tych rodzinach dzieją się straszne rzeczy, których na ulicy na co dzień nie widać. Dzieci z tych rodzin wychodzą z domu bite, męczone, głodzone i to, co widzą w domu, odreagowują na ulicy. Im się wydaje, że w ten sposób mogą zaistnieć i zdobyć pozycję.

Na taką grupę bardzo trudnych chłopców trafiliśmy na Pradze. Zajęliśmy się dwunastoma chłopcami, którymi nikt nie chciał się zająć. Oni brali wcześniej udział w zajęciach z pedagogami ulicznymi, ale okazało się, że nawet ci pedagogzy nie dają sobie z nimi rady... Razem z mężem zostaliśmy bez jakiegokolwiek pomo-



Elżbieta Wydra

cy z dwunastką chłopców, którzy byli agresywni, wulgarni i nieokiełznani. Okazało się, że mają sprawy w sądach, nie chodzą do szkoły, biorą narkotyki, piją, palą, biją, napadają. Na szczęście mamy psy malamuty i dzięki nim nawiązaliśmy wspaniałą więź z chłopcami, bo oni nie chcieli kontaktu z dorosłymi, którzy kojarzą im się z rodzicami, którzy biją i piją, z kuratorami, którzy ich prześladują, i nauczycielami, którzy ich się boją. Zabraliśmy ich na zawody psich zaprzęgów i zaakceptowaliśmy ich takich jacy są. Nie mogli przy nas palić, przeklinać – pilnowali się nawzajem. Zaangażowaliśmy ich tak, że zaczęli nam czynnie pomagać: podprowadzali psy i odbierali je na mecie, poili, ubierali w szelki i widzieliśmy tak cudowną przemianę, że trudno jest to określić słowami. Powstała między nami przyjaźń i chłopcom zależało, by przyjeżdżać do naszego domu. Przyjęliśmy ich i w czasie weekendów mieliśmy nie dwoje dzieci, ale czternaścioro dorastających dzieci. Wspaniała współpraca bez przemocy, agresji, bez złych emocji. Tym chłopcom nikt nie dawał wcześniej żadnej szansy na cokolwiek. Większość ludzi ocenia ich, że będą tacy jak ich rodziny. Nie zgadzając się z tym, próbowałam chłopcom przekazać, że mają



Elżbieta Wydra (z mikrofonem) wraz z s. Małgorzatą Chmielewską i ks. Adamem Zelgą

prawo do marzeń i do stworzenia normalnej rodziny. Sama wyszłam z takiej rodziny jak oni i jestem dowodem, że można – i oni zaczęli w to wierzyć. To było moje marzenie i po to powstała fundacja „Alaska”.

Przedstawię jeszcze jeden przykład zwyciężania zła dobrem. Jarek jest najtrudniejszym chłopcem w grupie. Kiedy go poznaliśmy, miał 9 lat i wadę wymowy, więc koledzy naśmiewali się z niego, za co on ich bił i agresja rodziła agresję. Z Jarkiem trudno było nawiązać kontakt. Kiedy przyjechali do nas na pierwszy biwak pod namiotem, dzień był pełen emocji. Na początku byli wulgarni, ale staraliśmy się nie zwracać na to uwagi. Trochę się ich baliśmy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że robią to specjalnie, żeby nasstraszyć. Gdy wszyscy poszli spać, usłyszeliśmy krzyki chłopca: „mamo! nie zamykaj mnie!” i okazało się, że największy bandziorek najgłośniej wołał o pomoc. Mój mąż zjął polar i opatuliliśmy go, przytuliliśmy, głaskaliśmy, aż usnął. Na drugi dzień obudził się w polarze, nic nie pamiętał, natomiast zachowywał się jak małe zwierzątko. Obserwował nas i nie odstępował na krok, czuł się przy nas bezpiecznie. Myślę, że pierwszy raz miał takie poczucie. Dwa lata później udało nam się go nakłonić na powrót do szkoły i do logopedy na naukę mowy. Chłopiec, który ma obecnie 13 lat, zaczął czytać i pisać. Powiedział, że nas kocha i nie da nas skrzywdzić. Nie sądzę, by komukolwiek wcześniej takie rzeczy mówił. W tej chwili jest w ośrodku wychowawczym w Lidzbarku Warmińskim, ponieważ w domu rodzinnym nie pozwalali mu wrócić na dobrą drogę. Jest szansa, że będzie z niego fajny człowiek.

Elżbieta Strzałkowska

Mam czworo dzieci, z czego połowa jest już dorosła. Cztery lata temu zostałam mamą zastępczą dla kolejnej dwójki. Chciałabym opowiedzieć, jak temat zadany przez Konwersatorium – zło dobrem zwyciężaj – objawił się w moim życiu prywatnym i jak wciągnął mnie wir pracy społecznej. Jak to się stało, że zostałam mamą zastępczą, jak powstało Stowarzyszenie „Gniazdo” i jak temat rodzin zastępczych zdominował moje życie.

Pierwszy raz temat adopcji pojawił się w naszym domu, gdy urodziła się najstarsza córka. To było 26 lat temu. Pomyśleliśmy wtedy z mężem, że mamy już swoje, udane, i że moglibyśmy przy-



Elżbieta Strzałkowska

garnąć cudze, potrzebujące rodziny dziecko. Wydawało nam się to proste i naturalne. Do zrobienia. Nasze życie potoczyło się jednak dość burzliwie i mocno nas skotłowało. Urodziłam jeszcze troje dzieci, nasze małżeństwo rozpadło się i sklepiło ponownie. Przez te wszystkie lata temat adopcji wracał w dobrych momentach. Odpływał, gdy działo się gorzej. Zawsze wtedy myślałam, że to dobrze, bo widocznie my się do tego nie nadajemy. Historia naszego życia pokazuje jednak, że – po pierwsze

– Pan Bóg ma poczucie humoru, po drugie – chyba w nas mocno wierzy. Od czterech lat jesteśmy rodzicami zastępczymi dwójki dzieci. I jesteśmy szczęśliwi z tego powodu.

Historia potoczyła się pozornie przypadkowo, patrząc z perspektywy czasu trudno jednak uwierzyć w taką sekwencję przypadków. Prowadziłam gazetkę wioskową i pojechałam do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, żeby dopytać, czym się właściwie zajmują i w jakich sprawach ludzie mogą na nich liczyć. Wtedy chyba po raz pierwszy usłyszałam o rodzinach zastępczych, o tym, jakie mają prawa i obowiązki. Usłyszałam, że trzeba skończyć specjalny kurs i że na razie w naszym powiecie taki kurs nie jest planowany. Podczas rozmowy, gdzieś tak między zdaniem, powiedziałam, że też kiedyś myślałam o wzięciu dziecka. Pani, z którą rozmawiałam, zapisała mój telefon. Miesiąc, może dwa miesiące później pojechałam na rekolekcje ignacjańskie do Gdyni. Cisza i modlitwa – to jest czas, który mi zawsze dobrze robi. Potrzebuję tego jak powietrza, bo w domu, na co dzień jest zawsze mnóstwo roboty, tysiąc spraw i ogólny harmider. Jest nas dużo, do tego 10 psów, kilka kotów, stajnia z 30 końmi... Bardzo potrzebuję dłuższych chwil wyciszenia, żeby zmierzyć się z tematami, które są we mnie głębiej. Takim właśnie tematem było moje niezdecydowanie w kwestii adopcji – postawa „chciałabym, a boję się”, która strasznie mnie denerwowała. Powiedziałam wtedy



Elżbieta Strzałkowska wraz z s. Małgorzatą Chmielewską

w Gdyni, sobie i Panu Bogu: dosyć tego, przestaję jęczeć, zamykam temat. Nie minął miesiąc, jak zadzwoniła pani z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie z pytaniem, czy mam jeszcze w głowie temat rodziny zastępczej. Jest podbramkowa sytuacja: w ciągu dwóch tygodni muszą umieścić dwoje dzieci, którym kończy się czas pobytu w pogotowiu rodzinnym. Inaczej czeka je dom dziecka. Nie mieliśmy żadnych wahań ani wątpliwości.

Żeby dobro mogło się zrealizować w naszym życiu, potrzebne były działania innych ludzi i sploty dobrych okoliczności. Potrzebna była dobra wola pani z Powiatowego Centrum, która wyszła poza rutynowe działanie urzędnika, odszukała mój telefon i w porę się do mnie dodzwoniła. Także decyzja sądu rodzinnego w Nowym Dworze Mazowieckim, który generalnie nie jest instytucją przyjazną. Pozwolono nam jednak pominąć konieczne procedury, a kurs dla rodziców zastępczych kończyłam, mając już dzieci w domu. Trzecim zaskakującym elementem była postawa naszej lokalnej szkoły. Miałam mocno na pieńku z dyrektorką, ponieważ prowadząc gazetkę, pisałam też o tym, co się dzieje w szkole. A jednak gdy okazało się, że nawet w sąsiednich gminach nie mogę znaleźć przedszkola dla Damiana, ta sama pani dyrektor zaproponowała, żeby czteroletni wówczas chłopiec

poszedł z siostrą do zerówki – po to, by ich nie rozdzielać.

Wraz z przyjęciem dzieci nastąpiła ogromna zmiana w naszym życiu. Można powiedzieć, że wypłynęliśmy na głębię. Z wszystkimi konsekwencjami. Okazało się też, że lęk, który tak długo mnie paraliżował, po prostu się ulotnił. W naturalny sposób pojawiła się konieczność pracy społecznej. Stowarzyszenie „Gniazdo” powstało właściwie na kursie przygotowawczym dla kandydatów na rodziców zastępczych. Po co i dlaczego? Po pierwsze dlatego, że chociaż nasz powiat oddalony jest jedynie o 30 kilometrów od Warszawy, temat pieczy zastępczej był u nas zupełnie zaniedbany. Dopiero na kursie dowiedziałam się, jaka jest skala problemu: w Polsce 25 tysięcy dzieci dorasta w domach dziecka, z czego zaledwie 2% to sieroty naturalne. Reszta to sieroty społeczne, bez uregulowanej sytuacji prawnej, co znaczy, że nie można ich adoptować. To chora sytuacja. Dowiedziałam się też, że pokutuje powszechne przekonanie, iż rodziny zastępcze biorą dzieci dla kasy. Jednak mało kto wie, o jaką kasę chodzi: to 1000 złotych miesięcznie dla dzieci do 7 lat, po czym kwota maleje wraz z wiekiem dziecka. Podczas kursu dowiedziałam się także, jak bardzo obciążone i zaniedbane dzieci trafiają do rodzin zastępczych. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że żyję na podwarszawskiej wsi, otoczona masą patologicznych rodzin. Nie wiedziałam, że dzieci te nie są objęte specjalistyczną opieką lekarską ani psychologiczną, której będą potrzebować przez długie lata. Podczas kursu dotarło też do mnie, co się dzieje z dorosłymi wychowankami rodzin zastępczych na naszym terenie. Kiedy kończą 18 lat i muszą rozpocząć dorosłe, samodzielne życie, dostają 6 tysięcy złotych wyprawki „na garnki” i niecałe 500 złotych miesięcznie na kontynuowanie nauki. Na tym kończy się ustawowa i samorządowa pomoc. Dalej radź sobie sam. Bez mieszkania, pracy, zaplecza. To dlatego młodzi ludzie często wracają do swoich rodzin biologicznych, a wieloletni trud wyciągania ich z patologii można zniweczyć w parę miesięcy. Dowiedziałam się też, że rodziny zastępcze mają obowiązek współpracy z rodzinami biologicznymi i że tak naprawdę jesteśmy po to, żeby dzieci wróciły do swoich rodzin biologicznych. W rzeczywistości to kolejna fikcja, bo nie ma żadnego długofalowego programu pracy z rodzinami naturalnymi, który umożliwiałby im

stanięcie na nogi i odzyskanie dzieci.

Z taką wiedzą, w grupie kilkunastu osób, wyszliśmy z kursu dla rodziców zastępczych i założyliśmy Stowarzyszenie „Gniazdo”. Założyliśmy je po to, by połączyć siły, reprezentować grupę 90 rodzin zastępczych i dwa rodzinne domy dziecka w naszym powiecie, nazywać potrzeby, formułować zadania i pomagać sobie, innym rodzinom i 150 dzieciom, które wychowują. Jesteśmy małym stowarzyszeniem, a jednak mam wrażenie, że zrobiliśmy już całkiem sporo – dotarliśmy do władz samorządowych, zaistnieliśmy w świadomości lokalnej społeczności. Zaczynamy dobić się o sprawy, które były przez lata spychane na dalszy plan.

Praca społeczna dała mi doświadczenie tego, jak jedna dobra decyzja generuje drugą. Jak jedno dobro rodzi kolejne. Podam konkretny przykład. Mamy kontakt z dorastającą młodzieżą, w wieku 16-19 lat. To trudna grupa. Nie można nic im kazać, jedynie zachęcać do współpracy. Udało nam się zaprosić do działania Fundację „Robinson Crusoe”, która zajmuje się usamodzielnianiem młodzieży z rodzin zastępczych. Od 2 lat Fundacja prowadzi w Nowym Dworze warsztaty z naszą młodzieżą. Ta grupa żyje, trwa, tworzy się środowisko. Z tych warsztatów wynika kolejny cel, tym razem na płaszczyźnie współpracy z samorządem: trzeba stworzyć mieszkania chronione, żeby przez dwa – trzy lata w bezpieczny sposób nasi wychowankowie mogli trenować normalne życie. Kolejny cel, który zaczyna chodzić nam po głowie, to założenie spółdzielni socjalnej, żeby nauczyli się pracować, a nie zatrudniać na czarno czy stać w kolejce do Ośrodka Pomocy Społecznej po zasiłki – bo to są właśnie najprostsze rozwiązania, w które wpycha ich funkcjonujący system.

Będę kończyć. Chciałam jeszcze tylko powiedzieć, że to, co opisuję, nie jest wcale cukierkowe. W ciągu tych 4 lat wiele godzin



Elżbieta Strzałkowska

przeplakałam, przeryczałam ze zmęczenia, fizycznego i psychicznego. Z bezsilności. Dzieci mnie testowały, sprawdzały granice. A kiedy poczuły się bezpieczniej, zaczęły odreagowywać traumę poprzednich lat. Wielokrotnie czułam całkowitą bezradność, bo doświadczenie rodziców zastępczych nijak się ma do tego, co przeżyliśmy z własnymi dziećmi. Ale też nigdy nie żałowałam podjętej decyzji. Ani ja, ani mój mąż.

S. Małgorzata Chmielewska

Podzielę się własnym doświadczeniem z zakresu ostatniej poruszonej kwestii. Młodzież, która kończy 18 lat i wychodzi z domów dziecka, trafia w większości do przytułków, czyli krótko mówiąc do domów dla bezdomnych. Tak działa system. Najpierw przepuści 6 tysięcy złotych. Jeśli państwo wychowują dzieci, nie-



S. Małgorzata Chmielewska

trudno sobie wyobrazić, że gdyby 18-letnie dziecko stanęło na ulicy, nie mając nikogo, na kim mogłoby się oprzeć, mając 6 tysięcy złotych w kieszeni, najpierw je wyda, a potem zamelduje się w schronisku dla bezdomnych. Jeżeli jest gdzieś tymczasowo zameldowany, to po jakimś czasie przychodzi policja i zamyka do więzienia za niepłacony telefon komórkowy czy kredyt, który w tym czasie zaciągnął. Takie są najczęstsze koleje losu tej młodzieży, z którą mamy do czynienia.

Jeśli taki młodzian czy dziewczyna trafi na Wspólnotę „Chleb Życia” i ks. Jacka, który ma talent

do negocjacji, to można liczyć, że w więzieniu posiedzi tylko parę dni, a następnie będziemy razem z nim latami spłacać długi, żeby nie siedział w więzieniu. Tak to wygląda.

Jeśli chodzi o domy dziecka i rodziny zastępcze, to uczestniczyłam ostatnio w walce o nową ustawę dla rodzin zastępczych, w walce niestety przegranej, gdyż istnieje niezwykle silne lobby pracowników domów dziecka. Jest to lobby polityczne. Polega to

na tym, że jeżeli wygra wybory samorządowe jakaś partia, to na każdej wsi w danym powiecie starosta ma do rozdania tylko parę etatów: w domach pomocy społecznej (dla ludzi starszych i chorych), w ośrodkach opiekuńczo-wychowawczych ze szkołami specjalnymi z internatami i w domach dziecka. Żaden starosta nie wypuści na wsi możliwości wynagradzania tych, którzy na niego głosowali. Z drugiej strony, w sytuacji bezrobocia na wsiach ludzie będą się buntować, bo wiadomo, że jak będą rodziny zastępcze, to ludzie stracą pracę w domach dziecka.

Jeśli chodzi o zwierzęta, to są one nieodłącznym elementem powrotu do życia ludzi połamanych. Moje doświadczenie jest takie samo jak pani prezes fundacji „Alaska”.

Zło można tylko dobrem zwyciężyć, gdyż tylko ono przywraca jedność i pokój. Brak pokoju to jest brak miłości, to jest krzywda, to jest grzech i zwrócenie się przeciwko drugiemu człowiekowi. Brak pokoju to rozdarcie świata, o którym panie opowiadały. Mam z nim na co dzień do czynienia, ponieważ żyję wśród ludzi bezdomnych, jak również z tymi, którzy opuścili domy dziecka. To są ludzie, którzy przez swoje złe wybory, czyli brak miłości, albo też przez brak miłości ze strony innych ludzi zostali zepchnięci na margines. Przypadki, o których Panie mówiły, to są przykłady braku miłości ze strony innych dorosłych. Ten brak jedności, tę dysharmonię i to rozdarcie odczuwamy wszyscy na co dzień. Nasz Kościół jest podzielony – osobno księża, osobno siostry zakonne, osobno świeccy, a w mediach jedna gazeta pluje na drugą itd. Jest to głębokie rozdarcie, w którym osobno są ci, którym się w życiu powiodło – porządni, dobrzy katolicy, ale bardzo daleko od nich są ci, którym się w życiu nie powiodło z różnych powodów albo się gorzej urodzili, albo też źle wybrali lub nie mieli tyle szczęścia, na przykład zachorowali psychicznie. Znajdują się na marginesie życia, nie mają szans i są tymi, których nigdy „porządni” chrześcijanie do swego „porządnego” stołu nie dopuszczają. Ta bariera narasta także w naszej świadomości.

Dwójka moich przybranych dzieci to są dzieci romskie z ciemnym odcieniem skóry. W polskim Kościele, w polskim społeczeństwie, gdzie większość deklaruje się jako ludzie wierzący, te dzieci nie miały i nie mają lekko. W szkole podstawowej były topione głową w ubikacji, żeby wymyć „brudnego Rumuna”.



S. Małgorzata Chmielewska wśród panelistów

Wracam do sprawy jedności. Nie tak dawno, 6 grudnia jeden z naszych domów, schronisko dla osób bezdomnych i chorych na ulicy Potrzebnej w Warszawie, obchodziło swoje święto, gdyż jego patronem jest święty Mikołaj. Odbyła się wielka uroczystość z uczestnictwem mieszkańców tego domu. Są to ludzie chorzy, bez nóg, rąk, często chorzy psychicznie. W tym domu prowadzonym przez Wspólnotą „Chleb Życia”, uważaną w Kościele za kupę wariatów, na wspomnianej uroczystości zgromadziły się Wspólnoty Jerozolimskie, przedstawiciele Pallotynów, Mali Bracia Jezusa i Wspólnoty świętego Idziego itp., a więc sam kwiat uznany przez Kościół. Przyszli do naszych nędzarzy, śpiewali im, tańczyli razem ze wszystkimi. To oznacza, że Ewangelia się sprawdza. Pan Jezus mówi, że dla Niego największym pragnieniem jest jedność wśród ludzi, bo skutkiem grzechu pierwotnego świat jest podzielony. Jeżeli Chrystus mieszka pod trzema adresami, o których tu była mowa: Kościół, Eucharystia i człowiek ubogi i jeżeli Chrystus przyszedł po to, aby pojednać świat ze sobą, to ubodzy i cierpiący w pewnym sensie są sakramentem pojednania. Mówił o tym Jan Paweł II: „jedyna droga, która może zjednoczyć rozdarty świat, wierzących, niewierzących, jak i ludzi różnych religii, to jest służba człowiekowi ubogiemu”. To się sprawdza. Wobec tego, jeśli ludzie

ubodzy uobecniają Chrystusa, Chrystus w nich cierpi, to siłą rzeczy wokół nich gromadzą się ludzie pragnący pokoju, dobra, prawdy i jedności, niekoniecznie wierzący, jak owe wspólnoty, które nie spotkałyby się inaczej, bo chodzą innymi drogami.

Moim marzeniem jest, aby w naszym domu nędzarzy przy jednym stole zasiedli wojewoda mazowiecki, prywatnie, polityk z SLD, też prywatnie, jako zwykły człowiek, Prezydent miasta stołecznego Warszawy, a nawet Biskup. Siadą razem z nami przedstawiciele Radia Maryja, przedstawiciele „Tygodnika Powszechnego”, przedstawiciele PiS, PO i wszystkich możliwych partii, zupełnie prywatnie. Siadą razem z naszymi mieszkańcami i wtedy być może się okaże i oni się przekonają, że tak naprawdę, to oprócz tego, że mają różne poglądy, to się bardzo lubią. Takie rzeczy zdarzają się w naszych domach.

Do naszych domów przynoszą dary, pomagają nam ludzie naprawdę dalecy od Kościoła, jak również ludzie, których poglądy, na przykład polityczne, są różne niż moje, którzy mogą pluć na Kościół, ale przyjdą i przyniosą swoje najlepsze garnitury. Ludzie, którzy baliby się przyznać do tego, że są dobrzy. To jest ten mechanizm, o którym wspominała pani Elżbieta, że urzędniczka zachowała się jak człowiek, co oznacza, że w każdym człowieku jest pragnienie dobra i w urzędnikach też. Taka jest rzeczywistość, że wystarczy punkt dobra, jego świadectwo, a ludzie przełamują bariery. Nawet ci, którzy są ogromnie brutalni i agresywni, potrafią pokazać nieprawdopodobną szlachetność, kiedy poda się im rękę i potraktuje jak ludzi.

„Zło dobrem zwyciężaj” to jest dla mnie przede wszystkim walka o jedność, to jest stałe przygarnianie tych skrzywdzonych, zepchniętych na margines, to jest przywracanie im godności, żeby uwierzyli, że jedyne, co się liczy w życiu, to jest dobro. Ono daje satysfakcję, mimo że często wymaga ogromnego wysiłku.



S. Małgorzata Chmielewska

Na koniec pociecha dla osób zajmujących się młodzieżą, której staramy się pokazać, że mają godność i pomagamy im wejść na drogę dobra, które sprawi, że będą szczęśliwi. Często spodziewamy się i liczymy, że ci młodzi ludzie, którzy przeszli przez gehennę w dzieciństwie, będą tacy jak my. Otóż nigdy nie będą. Jeżeli jednak jako dorośli ludzie przyjdą do was i przyznają wam rację, będzie to wasz sukces. My jesteśmy niecierpliwi w przewycięzaniu zła dobrem, porównujemy innych do siebie, natomiast Bóg patrzy na to zupełnie inaczej. Jeśli zechcemy modelować świat na swoje wyobrażenie, to ten świat będzie się coraz bardziej dzielił. Kościół jest takim miejscem, w którym do stołu może zasiąść biskup, ambasador, znany polityk i nędzarz, to jest jedyne takie miejsce. Problem jest w tym, byśmy otworzyli przestrzeń naszego Kościoła, żeby ten najślabszy był w centrum naszego życia wspólnotowego. Poleciał nam to Jezus.

Ks. Adam Zelga

Bardzo dziękuję za te niezwykle świadectwa, pozwolę sobie podsumować je jednym zdaniem z Pisma Świętego: „Chrystus dla nas stał się ubogim, aby nas swoim ubóstwem ubogacić”. Myślę, że to jest najlepszy komentarz do tego, co usłyszeliśmy.

Dyskusja

Jolanta Merklinger

Pracowałam jako psycholog w Opolu, koło którego mieściła się szkoła życia dla ludzi upośledzonych w stopniu znacznym oraz głębokim dla dzieci. Szkoła życia, czyli szkoła, która uczy podstawowych czynności życiowych. Szkołę tę prowadziły siostry zakonne, które poprosiły mnie i moją koleżankę o przebadanie uczniów, żeby określić ich poziom intelektualny. Ku naszemu ogromnemu zdziwieniu znaleźliśmy tam chłopca, który był normalny. Był sierotą społeczną i 12-letnim analfabetą. Dopiero kiedy trafił do szkoły życia, to zaczął się rozwijać. Znalazł osobę, która go pokochała i ta miłość go uzdrowiła.

I drugi przykład. Ponieważ mieszkałam w Opolu, a rodzice w Poznaniu, to bardzo często, jeżdżąc samochodem, przejeżdżałam przez Jarocin. Były to lata 1970., lato. Jak wyglądała i jak zachowywała się młodzież stojąca przy szosie i starająca się złapać „okazję”, przerażało wszystkich: irokezy, dziwne ubrania, powiedzenia, gesty itp. Nikt się nie zatrzymywał, a oni łapali stopa, bo chcieli się dostać do domu. Jechałam z małą córką i pomyślałam, że się do nich uśmiechnę. Stało się



Jolanta Merklinger

coś nieprawdopodobnego: nagle ci agresywni ludzie zaczęli zachowywać się stosownie i okazali się bardzo sympatyczni.

Izabela Dzieduszycka

Temat naszego dzisiejszego spotkania „zło dobrem zwyciężać” chciałabym przedstawić na tle stosunków w rodzinie. Jest ona szczęśliwa i zdrowa, gdy jest oparta na miłości. To oczywiste. Bardzo też ważnym elementem w stosunkach rodzinnych jest umiejętność przebaczenia. Jeżeli dzieci ufają rodzicom, że gdy przyznają się do winy, to rodzice im przebaczą, nie będą kłamać. Najgorszą rzeczą w rodzinie i w małżeństwie jest kłamstwo. Często wynika ono z obawy, że wina nie zostanie wybaczona. Myślę, że przebaczenie i miłość cechuje zwycięstwo dobra nad złem w rodzinie.

Każdy z nas żyje w określonym środowisku i współpracuje z ludźmi. Dla dobrych wzajemnych relacji ogromnie ważne jest, żeby te relacje były oparte na zaufaniu, na przyjaźni między ludźmi. Czasem może być to trudne, wiem to z własnego doświadczenia, pogodzić się z czyjąś negatywną postawą. Jedyłą drogą, żeby zachować spokój, żeby zachować dobre relacje, a tym samym żeby środowisko było twórcze, aktywne, podejmowało pozytywne dzia-



Izabela Dzieduszycka (z mikrofonem)

łania, trzeba nauczyć się przebaczać, trzeba dobrem zło zwyciężać.

Opowiem o pewnym zdarzeniu, które mnie spotkało nie tak dawno, bo ze dwa, trzy miesiące temu. Na przystanku tramwajowym stało dwóch czy trzech młodych ludzi i „rzucało mięsem”. Nie powtórzę słów, ale były ogromnie wulgarne. Podeszłam do nich i powiedziałam: „tak miło wyglądacie, a tak źle się wyrażacie, jak możecie”. Na co oni powiedzieli „przepraszamy panią” i przestali. Jest to przykład, jak dobre słowo w wielu sytuacjach może łagodzić obyczaje. Dalszy ciąg tej sprawy był także ciekawy. Z boku na ławce siedział jakiś starszy człowiek, który zwrócił się do mnie i powiedział „jakim prawem zwraca pani uwagę młodym ludziom”, a ci podeszli do niego i powiedzieli „jak się nie zamkniesz, to tak dostaniesz, że się nie pozbierasz”.

Inna jest sytuacja, jeśli zło dzieje się w sferze publicznej. Wymaga to od nas wystąpienia publicznego i wtedy jest potrzebna odwaga cywilna.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

W naszym życiu zdarzyło się, że dziewięcioletni wówczas chłopiec z domu dziecka wybrał nas jako swoich opiekunów. To był absolutny przypadek, zupełnie przez nas nie planowany. Nie będę

tego opisywała, bo już kiedyś o tym mówiłam. Podjęliśmy wówczas decyzję, bardzo trudną dla nas, i nigdy od niej nie odstąpiliśmy.

Równocześnie trzeba zdawać sobie sprawę, że podejmując taką decyzję (adopcji czy opieki nad dzieckiem jako rodzina zastępcza), wybiera się drogę często trudną, a nawet bardzo trudną. Szczególnie dotyczy to dzieci kilku lub kilkunastoletnich. Dzieci te mają często głęboki kompleks niższości i chcąc się dowartościować, wchodzi w różne fatalne towarzystwa. Trafiają do więzień, poprawczaków. Trzeba być na to przygotowanym, nie załamywać się, trwać przy nich. Myśmy to wszystko przeszli. Dzisiaj nasz chłopak ma czterdzieści parę lat, jest bardzo do nas przywiązany. Już jako dorosły skończył technikum, bo wcześniej nie chciał się uczyć, ma mieszkanie, samochód, porządnie pracuje, tylko, ku naszemu smutkowi, nie założył dotychczas rodziny.

Parę podobnych przypadków obserwujemy u naszych znajomych i przyjaciół. Jedni z nich wzięli pod swoją opiekę dziewczynkę wówczas jedenastoletnią. Wprawdzie dobrze się uczyła, ale stale wchodziła w bliższe relacje z mało ciekawymi towarzystwami. Szukała dowartościowania. Dopiero jak zdała maturę i poszła na studia, pozbyła się kompleksu niższości. Niewątpliwie pomogła jej w tym wielka i mądra miłość, którą cały czas darzyli ją jej opiekunowie.



Paneliści i słuchacze

Oczywiście każdy przypadek jest inny. Ale też, za Siostrą Małgorzatą, zalecałabym cierpliwość. Jeżeli nasze dzieci wyrosną na ludzi, którzy odróżniają dobro od zła – to już bardzo dużo. Nasz chłopak o swoich braciach mówi „menele”. Oni są alkoholikami – on nie pije, oni kradną – on nie, on pracuje – a oni są bezrobotni, on skończył technikum – a oni są zaledwie po paru klasach szkoły podstawowej. Oczywiście to nie wszystko z naszych marzeń w stosunku do naszego chłopaka, ale cieszymy z tego, co jest i polecamy jego życie świętemu Józefowi pod opiekę. On przecież znał się na adopcji!

Na zakończenie Konwersatorium i w związku z tym, że jest to ostatnie spotkanie przed Bożym Narodzeniem, składam bardzo serdeczne życzenia wszelkich Łask Bożych zarówno Paniom z panelu, Księdzu Adamowi, jak i wszystkim słuchaczom. Następnym razem spotkamy się 21 stycznia, w trzecią sobotę miesiąca. Dziękuję wszystkim serdecznie za udział i wypowiedzi.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Bogdan Puławski (Dania)

Mój prawie 50-letni pobyt za granicami kraju na pewno da się, tu i ówdzie, zauważyć w niezręcznościach językowych. Proszę wybaczyć. I tu już mamy centralne słowo walki dobrego ze złym: wybaczać.

W celu uproszczenia tego tak niezwykle rozległego tematu, podzieliłbym objawy przeze mnie doświadczanego zła (i walki z nim) na dwie domeny mojego życia: zło skierowane przeciw mnie i moim najbliższym i zło skierowane przeciw mojemu bliźniemu (bliskiemu – kolega, sąsiad, czy dalekiemu, którego często spotykałem w mojej pracy zawodowej, szczególnie w krajach rozwijających się).

Jestem wdzięczny Bogu, że zła skierowanego przeciw mnie i moim bliskim w dużej mierze mi zaoszczędził. Jeżeli nawet takie

było, to go nie pamiętam i nie chcę pamiętać. Oczywiście były i są „twarze i nazwiska” mi nieprzychylne i zazdrosne, ale unikałem chyba najgorszego typu zła – nienawiści.

Jak radzę sobie z tym złem? Chyba tak jak większość z nas, próbą dyskusji, tłumaczenia, zrozumienia, utrzymania kontaktu „mimo wszystko”, czasem ustępstw. Oczywiście były i są sytuacje, gdzie rezultatem sprzeciwienia się złu musi być zerwanie kontaktu czy odsunięciem się.

Najtrudniejszy krok to wybaczenie. I chociaż powinniśmy mieć dosyć siły, by być „ojcem radośnie witającym marnotrawnego syna”, to w większości nam „śmiertelnym” jest bardzo trudno wspiąć się do poziomu: „Ojczy, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Zło skierowane przeciw bliźniemu to z mojego doświadczenia biedna staruszka czy starzec, schorowana matka z gronem zmarzniętych i głodnych dzieci lub zupełnie pozbawiony możliwości godnego rozwoju młody człowiek. Są to ofiary różnych form zła, jakie za Janem Pawłem II nazwałbym „złem społecznym”. Spotkać je można od wiejskich lepianek w Afryce, bambusowych domków Azji, polskiej czy ukraińskiej wiejskiej chaty, po miejskie betony Dżakarty, Nairobi czy Kijowa. O ile to zło jednostce trudno jest przezwyciężyć, to można mu jednak przeciwdziałać i łagodzić jego skutki tak materialną pomocą, jak i duchowym wsparciem. To ostatnie jest często o wiele ważniejsze niż ta szybko przemijająca materialna pomoc.

Raz po raz spotykałem się z uwagami, że dają się oszukiwać, że to naciągacze, spryciarze. Odpowiadałem, że nie mnie o tym sądzić – jest to moralny problem osoby przyjmującej. Moje sumienie nakazuje mi ten dobry uczynek spełnić.

Mam nadzieję, że tą postawą zbliżam się do słów Jana Pawła II, że „wszyscy w jakiś sposób uczestniczymy w budowaniu dobra wspólnego, w stałym poszukiwaniu dobra bliźnich, tak jakby chodziło o nasze własne dobro”. Bycia „z” innymi i „dla” innych.

Sofiya Okolko (Ukraina)

*Zło istnieje i z nim trzeba albo walczyć, albo się z nim pogodzić
(Giuseppe Maskati)*

Biorąc pod uwagę cytowane przez Jana Pawła II słowa Apostoła Pawła: „Nie poddawaj się złu, ale zło dobrem zwyciężaj”, widzę jedyną właściwą odpowiedź: tylko dobrem można zło przewyciężyć. A jeśli z nim nie walczymy, to konsekwencją jest przegrana.

Człowiek, niezależnie od stanowiska jakie zajmuje, czy jest prezydentem czy zwykłym pracownikiem, stoi przed wyborem – poddać się, albo...zwyciężyć. Aby zwyciężyć zło, musimy z nim walczyć, ale niekoniecznie musi to być walka „wręcz”, czyli siłą fizyczną, ale również siłami wewnętrznymi, czyli naszą siłą duchową.

Często zapominamy, że dobro i zło nie przychodzą same z siebie. To my, ludzie, jesteśmy nośnikami dobra i zła. Jesteśmy tymi, przez których elementy zła i dobra się realizują. Jan Paweł II mówił: „zło ma zawsze czyjaś twarz i czyjeś imię”. To przez nasze oblicza świat widzi dobro lub zło.

Nam nie są potrzebne karabiny czy bomby. By zwyciężyć zło, potrzebna jest nam miłość i miłosierdzie.

(Matka Teresa z Kalkuty)

W mojej walce ze złem opieram się na przykładach wielkich ludzi i staram się te przykłady realizować w życiu. Oczywiście bywają momenty, kiedy nie rozumiem, dlaczego mnie taki czy inny przypadek zła się przytrafił. Dlaczego właśnie ja mam się z tym złem zmierzyć, wybaczyć, a nawet kochać nosiciela zła, nie zważając na realia życia.

Nie zapomną dnia, kiedy jakiś agresywny osobnik tak silnie popchnął mnie na ulicy, że doznałam silnego urazu nogi. Zabrano mnie do domu, a kiedy ból nieco ustał, zaczęłam się uskarżać na „złoczyńcę”. Wtedy moja kochana mama czule mnie objęła i cicho powiedziała: „Kto by to nie był, wybac mu. Podziękuj Bogu, żeś żywa, a złość oddał od siebie”. Po dzień dzisiejszy słowa te dźwięczą mi w uszach. Ten spokojny głos matki... to tak jakby sam Anioł do mnie przemówił.

Pamiętam też, jak każdego wieczoru po kolacji cała rodzina wstawiała do modlitwy dziękczynnej za miniony dzień. Były dni, kiedy w domu nie było co do ust włożyć, a myśmy się modlili. Co to było takiego!? Dla mnie nic innego jak zwycięstwo dobra nad złem.

Rodzice przekazali mi ogromny skarb, za który będę im wdzięczna do końca życia; nauczyli mnie modlić się i szukać Boga w najbardziej beznadziejnych sytuacjach życia. Odkryli dla mnie drogę dobra. Dzisiaj, spoglądając wstecz, z przekonaniem mogę powiedzieć, że dzięki tej drodze stałam się silniejsza i odważniejsza w przeciwstawianiu się złu. Przynosi mi to satysfakcję i chęć kroczenia tą drogą dalej. Chrystus mówił, że większość ludzi idzie szeroką drogą... ponieważ jest lżejsza. Jeśli więc zaczynam zbyt silnie odczuwać w sobie słabość i egoistyczną naturę, mówię sobie: „Ostrożnie! może już weszłaś na szeroką drogę!?”



*Czy potrafię kształtować w sobie charakter,
silną wolę i świadczyć o tym innym?*



Cytaty

Ks. Marek Dziewiecki, *Chrześcijanin człowiekiem głębi* (fragmenty)

Swoje ostatnie – jak się okazało – orędzie na kolejny, czterdziesty drugi Tydzień Modlitw o Powołania (17-23 kwietnia 2005) Jan Paweł II zatytułował „Powołani, by wypłynąć na głębię”. W tym pożegnalnym orędziu Jan Paweł II zaprasza wszystkich ochrzczonych, by wypłynęli na głębię spotkania z Jezusem, na głębię modlitwy i prawdy o sobie, na głębię życia i miłości.

Postawa rodziców wobec dzieci oraz styl wychowania w rodzinie to istotny czynnik, który ułatwia lub utrudnia wypłynięcie na głębię chrześcijańskiego powołania. Również w tym aspekcie dominują postawy, które prowadzą na płyciznę. Dominuje bowiem wychowanie oparte na populizmie pedagogicznym i na idealistycznym patrzaniu na człowieka jako kogoś, kto rozwija się w sposób spontaniczny i bez wysiłku. Wielu współczesnych rodziców uwierzyło w mity o wychowaniu bezstresowym, o prawach dziecka bez obowiązków czy o neutralności światopoglądowej szkoły i to pomimo tego, że Konstytucja RP stwierdza, iż niektóre światopoglądy są wręcz przestępcze (chodzi o faszyzm i komunizm). Naiwni rodzice próbują kochać swoje dzieci, ale nie stawiają im wymagań. W konsekwencji nieświadomie promują egoizm, arogancję, lenistwo i niezdolność do miłości.

Z drugiej strony, coraz więcej rodziców wyciąga wnioski z porażek dominującego obecnie wychowania przez... brak wychowania i decydują się wypłynąć na głębię. Tacy rodzice dojrzałe kochają swoje dzieci i w konsekwencji stawiają im wymagania. Od swoich synów i córek wymagają szlachetności, pracowitości i odpowiedzialności. Przyprawdzają swoje dzieci do Chrystusa. Uczą je myśleć i kochać tak jak On. Prowadzą na ewangeliczną głębię więzi i wartości. Cierpliwie towarzyszą w odkrywaniu i realizowaniu Bożego powołania do miłości i to niezależnie od tego, czy jest to powołanie do małżeństwa i rodziny, czy też do kapłaństwa albo życia zakonnego. Tacy rodzice wiedzą, że ich dzieci są większe od ich

marzeń i że nie zostały stworzone na ich obraz i podobieństwo. Wiedzą też, że pierwszą formą miłości rodziców do dzieci jest wzajemna miłość między małżonkami.

W pewnym sensie najważniejszym czynnikiem, który wpływa na sposób przeżywania życia, jest samowychowanie, czyli praca nad własnym charakterem. Rodzice, szkoła, parafia, a także kultura, moda czy środki społecznego przekazu tworzą kontekst, w którym rozwija się młody człowiek. Ale ostatecznie to każdy z nastolatków decyduje o tym, czy wypłynie na głębię czy też zadowolony się płytką życia, typową dla ludzi niedojrzałych, zaburzonych czy uzależnionych. W dziedzinie wychowania nie ma determinizmu. Oznacza to, że ktoś pochodzący z patologicznej czy rozbitej rodziny może wypłynąć na głębię miłości i odpowiedzialności, a ktoś wychowywany w trwałej i szczęśliwej rodzinie może popaść w kryzys czy pójść na łatwiznę.

Rodzice i inni wychowawcy udzielają dziewczętom i chłopcom pomocy wychowawczej, ale to od danego wychowanka zależy, czy i na ile skorzysta z tej pomocy oraz czy podejmie trud samowychowania. Również w tej dziedzinie – podobnie jak w odniesieniu do kultury i wychowania w rodzinie – zauważamy polaryzację postaw. Znaczna część dzieci i młodzieży próbuje żyć „na luzie”, kierując się bezkrytycznie ciałem i emocjami lub naiwnie naśladować tak zwaną większość społeczeństwa. Mamy wtedy do czynienia z niskim samowychowaniem, które polega na czynieniu tego, co łatwiejsze, a nie tego, co wartościowsze. Tego typu młodzi chcą dużo mieć, ale nie mają aspiracji, by kimś być, zwłaszcza kimś wartościowym i wiernym. W konsekwencji są puści duchowo. Nie wiedzą, kim są, ani po co żyją. Używają wolności w taki sposób, że ją tracą. Karmią się ideologiami i wzorcami, które niszczą w nich miłość i świętość. Ranią siebie i innych. Nie są zdolni zrealizować żadnego powołania. Popadają w skrajną rozpacz, jaką jest obojętność na własny los.

Na szczęście spotykamy coraz więcej młodych ludzi, którzy z imponującą wytrwałością pracują nad własnym charakterem. Odkrywają wtedy, że sensem ich życia jest być, a nie mieć. Stają się na co dzień darem dla Boga i ludzi. Od Chrystusa uczą się modlić, myśleć, kochać i pracować. Wiedzą, że bezinteresowna miłość to szczyt rozwoju, a nie przejaw naiwności czy zbędnego poświęce-

nia. Tacy młodzi rozumieją, że musi w nich umrzeć coś z egoizmu i grzechu, żeby mogli radykalnie naśladować Chrystusa i żyć na miarę Bożego powołania. Wiedzą, że życie zaczyna się od poczęcia, ale radość zaczyna się od miłości. Są roztropni. Dążą do świętości, ale nie do nieosiągalnej doskonałości. Mają świadomość, że świętość to naśladowanie Boga, a dążenie do doskonałości to dążenie do bycia jak Bóg. Tacy młodzi są zdyscyplinowani i czujni, pielęgnują osobistą przyjaźń z Chrystusem i ze szlachetnymi ludźmi. Wzrastają w łasce u Boga i u ludzi oraz są zdolni do tego, by odkryć i zrealizować każde powołanie, jakie Bóg im zaproponuje.

KONWERSATORIUM LII

(21 stycznia 2012)

Czy potrafię kształtować w sobie charakter, silną wolę i świadczyć o tym innym?

Prowadzący: Andrzej Dowgiałło (chemik, emeryt) Jan Wilczak, absolwent inżynierii biomedycznej, obecnie student informatyki PW, Aleksander Ciepiela (student III roku SGH).

Andrzej Dowgiałło

Niestety nie ma z nami ks. Adama Zelgi – to wielka strata – miał jakieś kłopoty z samochodem. Temat jest niezwykle aktualny,



Andrzej Dowgiałło

zwłaszcza że znajdujemy się na terenie zespołu Szkół Przymierza Rodzin, których misją jest sprawa wychowania i samowychowania. Temat ten dotyczy właściwie każdego wieku, bo samowychowanie nie kończy się wraz z pełnoletnością, tylko ciągnie się do końca życia.

Problematyka dzisiejszego Konwersatorium jest ważna z punktu widzenia wychowania młodych ludzi na początku ich świadomego życia. Każdemu z nas stawiano w młodości wymagania, dopóki sami nie zaczęliśmy ich sobie stawiać ze świadomej motywacji moralnej lub z własnego zaangażowania. Poza tym częste są w życiu okoliczności,

które wymuszają na nas odpowiedzialne zachowanie w danym momencie.

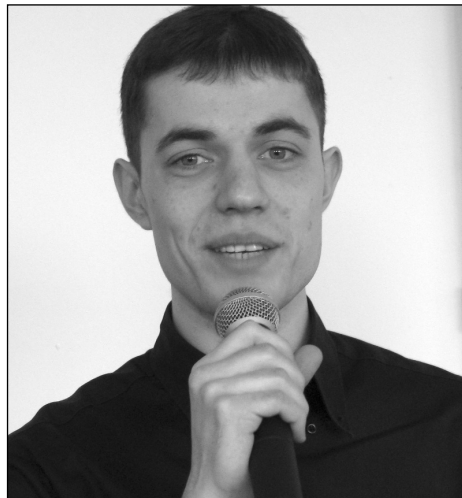


Paneliści: od lewej Aleksander Ciepiela, Jan Wilczak i Andrzej Dowgiałło

Jan Wilczak

Czy potrafię kształtować w sobie charakter? Gdy próbowałem odpowiedzieć sobie na to pytanie, doszedłem do wniosku, że jest trochę zbyt wcześnie, aby ta odpowiedź była w pełni odpowiedzialna – to dopiero się okaże. Tak jak wspomniał pan Andrzej Dowgiałło, łatwo jest w życiu zachowywać się stosownie do okoliczności, gdy to właśnie one narzucają nam szlachetne zachowanie, którego się od nas oczekuje.

Dopiero w sytuacjach, w których tak naprawdę mamy szczerzy wybór, jak zachować się najczęściej wobec jednej osoby (często siebie samego), można uczciwie poddawać swój charakter próbom. Czy można w sobie kształtować silną wolę i czy to potrafię? Oczywiście-



Jan Wilczak

ście, tak. Wystarczy dobrze się rozejrzeć w swoim środowisku lub czasem wyjść trochę dalej, by odnaleźć osoby, które mogą stanowić dla nas inspirację. Szukając głębiej, niewątpliwie zauważymy, że niewyczerpanym źródłem wzorców jest Pismo Święte, do którego zawsze możemy się odwołać w chwilach zawahania.

Aleksander Ciepiela

Chciałbym powiedzieć najpierw parę słów o sobie, o tym, jak staram się kształtować w sobie charakter i jak mi to wychodzi. Jestem człowiekiem z natury leniwym i bardzo dużo pracy włożyłem, aby to lenistwo pokonać, i mimo że cały czas pozostaję na tej drodze, wydaje mi się, że udało mi się osiągnąć dość dużo jak na mój wiek. Staram się zawsze wyznaczyć sobie długoterminowy plan i jakiś cel, do którego dążę za wszelką cenę. Czasem się to nie udaje, ale staram się, na ile mogę. To mi dużo dało. Zaczęłem prowadzić tę pracę nad sobą w wieku kilkunastu lat, w czasie nauki języka niemieckiego. Bardzo ciężko mi ten niemiecki szedł i wtedy ustaliłem sobie długoterminowy plan, którego celem było opanowanie języka. Udało mi się w rok poznać niemiecki na poziomie dużo wyższym niż moim kolegom z grupy. Ten fakt udowodnił mi,



Aleksander Ciepiela (z mikrofonem), na prawo Jan Wilczak i Andrzej Dowgiałło

że wszystko jest możliwe, że stawiając sobie takie długoterminowe cele, możemy wiele osiągnąć, tylko trzeba działać na miarę własnych możliwości. Staram się stosować taką metodę w pracy i na razie z dobrym skutkiem.

W takim postępowaniu bardzo pomocna jest rodzina. Czasem nie mam sił, czasem coś nie wychodzi, czasem za wysoko stawiam sobie poprzeczkę i nie daję rady – wtedy pomaga mi mój tata. Rozmowa z nim jest ogromnie pobudzająca do działania i gdyby nie on, na pewno nie udałoby mi się osiągnąć wielu z tych celów, które sobie wcześniej postawiłem.

Chciałbym opowiedzieć jeszcze o człowieku, którego spotkałem w życiu i który mi ogromnie zaimponował. Był to kolega z Niemiec, mój współlokator w czasie mojego pobytu w Mediolanie na stypendium „Erasmus”. Podobnie jak innym Niemcom – ciężko szła mu nauka języków. Mimo trudności, przed wyjazdem do Brazylii w trzy tygodnie nauczył się portugalskiego. To był człowiek, który jak sobie postanowił, że coś zrobi, to siadał i to robił. Był ode mnie starszy zaledwie o dwa lata, ale bardzo mi imponował. Stanowił dla mnie ideał, do którego chciałem dążyć. Mnie samemu nie udaje się czasem pokonać wszystkich barier i wytrwale dążyć do wyznaczonych celów, a jemu się to udawało. Wszystko stawiał na jedną kartę i realizował swoje plany. Był dla mnie przykładem samorealizacji, samodoskonalenia i kształtowania charakteru.

Jan Wilczak

W nawiązaniu do wcześniejszej wypowiedzi, uważam, że ogromnie ważne jest postawienie konkretnego celu, do którego dążymy. Równocześnie wydaje mi się, że łatwiej dążyć do celów ściśle określonych, takich jak nauka, a trudniej jest radzić sobie z wyzwaniem, które stawia nam codziennie życie, szczególnie jeśli nasze wychowanie to w głównej mierze samowychowanie. Dlatego na samym początku drogi trzeba sobie jasno powiedzieć, według jakich zasad chcę kierować swoim życiem i tak trochę po inżyniersku naszkicować je we własnym sercu.

Nasze życie sprowadza się właśnie do bardzo konkretnych wyborów. Tłumaczy to tłumy na konferencjach organizowanych na przykład przez stowarzyszenia katolickie. Mniej więcej wiemy, jak

należy próbować żyć, jednak wiele tematów nie jest na co dzień podejmowanych, dlatego tak często pojawiają się wątpliwości. Także wiele z wyborów budzi duże kontrowersje, jak chociażby czystość przed ślubem. Sama w sobie nie jest celem, ale jest warunkiem koniecznym (choć niewystarczającym) do szczęśliwego małżeństwa – które już celem jest. Dlatego gdy wiemy, do czego szczerze dążymy, wystarczy przypomnieć sobie o tym w odpowiednich momentach, a to podpowie nam rozwiązania. Dodam, że moim zdaniem jedyne rozsądne rozwiązania wiążą się ściśle z obecnością wartości katolickich w życiu. Gdy się przyjrzeć głębiej, to tak naprawdę znajdziemy w nich odpowiedzi na większość pytań. Więc może samowychowanie to w istocie realizowanie tych wartości we własnym życiu?

Taka droga jest bardzo długa i często podejmowana wbrew sobie. Oznacza to, że nie jest nam łatwo naturalnie przyjąć pewne wartości. Potrzeba czasu i cierpliwości, aby nauczyć się dobrze wyznaczać cele związane z nimi i przy nich wytrwać. Ważne jest, aby umieć określić własne wady i starać się je pokonać, ale równie ważne jest to, aby pamiętać o sukcesach i o tym, co tak naprawdę jest ważne i do czego dążymy. Jeśli w chwilach zawahania uświadomimy sobie, co chcemy osiągnąć, dokonując takich a nie innych wyborów i do czego tak naprawdę zmierzamy, otrzymamy właściwe rozwiązania.

Dyskusja

Izabela Dzieduszycka

Silna wola jest podstawową wartością, gdyż bez niej nie moglibyśmy zrealizować postawionych sobie celów i stawać się osobami odpowiedzialnymi. Na podstawie moich osobistych doświadczeń wiem, że bardzo ważne jest, żeby rodzice, którzy wychowują dzieci, stawiali im różne zadania i równocześnie żeby dzieci czuły się akceptowane. Dziś jesteśmy świadkami nadopiekuńczości, chronienia dzieci przed wszystkimi trudnościami, co w efekcie w przyszłości, gdy dorosną i będą musieli sami podejmować własne działania, nie będą tego potrafiły, nie będą do tego przygotowane.



Izabela Dzieduszycka (z mikrofonem)

Miałam szczęśliwie rodziców, a właściwie matkę (ojciec wcześniej zmarł), która umiała nas sześcioro dobrze wychować. Kiedy przyszedłam do niej, mając niespełna 10 lat, powiedziałam, że tak dalej żyć nie mogę, bo moi bracia nie pozwalają mi jeździć na koniu (koni pod wierzch było trzy czy cztery), i że muszę mieć własnego konia. Wtedy moja matka odniosła się do tego poważnie i spytała, jak planuję to zrobić. Przedstawiłam cały plan: że będę pracowała bardzo dużo w ogrodzie, a przede wszystkim, co mnie najwięcej kosztowało, nie będę wydawała pieniędzy na słodycze. Bardzo konsekwentnie zbierałam pieniądze i skończyło się to sukcesem. Pamiętam do dzisiaj, ile mnie to kosztowało i wymagało ode mnie silnej woli.

Wspomnienie to spowodowało, że któregoś dnia, prowadząc Przymierze Rodzin i widząc, że bardzo potrzebne są szkoły katolickie, postanowiłam, że tu, w tym miejscu, gdzie jesteśmy obecnie, powstaną Szkoły Przymierza Rodzin, a potem wyższa uczelnia. Uważam, że ma to związek z moim wychowaniem, że jako dziecko wyrobiłam w sobie silną wolę i wiarę, że jeżeli się czegoś chce, a cel jest wartościowy, to można to osiągnąć.

Moim zdaniem, jest bardzo ważną rzeczą, aby rodzice wychowywali dzieci tak, aby umożliwiali im wyrabianie silnej woli – to

zaowocuje w przyszłości. Powinniśmy o tym mówić, bo nie we wszystkich rodzinach jest to przestrzegane i realizowane.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Podzielię się świadectwem ze swojego życia. Jako dziecko byłam ogromnie nieśmiała. W czasie wojny uczyliśmy się w domu i dopiero jak się ona skończyła, poszliśmy z moim starszym bratem do szkół w Krakowie. Ja wylądowałam w gimnazjum u siostr urszulanek. Do dzisiejszego dnia pamiętam jako najgorszą traumę w życiu to, że gdy była czytana lista obecności, należało wstać i powiedzieć „jestem”. Wstawałam i zaczynałam płakać. Potem przeszłam całe gimnazjum, ale ta chorobliwa wprost nieśmiałość powodowała bardzo duże trudności w nauce. Uczyłam się bardzo dużo, ale nie miałam siły, żeby zgłosić się na lekcji do odpowiedzi, podnieść rękę, wstać. I rosłam z tym. W pewnym momencie, a mieszkaliśmy wtedy we Wrocławiu na Biskupinie i trzeba było dojeżdżać daleko do szkoły, rodzice wysłali mnie na rok do Polskiej Wsi, szkoły siostr Sacré Coeur. Pamiętam ten rok jako bardzo ciężki, bo poziom tam był tak ogromnie wysoki, że było mi bardzo trudno przejść do następnej klasy. Gdy jednak się to udało i po roku wróciłam do Wrocławia do klasy maturalnej, zabłyszczałam tu jako jedna z najlepszych uczennic. Sukces był pierwszym elementem, który pomógł mi ograniczyć nieco moją nieśmiałość.

Ta moja nieśmiałość trwała jeszcze w czasie studiów, kiedy postanowiłam z nią świadomie walczyć. Jeżeli wiedziałam, że mam coś do powiedzenia, zgłaszałam się, mimo że bardzo wiele mnie to kosztowało. Często kiedy wstawałam, z nerwów zapominałam, co chciałam powiedzieć. Powolutku zmniejszał się jednak mój lęk przed wystąpieniami publicznymi i dzisiaj chyba nie widać, że byłam tak skrajnie nieśmiała. Można z tego wyjść, ale trzeba wykazać się naprawdę silną wolą i konsekwencją w dążeniu do postawionego sobie celu.

Druga sprawa, którą chciałam poruszyć, dotyczy dawania przykładu. Każdy z nas ma jakieś wady czy przywary, które powinien silną wolą zwalczać. Moją przywarą jest łakomstwo. Bardzo lubię dobre rzeczy, a szczególnie słodczy. W związku z tym w Wielkim Poście zakładam sobie, że żadnych słodczy nie będę jadła. I dobrze. Jednak w tym okresie, tak jak w czasie całego roku, są różne typy zebrania, spotkania. Przez wiele lat co tydzień prowadzi-

łam zebrania naukowe w naszej Pracowni na Uniwersytecie i było tradycją, że poza herbatą były też jakieś słodczyce. Początkowo pytano mnie, dlaczego ich nie jem (znana była moja słabość do słodczy), ale po moim wyjaśnieniu, gdy ktoś z gości obecny na zebraniu częstował mnie ciastkami, koledzy wyjaśniali, że w czasie Wielkiego Postu ich nie jem. To był oczywiście drobiazg, ale każdy z nas może, choćby w tak małym zakresie, świadczyć, że stara się pracować nad swoimi przyzwyczajeniami.

Anna Banach

Moim zdaniem są trzy aspekty poruszanego tu problemu. Aspekt osobisty, rodzicielski i społeczny. W pierwszym przypadku warto ocenić swoje możliwości w zakresie rozwoju własnego charakteru i dążyć do oczekiwanych zmian. Jest to ważne dla osiągnięcia wyznaczonych celów, dla rozwoju własnych zainteresowań, dla rozwoju kariery zawodowej, dla satysfakcji z tego, co się robi. Bo jeżeli człowiek nie ma celu w życiu, to jest ono puste i często nie widzi się sensu życia.

Drugi aspekt, który został już poruszony, to wpływ rodziców na wychowanie dziecka. Nawet najukochańsi rodzice, jeżeli chcą dziecku przekazać określone wartości, to muszą o nich świadczyć swoim postępowaniem, bo najpiękniejsze nawet słowa, nieoparte własnym świadectwem, są mało warte. Dziecko patrzy, jak rodzice się zachowują i jeżeli mówią o uczciwości, otwartości, o zachowaniu pewnych zasad, to dziecko obserwuje, czy rzeczywiście sami tego przestrzegają. Rodzice przekazują w ten sposób pewien model, który dziecko często dalej powiela.

Trzeci aspekt jest społeczny, trochę przypomina model rodziny. Jestem nauczycielką zarówno w szkole podstawowej, jak i nauczycielką akademicką. Wiem z własnego doświadczenia, że wychowanie młodzieży, wpływ na młodzież łączy się z widzeniem siebie w

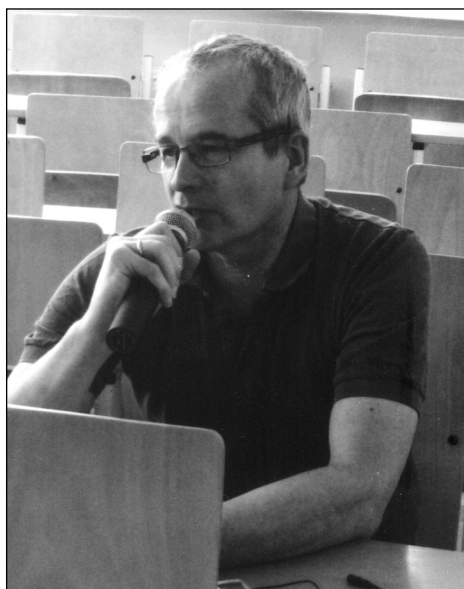


Anna Banach

prawdzie i braku zakłamania. Jeżeli nauczyciel jest w sprzeczności z tym, co mówi, i ze swoim zachowaniem, to sama dobra wola nie wystarczy. Uczniowie są bardzo wymagający i szukają wzorców, często nie mając ich w domu. Jeżeli nauczyciel potrafi przekazać określone wartości nie tylko słowami, ale swoim życiem i postępowaniem, może stać się dla młodzieży autorytetem.

Bogdan Motelski

Po pierwsze, uważam, że właściwe wychowanie jest wtedy, gdy prowadzi do nauczenia samowychowania. Dzisiejszy świat nie wymaga samowychowania. Nie oczekuje pracy nad rozwojem własnego charakteru czy osobowości.



Bogdan Motelski

Wynika to z panującego modelu bezstresowego wychowania. Ostatnie badania pokazują, że lansowanie tego modelu było błędem.

Po drugie, w budowaniu silnej woli ważne jest spotkać autorytet moralny, który mógłby być wzorem dla własnego rozwoju. Ponadto gdyby ten autorytet miał cechy przywódcze, to w pracy nad sobą można by korzystać z takiego mocnego wzorca.

Po trzecie, jeśli mówimy o odwadze i pracy nad własnym charakterem, trzeba zgodzić się na to, że wymaga to wysiłku i wyrzeczeń. Działanie, które prowadzi do sukcesu uzyskanego bez wysiłku, daje minimalną satysfakcję. Przeciwnie

– osiągnięcie, które wymagało od nas znacznego wysiłku, pracy, cierpliwości i zakończyło się sukcesem, sprawia wielką satysfakcję i daje dużo radości. Unikanie wysiłku jest wyrażeniem zgody na rezygnację z prawdziwej radości. Pozwólmy młodym na wysiłek i tym samym pozwólmy im na prawdziwą, głęboką radość i satysfakcję.

Ewa Styczyńska-Jurewicz

Mój przedmówca poruszył sprawę wychowania bezstresowego i wpływu tego sposobu wychowania na przedmiot naszej dyskusji, to znaczy wytworzenie u wychowanka silnej woli. Na podstawie badań psychologicznych przyjęto, że zaledwie 2-3% populacji ma zdolności przywódcze, najczęściej związane także z silną wolą. Przywódca musi mieć cel, do którego uparcie dąży. Większość naszych wychowanków, także naszych dzieci, nie ma takich kwalifikacji naturalnych, nie zawsze objawia taki dynamizm i siłę woli do osiągnięcia celu. Wyrobieniu tych zalet ma służyć dopiero wychowanie.

Problem wychowania bezstresowego poznaliśmy i przeżywaliliśmy dopiero na poziomie generacji naszych wnuków. Wszyscy rodzice wychowują nasze wnuki bezstresowo, klaps dla wnuka to horror i straszna rzecz, bo jest uznawany za działanie przez przymus. Obserwowałam rodzinę znajomych „bezstresowców” i muszę powiedzieć, że ostatecznie nie dostrzegłam ani złego, ani szczególnie dobrego wpływu wychowania bezstresowego. Wychowywany w tej rodzinie najstarszy spośród trzech synów chłopiec rozwijał się i wzrastał jak dziki kwiat na łące. W wieku do dziesięciu lat był absolutnie nieznośny. Gdy skończył lat dwanaście, stał się doskonałym, dzielnym, sympatycznymi i rozumnym uczestnikiem grupy koleżeńskiej. Spolegliwie akceptował porządek panujący w grupie, miał własne idee i oryginalne pomysły, które nieraz proponował innym, ale bez narzucania ich innym. Miał daleki cel, już wiedział i chętnie mówił o tym, co będzie studiował i kim w przyszłości chce być. Nota bene u tego młodego człowieka, dzisiaj już dorosłego, zmieniły się wcześniej uznane priorytety. Po prostu postawił sobie inny cel. W dzieciństwie mogło wydawać się, że bez ostrej dyscypliny nic z niego nie będzie. Był wyjątkowo nieznośny, potrafił dokuczać swojemu rodzeństwu, nawet niemowlakowi w wózku. Tymczasem z wiekiem wszystko się zmieniło.

Uważam, że trzeba się bacznie przyglądać naszym dzieciom i wychowankom. Znaleźć to, co w nich jest ukryte. Za agresją może kryć się wola przywódcza. Może nasze dziecko chce odgrywać jakąś rolę. Trzeba pielęgnować cnoty moralne, które sprzyjają silnej woli, np. męstwo, odważną roztropność, umiejętność przewidywania skutków dobrych albo złych decyzji, przez odpowiednie ko-



Ewa Styczyńska-Jurewicz

mentowanie codziennych zdarzeń z życia społecznego i osobistego. Musimy dbać o dobór i wizerunek wychowawców, którym powierzamy nasze dzieci, bo wystarczy, że zobaczą wychowawcę pijanego i już cały jego wpływ wychowawczy może zginąć bezpowrotnie.

Na pewno nie trzeba za dużo wymagać od dzieci, mają prawo do swobody radosnego dzieciństwa i wczesnej młodości, ale przy zachowaniu przez nie podstawowego porządku w danej społeczności. Trzeba naszym dzieciom czy wychowankom przekazać, że niektórych rzeczy po prostu nie wypada robić i to „nierobienie” powinno stać się instynktowne, tak jak mycie rąk. Można tak wiele opowiedzieć o pewnych wzorach godnych naśladowania sytuacji z przeżyć i zachowań rodziców czy dziadków, sportowców, artystów, bohaterów literackich i historycznych, a także – świętych. Poza tym jako chrześcijanie mamy wielkie wsparcie, jeżeli naszym dzieciom pokażemy własnym życiem, że istnieje pewien chrześcijański wzór postępowania. Jeżeli tworzymy szkoły katolickie, to także dlatego, żeby Bóg nie tylko jako hasło, ale jako Osoba, jako współpedagog – był obecny i wzmacniał naszą ludzką wolę. Także przez wzbudzanie żalu za nasz grzech braku woli.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Powiem jeszcze parę słów na temat bezstresowego wychowania. Obserwowałam je w Szwecji w końcówce lat siedemdziesiątych. W rodzinie mieszanej polsko-szwedzkiej był chłopczyk w wieku trzech czy czterech lat, który był dość niezdolny i jak rozrabiał, to matka – Polka dała mu klapsa i rzecz wydawała się być załatwiona. Wtedy wkroczył ojciec i oświadczył, że dzieci się nie bije, i ostrzegł, że jak ich syn będzie trochę starszy, to zadzwoni na odpowiedni numer i przyjdzie do nich policja. Gdy to słyszałam, włos mi się zjeżył. Opowiadali mi w Szwecji nauczyciele, że uczenie jest tam bardzo trudne ze względu na to, że dzieci są szalenie agresywne, aroganckie i nie można im zwrócić żadnej uwagi. Myślę, że był to kraj, który poszedł skrajnie daleko w wychowaniu bezstresowym i skutki były fatalne.

Powiem teraz o wartościach wychowania bezstresowego w mojej rodzinie. Nigdy nie dostałam klapsa, a mój starszy brat, który był wyjątkowo niezdolny w dzieciństwie, dostał tylko jeden raz łanie od naszego ojca. Natomiast rodzice bardzo dużo z nami rozmawiali. Nasz ojciec poświęcał szczególnie dużo czasu moim dwóm braciom. Kiedy tylko było trochę czasu, to toczyli we trzech niekończące się dyskusje. Nasza matka natomiast nigdy nam niczego nie nakazywała, tylko mówiła: „zrobisz, jak uważasz, ale ja ci radzę zrobić tak a tak”. Nie było żadnego przymusu. Mimo tego wybieraliśmy zawsze to, co Mamusia proponowała. Nie wiem dlaczego – może dlatego, żeby jej nie zmartwić.

Mój starszy brat, niezdolny i dokuczający nam rodzeństwu w dzieciństwie, diametralnie się zmienił w wieku 14-15 lat. Już jako człowiek dorosły był niesłychanie łagodny i dobry, z którym byliśmy, ja i mój młodszy brat, ogromnie blisko związani. Będąc profesorem na Uniwersytecie, miał bardzo wielu wiernych przyjaciół, a kiedy przedwcześnie zmarł i był chowany na cmentarzu w Laskach, studenci nie pozwolili, żeby trumna była wieziona, tylko całą drogę nieśli ją na ramionach.

Takie wychowanie bezstresowe, jakie było w naszej rodzinie, jest niewątpliwie trudne, a szczególnie dla rodziców. Muszą być w swoim postępowaniu autentyczni i muszą dużo czasu poświęcać dzieciom, więcej słuchać, niż samemu mówić.

Andrzej Skoczek

Ciągnąc ten wątek, opowiem o wychowaniu bezstresowym na przykładzie z życia mojej rodziny. Otóż mój brat ma dwóch synów, już w tej chwili dorosłych, i swego czasu, gdy byli dziećmi, starszy w wyniku zabawy na podwórku uległ nieszczęśliwemu wypadkowi i stracił oko. Wtedy lekarz zalecił, żeby go wychowywać bezstresowo, nie denerwować, żeby spełniać wszystko, czego sobie życzy, na wszystko pozwalać, bo grozi mu utrata drugiego oka i ślepotą. Postępowano więc z tym dzieckiem jak z jajkiem. Drugi zaś syn był wychowywany w sposób normalny, tak jak trzeba było. Jak zasłużył, to czasem i klapsa dostawał. Rósł w poczuciu żalu, że jego bratu wszystko wolno, a jemu nie.

Kiedy obaj stali się dorosłymi mężczyznami i założyli własne rodziny, okazało się, że ten starszy, wychowywany bezstresowo, jest zupełnie nieprzygotowany do życia. Z wszystkimi problemami, nawet intymnymi, żalił się swojej mamie, nie miał autorytetu u dwójki swoich dzieci i w konsekwencji jego małżeństwo się rozpadło. Młodszy, wychowywany normalnie, ma również dwoje dzieci, stworzył wraz ze swoją żoną wspaniałe, kochające się małżeństwo, ukończył studia, jest pięknym przykładem młodego człowieka,



Elżbieta i Andrzej Skoczek

który sam się zmobilizował, porzucił żal do rodziców i jest dzisiaj wspaniałym człowiekiem.

Jeszcze powiem o wychowaniu przez przykład. Otóż swego czasu przez dziesięć lat pracowałem w wojskowym ośrodku naukowym, gdzie naszym kierownikiem był naukowiec wysokiej klasy. Było nas kilku młodych poruczników – nie bardzo chcieli nam się pracować. Nasz kierownik tak nam doradzał: „aby coś osiągnąć w życiu, musicie godzinami ślęczeć, siedzieć w bibliotece, uczyć się języków, rozwijać własny intelekt, starać się dyskutować między sobą”. Początkowo przyjmowaliśmy to z przymrużeniem oka, ale z czasem pojęliśmy, że on sam, swoim przykładem zmusza nas, żebyśmy się więcej angażowali. Sam ślęczał nad książkami, nawet zaniedbując rodzinę. Mnie sumienie ruszało, jak widziałem, że w jego pokoju światło pali się do późna w nocy, a ja spaceruję z żoną, zamiast ślęczeć przy książce.

Jeszcze o jednej sprawie chcę wspomnieć. Gdy się mówi o kształceniu charakteru, zaleca się ograniczanie własnej pychy. Niestety to, co się dzieje w naszych kościołach, często temu zaprzecza. Zajmowanie zawsze pierwszych miejsc przy okazji różnych uroczystości nie jest chyba dobrym przykładem tej skromności, którą powinniśmy w sobie rozwijać.

Wanda Zając

Silna wola, o której już mówiło kilka osób, jest bardzo cenna i potrzebna w życiu. Jednak w sytuacji, gdy postawiony cel, do którego dąży człowiek, nie jest dobry, to silna wola może okazać się narzędziem działania niebezpiecznym zarówno dla tego człowieka, jak i dla innych.

Druga kwestia dotyczy wychowania. Uwielbiamy wychowywać innych, rzadko natomiast zajmujemy się sobą. My, dorośli, nie zaniedbujmy samowychowania. Niech nasze dzieci widzą, że rodzice również pracują nad sobą.



Wanda Zając

Trzecia sprawa dotyczy norm życia społecznego, np. przechodzenia przez jezdnię. Nie ukrywam, że mam czasem pokusę, aby przejść na czerwonych światłach, gdy ulicą nie jedzie żaden pojazd. Ale tego nie robię, bo nie chcę łamać porządku i dawać złego przykładu dzieciom. Przechodzenie na czerwonym świetle może być niebezpieczne. Gdy jednak obserwuję pieszych, to widzę, że przynajmniej połowa z osób starszych przechodzi na czerwonym świetle. Większość młodych ludzi spokojnie czeka na zielone światło. Pomyślmy o tym.

Andrzej Skoczek

Kiedyś odprowadzałem do autobusu moją dziewięćdziesięcioletnią ciocię. Stoimy na czerwonym świetle przy pasach. Przejeżdża jeden samochód, potem drugi, czerwone światło dalej się pali. Nagle moja ciocia wchodzi na jezdnię, mimo że samochody jadą. Przechodzi przez nią, na nikogo nie zwracając uwagi – na szczęście samochody się zatrzymały. Pytałem później cioci: „dlaczego przechodziłaś przez jezdnię, przecież nie wolno”, a ona na to: „nie zdążyłabym na autobus”.

Ewa Styczyńska-Jurewicz

Czytałam kiedyś notatkę o Andrzeju Małkowskim, twórcy polskiego skautingu, że ułożył on sobie program, listę celów i sposobów, jakimi będzie do nich dążył. I myślę, że to jest dobrze młodemu człowiekowi wskazać, że jest taka droga.

Anna Słomka

Chciałabym nawiązać do słów osoby, która zainspirowała nasze spotkanie tutaj – do Jana Pawła II. Było to zdanie, które usłyszałam dawno temu w Częstochowie i do tej pory jest ono moim drogowskazem. Brzmiało ono tak: „wymagajcie od siebie, nawet gdyby inni od was nie wymagali”. Było to powiedziane do młodych. A jeśli o mnie chodzi, to w doskonałym momencie je usłyszałam. Moja historia była też historią osoby szalenie nieśmiałej. Podobnie jak pani rektor, ja się też z tym zmagalam od najmłodszych lat. Pierwszy tydzień przedszkola spędziłam pod stołem. Bałam się spod niego wyjść, nawet na posiłki, i właściwie jedynie przyjscie rodziców po mnie mogło mnie stamtąd wyciągnąć. Cała szkoła podstawowa

to była męka, przy każdej odpowiedzi ustnej, przy każdej okazji, gdy wymagano ode mnie wypowiedzi publicznej. Trudno opisać, co przeżywałam. Będąc w szkole średniej, trafiłam do wspólnoty, gdzie bardzo szybko postawiono przede mną samodzielne zadanie, że mam prowadzić jakąś małą grupę. Coś mówić do osób młodszych ode mnie. Było to dla mnie dużym wyzwaniem. Wkrótce okazało się, że mam mówić do jeszcze większej grupy, a następnie prowadzić jakieś spotkanie dla dużej liczby osób. Wszyscy twierdzili, że mam predyspozycje i przyznawałam, że faktycznie mam coś do powiedzenia, ale cóż z tego, kiedy na przeszkodzie stała nieśmiałość.

Pamiętam, że dwa zdania zadecydowały, że ta sytuacja się zmieniła – to, co powiedział Jan Paweł II, i zdanie przeczytane w Piśmie Świętym: „to Bóg jest sprawcą chcenia i działania w nas”. Stało się dla mnie jasne, że to ja muszę coś z tym zrobić z pomocą Bożą. Nikt nie jest w stanie zmienić tego we mnie. Krok po kroku pokonywałam w sobie tę nieśmiałość za cenę wielkich wyrzeczeń. I później po latach, kiedy poszłam do Radia Józef, wspaniałego radia, które już niestety nie istnieje, i powiedziałam, że chętnie bym z nimi współpracowała, zgodzono się na to i z dnia na dzień zaczęłam mieć tam swój program autorski. Sama nie mogłam się nadziwić, że mówienie do mikrofonu na żywo nie było dla mnie problemem. Taka jest moja droga. Zaczynałam od ułomności, a gdzieś po drodze łaska Boża i wiara, że On mi pomoże, pomogła mi się zmienić. Na podstawie mojego doświadczenia uważam, że kiedy mamy jakieś ograniczenie, a pozwolimy działać w nas Łasce, mogą się one przerodzić w zwycięstwo i sukces. Znam też wiele osób, które miały podobną drogę. Gdy coś w sobie pokonały, to teraz rozkwitają właśnie na tym polu, gdzie miały problem.



Anna Słomka

Andrzej Dowgiałło

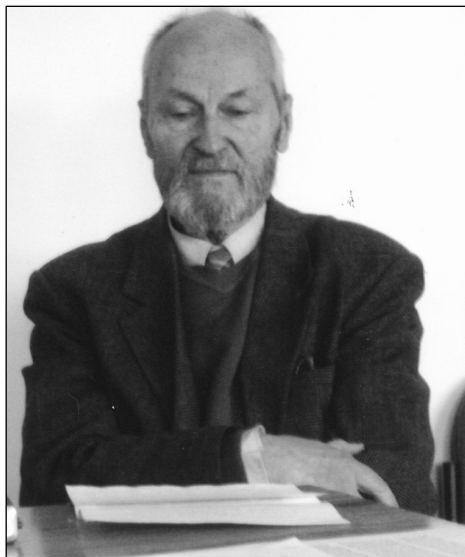
Zainspirowały mnie tutaj wypowiedzi pań. Są naturalne skłonności temperamentu, które mogą owocować dobrze lub źle, są cnoty i niecnoty, są różnorodne „charakterki”. Dość na tym, że jest to pole do uprawy, do skierowania w dobrą stronę.

Jeśli chodzi o bezstresowe wychowanie, to była taka szkoła XIX-wieczna, gdzie kładziono nacisk raczej na niemiecki rygor,

tresurę niż na wychowanie, później przyszły te bezstresowe teorie. Klaps to jest często odreagowanie. Zdarzyło mi się to kilka razy praktykować na moich dzieciach, bo były czasami nieznośne, ale może czasami trzeba. Przyjmowały to ze zrozumieniem.

Chciałbym dodać coś na temat siły woli. Niektórzy psychologowie mówią, że lenistwo nie istnieje, są to raczej jakieś braki fizjologiczne, brak energii. Z własnego życia wiem, iż ćwiczenie silnej woli dla samej satysfakcji, że potrafię sobie odmówić godziwej przyjemności albo wykonać coś trudnego, to było dobre w młodości, harcerskich latach, później przestało to

wystarczać. Coraz większą rolę zaczęła odgrywać motywacja skierowana na osiągnięcie czegoś wartościowszego niż doraźna wygoda, na postępowanie wbrew zmęczeniu i pokusie, na przykład ciekawej książki. Te osiągnięcia mogły być bardzo różne na skali wartości. W młodości motywy bywały szlachetne, na przykład związane z Wielkim Postem lub Adwentem, potem górę brały ambicje bycia dobrym w zawodzie, zablęśnięcia przed dziewczyną, wywiązanie się z zobowiązania, niesprawienie komuś zawodu. Wreszcie najsilniejszą moją motywacją okazywało się własne zdrowie, na przykład codzienna gimnastyka czy zgubienie nadwagi przy jednoczesnym zamiłowaniu do ciastek i czekolady. Wiem teraz, że dla dokonania czegoś wbrew swojej wygodzie i skłonności



Andrzej Dowgiałło

muszę wpierw wykonać pracę przemyślenia planu działania i uświadomienia sobie motywów tego dokonania.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiążę jeszcze do wspomnianej tu motywacji. Jeżeli modłę się o coś do Pana Boga, to wspieram moją prośbę drobnymi wyrzeczeniami, w ciągu dnia lub dłuższego okresu.

Halina Jozenas

W postaci Jana Pawła II fascynujące było dla mnie jego niezwykle uporządkowanie. Wszystko potrafił zrobić, osiągnąć cel. Był człowiekiem, z którego mogę brać przykład i również pokonywać różne trudności, choćby to były drobiazgi.

Ewa Styczyńska-Jurewicz

Nie zapominajmy, że każdy ma Anioła Stróża, który nam pomaga. Mój ma mnóstwo roboty, ciągle szuka moich okularów.



Halina Jozenas

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jeśli chodzi o Anioła Stróża, to mamy tutaj specjalistkę. O Aniołach Stróżach wie wszystko pani Małgorzata. Może coś nam powie.

Małgorzata Ajnenkel

Zacznę od ogólniejszych refleksji. To bardzo miłe, że właśnie młodzi ludzie zabrali na początku głos. Oni rozpoczynają swoją drogę.

W wychowaniu, które powinno przejść w samowychowanie, ważni są rodzice, nauczyciele i ludzie, których spotykamy na swojej drodze. Równie ważna jest jednak osobowość dziecka, do której wychowanie powinno być dostosowane. Dlatego wszelkie określenia wychowania, czy jest bezstresowe czy nadopiekuńcze, czy zbyt rygorystyczne, trzeba rozpatrywać i oceniać indywidual-



Małgorzata Ajnenkel

nie. Jedno dziecko wymaga bardziej opiekuńczego wychowania, drugie nie. Wiem to z własnego doświadczenia, bo byłam dzieckiem lęklwym, nadwrażliwym. Czasami trzeba je rzucić na głęboką wodę, ale czasem może to odnieść wręcz odwrotny skutek.

Ważne jest, o kim mówimy w danym momencie. Wszelkie uogólnienia cnót czy przywar są powierzchownymi stwierdzeniami. Na przykład, lenistwo w psychologii jest to rodzaj lęku – jest to głębsza sprawa, która może wynikać z czegoś innego.

Wracając do mojej twórczości, powiem, że zrobiłam kiedyś cykl „Siedem grzechów głównych” i napisałam do nich fraszki. W „lenistwie” występowała papuga i była do tego dodana fraszka:

Papuga, posłuchawszy zaleceń swej matki,
miast wolności wybrała dobrodziejstwa klatki
i przez myśl jej nie przeszło (otwarcie ni skrycie),
że żyjąc luksusowo, wiedzie niby-życie.

Lenistwo, dobrowolne zrzekanie się świata;
zwalcz lęk, a nowych podniet czeka cię zapłata.
– może to być puentą naszej dyskusji.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Á propos aniołów, niedawno pani Małgorzata zrobiła mi ogromną przyjemność. Ofiarowała mi śliczny obrazek wyhaftowanego przez siebie Anioła Stróża z piękną dedykacją na 50-lecie naszego ślubu. Otrzymanego Anioła powiesiliśmy w domu nad kolązem zrobionym z fotografii wszystkich wnuków i poprosiłam Go, żeby pilnował naszych wnuków. Bardzo dziękuję za tego Anioła.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

Cd. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Michał Mierzejewski (Wrocław)

Wśród niektórych katolików panuje dosyć niemiłe przekonanie, że trzeba się co chwila czegoś wyrzekać – a to ciasteczka, a to czekolady, a to pięknego walca, a już na pewno tanga (bo do tanga trzeba dwojga), a to kielicha. To ma kształtować silną wolę. Piszę oczywiście przesadnie. Bardziej sensowny jest model pozytywny:

I. Kształcić wolę przez osiąganie celów. Trzeba przy tym wiedzieć, że zaczynamy od celów łatwo osiągalnych, po czym wyznaczamy sobie cele coraz ambitniejsze. Fatalne jest, gdy na początku wyznaczamy cele zbyt trudne, nie osiągamy ich, co prowadzi do zniechęcenia i dalszych prób nie podejmujemy. A więc zasada hierarchii celów coraz trudniejszych.

II. Zasada nagrody. Nie zasiądę do czytania „Uważam Rze”, dopóki nie posprzątam mieszkania albo nie opanuję kolejnej lekcji angielskiego itp. Przyjemność jako nagroda za wykonanie zadania. To eliminuje marnotrawienie czasu, przemieszczanie się jak liść niesiony wiatrem, od drobiazgu do drobiazgu.

III. Zasada przeglądu sobotniego. W ostatni dzień tygodnia przeglądamy notes z zapiskami, co przez kolejne dni zrobiliśmy, osiągnęliśmy. To jest przerażające, jak się okazuje, że czas nam przecieka przez palce. Bardzo przydatna zasada wtedy, kiedy przygotowujemy referat, doktorat, ważne zadanie. Prof. śp. Henryk Teisseyre (geolog) mawiał, że w Polsce jest wielu ludzi bardzo zdolnych, ale bez charakteru. Silna wola umożliwia prowadzenie życia sensownego.

Jacek Mycielski (Włochy)

Parę słów na temat kształtowania charakteru przez odmawianie sobie przyjemności (umartwienie). Uważam, że niekoniecznie trzeba sobie odmawiać przyjemności (np. dobrego wina, deseru, skorzystania z taksówki itp.), ale za to wykonywać jakieś przydatne czynności, na które nie bardzo mamy na co dzień ochotę, które wymagają wysiłku fizycznego lub mentalnego, przynosząc korzyść bliźniemu lub rozwój własnej osobowości. Czyli czynnie dokonać czegoś pozytywnego, na co normalnie (z lenistwa czy braku odwagi) nie mamy ochoty.

Jeszcze parę słów o wychowaniu. Złoszczą mnie napisy w rodzaju „kocham dziecko, więc go nie biję”. Klaps (dany rozsądnie i z miłością) może być niezbędnym atrybutem wychowawczym w pewnym wieku i w pewnych sytuacjach. Dziecku nie robi to krzywdy, lecz ułatwia mu egzystencję (jemu, wychowawcy i otoczeniu). Napisałem o tym cały rozdział w moim poradniku „Elementarz dla rodziców” (w internecie jest wersja francuska i holenderska www.enfant-edu.com). Mam same pozytywne reakcje od tych rodziców, którzy mogą poszczycić się sukcesem wychowawczym. Znam równocześnie wiele przykładów dramatycznego rezultatu „wychowania bezstresowego”.

Hanna Rembertowicz

Chcąc odpowiedzieć na tytułowe pytanie Konwersatorium, trzeba zastanowić się, kiedy zaczyna się świadome kształtowanie charakteru i co może stanowić motywację do takiego działania. Dziecko w domu rodzinnym nasiąka klimatem domu i wyrabia w sobie przekonanie o tym, co jest normalne. Czy normalne jest to, że jesteśmy dla siebie życzliwi, czy też normą jest permanentna awantura i wojna „o swoje”. Dopiero wyjście z domu do szkoły i konfrontacja z innymi dziećmi pokazuje, jacy jesteśmy i jak się ma to, co uważamy za normalne do przekonań innych dzieci.

U wszystkich dzieci i młodzieży przemożna jest chęć wejścia w środowisko rówieśnicze, uzyskania w nim akceptacji i swojego miejsca. W środowisku szkolnym wiele jest nieformalnych grup, preferujących różne wartości, nie zawsze zgodne z tym, co wynieśliśmy z domu. I tu pojawia się niebezpieczeństwo wynikające z chęci wejścia do grupy rówieśniczej za cenę rezygnacji z własnej postawy. Dlatego tak ważne jest istnienie grup rówieśniczych mających zdefiniowany cel – samowychowania i samokształcenia – zgodny z tym systemem wartości, który chcemy uznać za własny. Takie grupy, które znam z własnego doświadczenia, to dobre drużyny harcerskie, ze swoim prawem, przyrzeczeniem, sprawnościami, grupy młodzieżowe sekcji Rodzin Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK) czy grupy Przymierza Rodzin (PR), działające w parafiach, też mające jasno określony dalekosiężny cel formacyjny.

W takich zespołach motywacja do samowychowania wynika z dwóch czynników – wzorca osobowego, jakim jest zastępowy, dru-

żynowy, prowadzący grupę KIK lub PR. To człowiek niewiele starszy od uczestników i zwykle stanowi dla nich autorytet i wzór. Drugi czynnik to sytuacje wynikające z działania grupy. Na przykład w czasie pierwszych 5 km wyprawy toczy się ostry spór o tempo marszu i o to, kto ma nieść ciężki plecak z żywnością. Na 15. kilometrze sprawa jest oczywista – tempo marszu dyktują najsłabsi, a plecak niosą najsilniejsi. Po trzech wycieczkach mamy to już we krwi.

A jak wygląda sprawa z pozycji osoby odpowiedzialnej za prowadzenie grupy rówieśniczej? Ona zyskuje najwięcej – uczy się odpowiedzialności, przewidywania, organizacji, współdziałania w zespole, empatii, uwzględniania potrzeb i ambicji uczestników i umiejętności wydobywania z nich tego, co w nich najlepsze. Szkoła jaką dostaje odpowiedzialny nie tylko do tego się sprowadza – to generalnie szkoła życia.



Czy i jak strapionych pocieszam?



Cytaty

Dariusz Kowalczyk SJ, *Duchowa radość*

Nie wiem, jak to nazwać, by nie popaść w patos i nie być posądzonym o pseudomistycyzm. Ale po prostu muszę o tym napisać. Otóż już dawno nie odczuwałem takiej duchowej radości z Bożego Narodzenia, jak w minionym świątecznym czasie. Nie chodzi mi o dobre spotkania, miłą atmosferę, smaczne jedzenie, choć to wszystko jest ważne dla przeżywania świąt. Mam na myśli czystą radość z wiary, że Bóg stał się człowiekiem. Znane, czytane już setki razy ewangeliczne opowieści o narodzeniu Jezusa w Betlejem, o aniołach, którzy śpiewali „Gloria”, o Maryi, o szlachetnym Józefie – wzruszały mnie jak nigdy i dawały poczucie czegoś, co nazwałbym fundamentalnym bezpieczeństwem, zadomowieniem.

Przypomniałem sobie to, co kiedyś zanotował Roman Brandstaetter. Pisarz zwierza się w swoim „Kręgu biblijnym”, że postanowił napisać opowieść o tym, co by się działo na świecie, gdyby Chrystus nie istniał: „Gdy zacząłem obmyślać – pisze autor – akcję i konflikt, charaktery osób, stosunki polityczne i społeczne, doznałem wrażenia, jakby z głębi czasu zionęła ku mnie potworna otchłań niemożliwa do określenia. W żaden sposób nie mogłem sobie wyobrazić nieobecności Chrystusa w ludzkich dziejach. Nie zdołałem wykrzesać z siebie ani jednego obrazu. Tworzywo okazało się jałową miazgą, której nie umiałem nadać kształtu. Stałem oko w oko z demoniczną próżnią, w której ani siebie, ani sensu świata nie mogłem odnaleźć”.

Rzeczywiście, świat bez narodzenia Jezusa byłby zimny i obcy. Jak w pierwszym tomie „Opowieści z Narnii”, w którym Biała Czarownica chce, aby wciąż panowała sroga zima, ale bez Bożego Narodzenia. Świat bez Boga, który rodzi się wśród nas i dla nas, tak opisał Romano Guardini: „W niezmierzonej przestrzeni ko-

smicznej porusza się maleńkie ciało, zwane Ziemią. Pokrywa je cienka warstwa czegoś w rodzaju pleśni, którą nazywamy krajobrazem, życiem, kulturą, i egzystują tam maleńkie istoty zwane ludźmi. Całe to zjawisko trwa krótką chwilę, a potem wszystko się kończy”. Ale tak nie jest, nie jesteśmy odchodzącym nieodwołalnie w nicość przypadkiem. Świat ma twarz Dziecka, które się do nas uśmiecha i zaprasza do wiecznej zabawy.

Tak! To był dla mnie i wciąż jeszcze jest czas pocieszenia. Ignacy Loyola w swoich „Ćwiczeniach duchowych” podaje różne reguły pomagające rozeznąć pocieszenia i strapienia, których doświadczamy. Zauważa między innymi, że tylko Bóg może dać pociechę bez uprzedniej przyczyny, czyli bez żadnego uprzedniego doznania, wydarzenia, które tłumaczyłoby naszą wewnętrzną radość. Na przykład, czystą radość z narodzenia Bożej Dzieciny, bez względu na to, czy spotkania świąteczne wspaniale się udały, czy też nie. Ignacy poucza też, aby w stanie pocieszenia z pokorą pamiętać, że kiedyś, być może niebawem, nadejdą strapienia. I by się do nich przygotowywać już wówczas, gdy czujemy się radośnie.

W ludzkim życiu przeplatają się pocieszenia i strapienia. Mionony rok był w wymiarze społecznym pełen strapień. Jaki będzie rok 2011? Życzymy sobie, aby był lepszy od poprzedniego, byśmy mieli więcej powodów do radości. Ale jakkolwiek byłby, to przecież mamy nadzieję, że nie jesteśmy sami, przypadkowi... Światło groty betlejemskiej otwiera nam cały wszechświat i wieczność.

KONWERSATORIUM LIII

(18 lutego 2012)

Czy i jak strapionych pocieszam?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii p.w. bł. Edmunda Bojanowskiego), ks. dr Jan Sikorski (proboszcz parafii p.w. świętego Józefa Oblubieńca NMP na Kole, w czasie stanu wojennego duszpasterz internowanych w Białoleśce, później Naczelny Kapelan Więziennictwa RP, doktor teologii), Adam Pietrzak (wiceprezes Stowarzyszenia Przymierze Rodzin), Maciej Syka (członek katolickiej wytwórni filmowej Grassroots Films z Nowego Jorku, anglista i filozof, absolwent UAM w Poznaniu, a także Supreme Business College w Sydney w Australii. Na co dzień zajmuje się filmem „The Human Experience” i jego pokazami w Europie i na świecie).

Ks. Adam Zelga

Tematem dzisiejszego Konwersatorium jest pytanie skierowane do każdego z nas: Czy i jak strapionych pocieszam? Siostra Faustyna, polska mistyczka, na początku XX w. przypomniała, odkryła na nowo, jedną z najgłębszych prawd i największych potrzeb współczesnego człowieka. To potrzeba i odkrycie prawdy o Bożym Miłosierdziu. Uświadomienie nam, że pierwszym przymiotem, czy istotą, Boga jest miłość, objawiająca się w miłosierdziu. Kościół, rozważając przez wieki ten temat, ułożył katechizmowe pojęcia, w których możemy się rozkochać, medytować, przez które możemy poznawać własne człowieczeństwo, własną godność. I tak do uczynków miłosiernych względem duszy należą: grzeszących upominać, nieumiejących pouczać, wątpiącym dobrze radzić, strapionych pocieszać, krzywdy cierpliwie znosić, urazy chętnie darować



Paneliści: od lewej ks. Adam Zelga, Maciej Syka, ks. Jan Sikorski i Adam Pietrzak

i modlić się za żywych i umarłych. Dzięki tym siedmiu katechizmomym hasłom możemy rozważać głębię naszego człowieczeństwa.

Dzisiaj mamy mówić o strapionych. Pozwolę sobie na krótkie świadectwo, dedykowane pani Rektor. Kiedy zajmuję się sobą, kiedy moje myśli krążą tylko wokół siebie i kiedy nie mogę się z tego wydobyć, to nagle otrzymuję maila, sms-a albo telefon od pa-

ni Rektor, która zarzuca mnie ilo-
masz tam pomysłami! Najpierw się denerwuję, ale potem wydobywam się z mojego strapienia i zaczynam myśleć, że jeżeli pani Rektor w swojej godności, w swoim doświadczeniu uznała, że mogę jej pomóc, to ja to zrobić powinienem... Tak pani Rektor pociesza strapionego proboszcza. Bardzo za to dziękuję.

Ustaliliśmy przed naszym przyjściem kolejność wypowiedzi. Ponieważ historia ludzkości zaczęła się od Adama nie wypada, żeby



Ks. Adam Zelga

nasze Konwersatorium też nie zaczęło się od Adama. Bardzo proszę.

Adam Pietrzak

Bardzo dziękuję, bardzo się cieszę, że mogę uczestniczyć w tym Konwersatorium. Rzadko zdajemy sobie sprawę, jak wielkim strapieniem może być, że chcemy kogoś pocieszyć, nie bardzo wiedząc jak. Ostatnio byłem w pewnym gronie kobiet, które się zgromadziły, żeby pogłębiać swoją wiedzę o rodzinie, o wierze, o wychowaniu. Po tym spotkaniu podeszła do mnie kobieta, która mówiła o konieczności przebaczenia. I przytoczyła słowa Piotra: „ile razy mam przebaczać, aż siedem razy? Nie mówię ci siedem, ale aż siedemdziesiąt siedem”. To tę kobietę strasznie strapiło. Mówi mi – ale jak to zrobić? Ja po prostu nie umiem przebaczyć. Ale co pani rozumie przez przebaczenie? – spytałem. Rozumiem – odpowiedziała, że powinnam wszystko zapomnieć, wyrzucić z pamięci i wrócić do sytuacji sprzed zdarzenia. Wyjaśniłem, że zapomnieć, to znaczy mieć sklerozę, a przebaczyć, to znaczy ogarnąć miłością i życzliwością danego człowieka.

Często uświadamiam sobie, jak strasznie trudno jest kogoś pocieszać, bo my, kiedy słyszymy o strapieniu drugiego człowieka, chcielibyśmy koniecznie znaleźć receptę, która by go natychmiast pocieszyła. Robimy ogromny błąd, ponieważ jeśli strapionemu chcemy dać natychmiast receptę, to wysyłamy do niego sygnał, że chyba jest nieudacznikiem, bo nie potrafi sobie sam poradzić, gdy my tymczasem takie sprawy rozwiązujemy natychmiast. Do umiejętności radzenia, pocieszania strapionego, należy w pierwszej kolejności umiejętność aktywnego słuchania. Jak idziemy do kogoś, kto cierpi w szpitalu, to



Adam Pietrzak



Adam Pietrzak (z mikrofonem), obok ks. Jan Sikorski i Maciej Syka

na ogół przynosimy ze sobą nasze własne ciężary, którymi się chcemy podzielić, a chory o jednym tylko marzy, żebyśmy przyszli i posłuchali o jego cierpieniu, żeby wreszcie ktoś mógł go wysłuchać. Nawet nie to, że go boli, bo to łatwo powiedzieć, ale żeby ktoś chciał być z nim w jego cierpieniu. Czasem приходzimy do chorego, który jest po rozmowie z lekarzem, który mu powiedział „robiliśmy wszystko, co było do zrobienia, nie mam dla pana dobrych wiadomości”. Jak się zachować? Co mówić? Jeżeli w takiej sytuacji przychodzi rodzina i zaczyna mu opowiadać „Za dwa tygodnie wyjdiesz na wesele, to jeszcze pohulamy”, to on sobie myśli „Boże, jak oni mnie niepoważnie traktują”. On chciałby powiedzieć im o swoim smutku i dowiedzieć się od nich, co ma z nim robić.

Kiedy przygotowywałem się do dzisiejszego wystąpienia, zajrzałem do „Wielkiego słownika języka polskiego”, żeby ogarnąć zakres słowa „strapienie” i dowiedzieć się czegoś więcej. Otóż znalazłem w opisie zakresu pojęciowego słowo, które – moim zdaniem – jest dla dzisiejszych rozważań kluczowe – niepokój. Wśród błogosławieństw, które nam Pan Jezus dał na Górze jako prawodawca, jest recepta szczęśliwego życia: „szczęśliwi pokój czyniący”. Kiedy mówimy słowo „pokój”, to jako przeciwstawienie go na ogół mówimy „wojna”, a w rzeczywistości przeciwieństwem poko-

ju jest niepokój. I to jest to nasze strapienie. Niepokój z powodu braku nadziei, z powodu braku miłości, z powodu złodziei, którzy nas okradli, kłamców, morderców. Boimy się choroby, cierpienia, samotności, zdrady, jutra, utraty pracy, niekiedy własnych dzieci, a niekiedy samych siebie. To są te obszary naszego niepokoju, które nam zakłócają normalne życie naszej duszy. I ktoś, kto chce pomóc, powinien przede wszystkim wysłuchać.

Mówimy czasem „uspokój się”. To słowo w różny sposób powiedziane co innego znaczy. Kiedy mówimy do dziecka „uspokój się”, to znaczy „opanuj się, daj spokój”, ale mówimy też to samo słowo, tylko w innym zaśpiewie „uspokój się, to przejdzie, nie będzie bolało, daj, mamusia pocałuje, to cię przestanie boleć” – możemy ten pokój nieść w różny sposób.

W Kościele jest taki piękny ryt w liturgii „przekażmy sobie znak pokoju”. Pan Jezus mówił do apostołów: „jak pójdziecie do domu, pozdrówcie – pokój temu domowi” – to znaczy, żeby niepokój odszedł od ciebie. Żebyś był uspokojony, żebyś miał nadzieję, żeby tutaj zapanowała miłość.

Nieumiejętność pocieszania strapionych polega na tym, że się śpieszymy, że nie bardzo chcemy wysłuchać tego, kto jest strapiony. Nie mamy dla niego czasu. Po prostu nie rozmawiamy, nie chcemy słuchać. Mamy problemy z wychowaniem swoich dzieci, bo ich nigdy nie wysłuchaliśmy. Rozmawiamy z synem, gdy wybije szybę i trzeba dać sąsiadowi odpowiednią kwotę, żeby szybę wstawił, albo zawołać szklarza, a synowi powiedzieć, że tak się nie robi, że to jest po prostu nie w porządku. Czy potrafimy jednak spokojnie pogadać z nim o przyczynach tego czynu? Czy nie brakuje nam na to czasu? To, co wychowuje, to są nielimitowane czasem rozmowy, które polegają na wysłuchaniu. Otóż my udzielamy wielu rad dzieciom, które mają niepowodzenia z różnego powodu, ale nie zadajemy sobie trudu, żeby poznać świat dziecka. Mówimy mu: „kiedyś było inaczej”, „za moich czasów inaczej się żyło”. To nie jest mądre, bo teraz świat jest inny, żyjemy z komputerem, z telefonem komórkowym i z różnymi przedmiotami, które mają nam ułatwiać życie. Muszę poznać świat, w którym nasze dziecko żyje, po to również, żeby mu powiedzieć o swoim świecie. To droga do porozumienia i kontaktu z dzieckiem.

Maciej Syka

Na początku chcę bardzo podziękować za zaproszenie do udziału w Konwersatorium. To cudowne, że w wolnej Polsce, w tym kraju są takie uczelnie, w których odbywają się takie spotkania i takie debaty. Reprezentuję tutaj katolickie studio filmowe Grassroots Films z Nowego Jorku. Grassroots w języku angielskim, w tłumaczeniu na język polski oznacza „źdźbła trawy”, ale takie, które mocno trzymają się gleby, które mocno trzymają się ziemi.

Jadąc tutaj, próbowałem przygotować się i odpowiedzieć sobie na pytanie, które jest tematem przewodnim: „czy i jak strapionych pocieszam?” W tym pytaniu jest końcówka „am”, „pocieszam”, czyli „ja ich pocieszam”. Nie ma „jak pocieszać”, tylko „jak ja pocieszam”. Z filmem, o którym będę mówić („The Human Experience”)

jeździmy po całym świecie. Dzisiejsza Europa, w której jest ciągle wielu mądrych i wspaniałych ludzi, wydaje się być bardzo strapiona. Tydzień temu w Ewangelii było o trądzie. Możemy powiedzieć, że cała dzisiejsza Europa tonie w chorobie, chorobie serc i dusz. Ta Europa, która miała silną tożsamość i jej duch chrześcijański, katolicki, który przebijał się od wielu, wielu lat, dzisiaj ktoś jakby chce ugasić.

Ojciec Tomasz Pawłowski, dominikanin, twórca krakowskiej „Beczki” i duszpasterstwa bardzo znanego w Krakowie, napisał kiedyś książkę, która w moim domu leżała zawsze na stole. Była to książka „Siła przebicia”. Ojciec Tomasz Pawłowski, adresując ją głównie do młodych, zaczyna ją od pytania: „Będę bezczelny jako zakonnik, będę bezczelny jako dominikanin i zadam

wam wszystkim jedno pytanie o efektywność i skuteczność chrześcijaństwa, a wręcz o efektywność i skuteczność chrześcijan. Jaka jest nasza efektywność, jaka jest nasza skuteczność?” Idzie dalej i mówi:



Maciej Syka

„Skoro chodzimy do kościoła, skoro słuchamy dziesiątek kazań, to jak możemy chodzić ze spuszczoną głową, jak możemy chodzić smutni?”. Ojca Tomasza Pawłowskiego można czytać i cytować wielokrotnie, ale tym, co osobiście przykuwa moją uwagę i co dotyka mojego serca, jest to, jak przełożyć odbiór jego porwijających słów na codzienne działania.

Prezentując nasz film, spotykamy się z młodymi ludźmi, którzy dzisiaj, na pierwszy rzut oka, są weseli, uśmiechają się, ale jak każdy młody człowiek noszą swoje problemy, znaki zapytania i kwestie w sercu, które czekają na odpowiedź i rozwiązanie.

Wszystko zaczęło się od papieża Jana Pawła II, który na pielgrzymkach do Ameryki Północnej, w tym do Stanów Zjednoczonych, a także podczas Światowych Dni Młodzieży w Toronto w 2002 roku, mówił do nas, młodych ludzi, którzyśmy stali na ogromnym lotnisku w Toronto, że dzisiejszym młodym katolikom potrzeba odwagi i potrzeba szczęścia i radości. Mówił to do 1,5 miliona młodych ludzi zebranych na lotnisku.

Był lipiec 2002 roku, a jeszcze w czerwcu tego samego roku media w Kanadzie mówiły: „Po co ten człowiek przyjeżdża do naszej Kanady? Po co przyjeżdża Jan Paweł II?”. Te same media miesiąc później, po wizycie Jana Pawła II, na pierwszych stronach gazet publikowały zdjęcia robione z helikoptera, na których było widać te ogromne tłumy młodych ludzi, a nagłówki tych gazet brzmiały: „morze miłości”, „euforia radości”.

Dochodzimy do tematu dzisiejszego spotkania. Jan Paweł II umiał nas wszystkich pocieszać. On umiał na nas wpływać. To on powiedział, że następne pokolenie należy do ludzi, którzy przekażą motywy życia i nadziei. Tak powstała wytwórnia Grassroots Films – niezależne filmowe studio katolickie, powstałe pod wpływem wielkiego orędownika w białej szacie, Jana Pawła II i pod wpływem tego, co dał nam, młodym ludziom.

W Światowych Dniach Młodzieży uczestniczyliśmy cztery razy. To one są nie tylko wielkim darem dla Kościoła Katolickiego, ale



Maciej Syka

przede wszystkim wielkim świętem wiary młodych ludzi, które spowodowały, że poczuliśmy się, jako młodzi ludzie, mocniejsi. Te Światowe Dni Młodzieży przyczyniły się do powstania filmu „The Human Experience” („Wszystko o człowieku”), z którym możemy jeździć i go prezentować.

Odpowiadając na pytanie, czy i jak strapionych pocieszam, chcę powiedzieć, że nigdy nie myślałem, że znajdę się w takiej sytuacji, w jakiej obecnie się znajduję. Jestem anglistą, filozofem z wykształcenia, a tak jakoś Pan Bóg ustawił moje sprawy, że jeżdżę razem z kolegami ze wspomnianym filmem po Europie i Ameryce Północnej, a także w marcu będziemy prezentować ten film w Polsce (między innymi 24 marca o 17.00 w tej sali, w której obecnie się znajdujemy).

Tematyka filmu jest niesamowita: 92 minuty filmu, który pokazuje ludzi, na pierwszy rzut oka bardzo smutnych, bardzo strapionych. Zdjęcia do filmu były robione między innymi w Ameryce Południowej, w Peru, a także w Ghanie, w Afryce. Bohaterowie to ludzie bardzo prości, skromni, mający, po ludzku, bardzo mało, ale tak po Bożemu patrząc i w duchu chrześcijańskim, bogaci, mający duże rodziny, mający dużo dzieci, to, co chyba, jak wszyscy wiemy, jest największym skarbem. Bohaterowie naszego filmu to ludzie, którzy bardzo wiele wycierpieli: bieda, głód, wojny, ale kiedy rozmawiają z nami przed kamerą, mają, co widać wyraźnie, wielki pokój serca. Widać to w ich oczach, w ich uśmiechu. I z tą historią jeździmy już od trzech lat.

Film zobaczyło już około 500 tysięcy młodych ludzi na specjalnych pokazach. Staramy się unikać kin, najczęściej prezentujemy ten film w aulach wyższych uczelni. Interesuje nas coś więcej niż tylko pokaz filmu, czekamy na debatę i dyskusję po filmie. Po prezentacji filmu w Szwajcarii, w Niemczech, gdzie można było sądzić, że nikt na niego nie przyjdzie, okazywało się, że aule były wypełnione rzeszą młodych ludzi, brakowało miejsc. Siedzieli na podłodze, na schodach, wszędzie. To było niezwykle dla nas doświadczenie. Mówi się dzisiaj, że Europa jest totalnie strapiona, jest przesiąknięta trądem, chorobą duszy, że dzisiejsi młodzi ludzie nie mają ducha. Nasze spotkania filmowe potrafiły trwać nawet do czterech godzin. Młodzi ludzie mówili o tym, że pamiętają dom rodzinny i to, co im mówili rodzice, ale teraz, będąc w wieku dwu-

dziestu paru lat, będąc na studiach, czy będąc absolwentami, swoje życie prowadzą inaczej. Obejrzenie filmu coś im przypomniało i dało do myślenia. Ktoś może powiedzieć – czyste emocje, ale co dalej? Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć, mogę tylko stwierdzić fakty, jak wygląda sytuacja. Można mieć tylko nadzieję, że film jest narzędziem, które skłoni do myślenia, podobnie jak cztery inne filmy, które nakręciliśmy. Jeden z nich jest filmem powołaniowym – „Rybacy ludzi”, poświęcony kapłanom, którzy są naszymi pasterzami i którym wiele zawdzięczamy. Film jest poruszającym świadectwem kapłanów, którzy mają styczność z tymi strapionymi, z tymi, którzy mają trudności.

Tak na dziś wygląda sprawa grupy chłopaków, która zajmuje się w Ameryce produkcją wspomnianych filmów i ich prezentacją na świecie. Ja jestem odpowiedzialny za Polskę, za Europę, a czwórka kolegów pracuje w Ameryce Północnej. Nie jest łatwo, bo i sami mamy swoje strapienia i problemy. Wiadomo jest, jak dzisiaj trudno jest prowadzić coś otwarcie w duchu katolickim, jest wielu przeciwników i to wymaga wielu wyrzeczeń i wielkiego wysiłku. Bogu dzięki, mamy wspólnotę Franciszkanów, którzy modlą się za nas i są naszymi duszpasterzami, a tutaj w Polsce ojców Dominikanów i to pocieszenie również my sami od nich otrzymujemy.



Maciej Syka i ks. Jan Sikorski

Kończąc moją wypowiedź, chciałbym jeszcze raz odnieść się do słów ojca Tomasza Pawłowskiego, że ta efektywność, ta skuteczność, jest w nas katolikach chyba wpisana i należy zadać sobie pytanie: „czy nam wolno być strapionymi, czy nam wolno chodzić ze spuszczoną głową, czy mamy ku temu powody, skoro mamy tak piękną wiarę i jest to naszym skarbem?”

Wytwórnia Grassroots Films, to niewielkie studio z Nowego Jorku, jest dla nas tym, co przez produkcję filmów i ich prezentację umożliwia nam spotkania z młodymi ludźmi, od których my sami otrzymujemy bardzo wiele. To jest obopólna relacja.

Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie i serdecznie zapraszam na film 24 marca o 17.00.

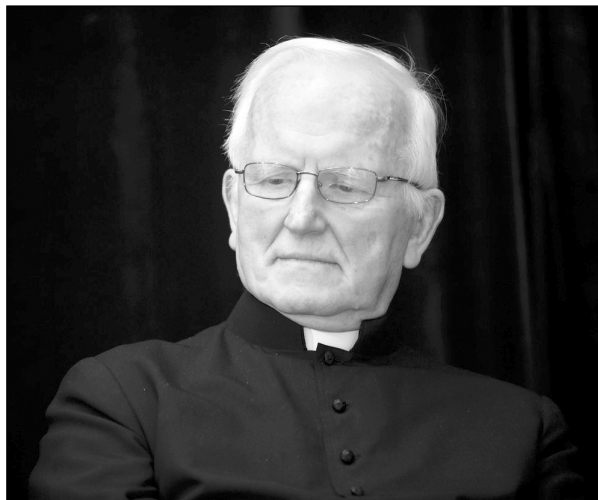
Ks. Jan Sikorski

Zacznę od przykładu. Inspirowany wypowiedzią księdza Adama też powiem, jak zostałem pocieszony i to w związku z naszymi spotkaniami, na które nie przyszedłem. Zatelefonowałem do pani Rektor, z całą pokorą przyznając się do winy i oczekując ostrych słów, a pani Rektor powiedziała: „a myśmy się martwili, że księdzu się coś stało”. To było dla mnie niezwykle i niespodziewane pocieszenie.

Ksiądz Adam przedstawiał mnie jako uczestnika więziennych zmagania. Rozpocznę więc od więziennych przeżyć stanu wojennego. Duszpasterzowałem wtedy internowanym, w Białoleńcu. Wiadomo, że nie było im tam zbyt wesoło, choć z czasem niektórzy już się z tą sytuacją pogodzili, a nawet zaczęli się dobrze czuć, jak to często panowie, gdy są razem. Stworzyli taki styl życia niczego sobie.

Pewnego dnia przychodzę, kaplica/świątelnica nabita bardziej niż zwykle i stoi cała grupa ludzi niezwykle smutnych i strapionych. Głowy opuszczone i widzę, że są przerażeni. Okazało się, że parę dni wcześniej internowano wiele osób z Warszawy, w drugim czy trzecim już rzucie. Oni wszyscy byli bardzo przejęci, nie wiedzieli, co ich czeka. Pierwsza moja myśl – co ja im powiem? Spróbowałem tak: „Panowie, każdy proboszcz – a czułem się tam proboszczem – cieszy się jak mu parafia rośnie. Jakże się cieszę, że mam tylu nowych parafian”. Śmiech na całą salę. Po trzydziestu latach ktoś mi powiedział, że te słowa bardzo go umocniły i dodały otuchy.

Wdzięczny jestem za temat „strapionych pocieszać”. Rzeczywiście tak, jak powiedział pan Maciej, Europa tonie w chorobie serc



Ks. Jan Sikorski

i dusz. Okazuje się, że w samej Polsce 164 tysiące ludzi choruje w tej chwili na depresję. Sam, odwiedzając w domach i szpitalach swoich bliskich przyjaciół i parafian, spotykam ludzi, z którymi nie można nawiązać żadnego kontaktu, mimo że często są to ludzie młodzi, zdolni, budzący nadzieję studenci. Próbuję się odezwać: „jak masz na imię?” Nic, przewraca się na drugi bok, kocem nakryty, nie odzywa się. Rodzina, dom, wydaje się wszystko w porządku i nagle depresja. Taka jest sytuacja. *Status quo*.

Z jednej strony, rzesze młodych ludzi witały Papieża, co jest ogromnie pocieszające, z drugiej jednak strony oblicza się, że około dwóch milionów ludzi w Polsce ma zaburzenia psychiczne. Ta ogromna liczba zostaje potwierdzona również przez moje osobiste doświadczenie. Powszechnie spotyka się dziś ludzi, którzy mają ogromne kłopoty psychiczne.

Drugi punkt: co na to Pan Jezus, co na to Pismo Święte? Kiedy otwieramy pierwszą kartę, gdzie opisywany jest dramat grzechu pierworodnego – cóż robi Pan Bóg? Daje nam przykład, ukazuje przyszłość: „położę nieprzyjaźń między tobą (szatanem) a niewiastą” i zapowiada przyście zbawienia, wyjście z tej beznadziejnej sytuacji. Kiedy spojrzymy na osobę Pana Jezusa na kartach Ewangelii, widzimy, jak przychodzi do ludzi ze słowem pocieszenia. Oto umarła dziewczynka, a Pan Jezus mówi do matki: „nie płacz, nie

umarła dziewczynka, ale śpi” – pociesza ją. Sam płakał nad Jerozolimą, sam potrzebował pociechy, bo był człowiekiem. Pytał apostołów: „jak to, nie mogliście jednej godziny czuwać ze mną?”. Prosi uczniów: „bądźcie ze mną”.

Jednocześnie przypomina nam „błogosławieni miłosierni – oni miłosierdzia dostąpią”, „jeżeli przebaczycie ludziom i oni wam przebaczą”. No i wreszcie może najważniejszy moment, kiedy Pan Jezus otoczony na Golgocie dwoma skazańcami, sam umęczony na krzyżu, mówi łotrowi „dzisiaj będziesz ze mną w raju”, a więc pociesza go. Święty Paweł w liście do Tesaloniczan pisze: „prosimy was bracia, abyście upominali grzeszących, pocieszali małodusznych”. O tym przypomina nieustannie.

Weźmy psalmy do ręki, choćby ten piękny psalm 23, kiedy psalmista mówi: „choćbym chodził przez ciemną dolinę, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś przy mnie. Kij Twój i laska pasterska, one mnie wiodą” Jeden z rozdziałów Izajasza: „pocieszcie swój lud”. Izajasz wspomina w innym miejscu: „jak matka pociesza, tak Ja was będę pocieszał”.

No i najważniejsze to, co chcę powiedzieć, Trzecia Osoba Trójcy Świętej – jakie jest Jego imię? – Paraklet – Pocieszyciel. Czy trzeba czegoś więcej? Bóg ciągle chce nas pocieszać. Wpisane jest to w całą ekonomię zbawienia – Jego pocieszenie. U świętego Jana Pan Jezus mówi: „przyślę wam Pocieszyciela. On was nauczy całej prawdy”. W tej konieczności pocieszenia nieustannie się obracamy.

Trzeci punkt wprowadzenia do naszej dyskusji to pytanie, jak my mamy się zachować i co możemy zrobić, żeby stać się tymi pocieszycielami, jakby tymi kontynuatorami misji Ducha Świętego, który w nas jest, żebyśmy umieli pocieszać innych.

Adam Pietrzak

Chciałem zwrócić uwagę, że strapionych pocieszać, jest to nasza powinność – to coś więcej niż tylko obowiązek. Naszą powinnością jest nieść pomoc i pocieszenie. Jest jednak ogromnie trudne, jak skutecznie pocieszać.

Już od kilku lat na forum dyskusyjnym „Porozmawiajmy o Wierze”, na portalu Opoki, odpowiadam strapionym na różne ich pytania. To jest forum moderowane, więc odpowiadam tylko na te pytania, które wymagają odpowiedzi. Kilka z nich przytoczę.

Pewien człowiek pisał: „Mój szesnastoletni syn powiedział, że nie będzie chodził do Kościoła. Jest już po bierzmowaniu i podjął taką decyzję, a ja mu powiedziałem, że dopóki mieszka w moim domu, będzie chodził do Kościoła”. Wstrząsnęło to mną. Po przeczytaniu tej wypowiedzi zamknąłem komputer, chodziłem z tą myślą przez pół dnia, po czym siadłem i odpowiedziałem. Zadałem mu pytanie: „Czy pana syn mieszka w internacie, czy w swoim rodzinnym domu? Na to musi pan sobie odpowiedzieć”. Druga kwestia była związana z pewnym usprawiedliwianiem swojego syna, bo on sam przez długie lata nie chodził do Kościoła, był z daleka, ale wrócił. Poradziłem mu, żeby przyjrzał się temu, co robi Pan Bóg, który nigdy nie mówi „musisz”, ale „jeśli chcesz”. Powiedziałem „Pozmawiaj z synem, powiedz mu, jak trudno jest żyć bez Chrystusa, jak się miotałeś, żeby Go znaleźć i jak byłeś szczęśliwy, kiedy Go odnalazłeś. Opowiedz mu o tym”. To jest pocieszenie, które potrzebne jest temu zbuntowanemu dziecku.

Inny wpis. Chłopak pisze, że w sierpniu podjął decyzję o zbieraniu dziewięciu pierwszych piątków miesiąca. Ale w styczniu dowiedział się, czego wcześniej nie wiedział, że te pierwsze piątki dotyczą przyjmowania również Komunii świętej. I on nie wie teraz, co z tymi piątkami, które już zebrał, zrobić. Nie miał mu kto tego wytłumaczyć. Cała jego wiedza, świadomość religijna pochodziła z internetu. To jest to doświadczenie, którego my, dorośli, nie znamy.

Inna dziewczyna pisze, że nie dostała rozgrzeszenia. Cztery lata jest z chłopakiem. W żargonie młodzieżowym „jesteśmy ze sobą” znaczy „żyjemy na sposób małżeństwa”, że to nie znaczy, że się



Adam Pietrzak

spotykamy, chodzimy, na przykład, do kina, tylko, że jesteśmy razem. Otóż ona chodziła do spowiedzi, spowiadała się z grzechu nieczystości i zawsze dostawała absolicję, ale tym razem podkusiło ją, żeby powiedzieć, że ona z nim mieszka, no i oczywiście nie dostała rozgrzeszenia. Wytłumaczyłem jej, że przecież ona żyje w konkubinacie. Ona tego nie mogła zrozumieć. I spytałem się jej, czy nigdy nie rozmawiała ze swoją matką, a ona na to, że z jej matką na temat wiary nie można w ogóle rozmawiać. Jak wielkie спустoszenie jest w sercach i umysłach wielu młodych i jak trudno jest odpowiedzieć prawdziwie, jednocześnie nie podważając autorytetu matki czy ojca.

Ostatni przykład. Dziewczyna pisze: „chciałabym dostać szóstkę od mojej kochanej katechетки – czy to prawda, że w piątki nie można jeść mięsa? Pani katechетка mówi, że nie można, a ja tego nie wiem”. Odpowiedziałem jej na to, że „pani katechетка ma rację, ale czy u was w domu je się mięso w piątek?” Ona musi spojrzeć na swój dom.

Internauci traktują często forum jako przedpokój do konfesjonału, na co ja się nie godzę. Jeśli jest konflikt sumienia, który trzeba oczyścić, to trzeba iść do spowiedzi i wszystko powiedzieć. Ale strasznie dużo jest wokół nas ludzi, którym trzeba pomóc takim zwykłym pokazaniem, jak jest naprawdę, bo to pocieszenie w gruncie rzeczy jest ukazaniem prawdy o nim samym.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Może na początku dyskusji dwie drobne sprawy. Pierwsza to znak pokoju. Gdy został wprowadzony w liturgię Mszy świętej, to dużo osób nie reagowało na niego, a nawet stali ponurzy i widać było, że tego nie akceptują. W tej chwili jest to już powszechnie przyjęte. Ale dalej gest podania ręki jest różny. Czasem jest to pusty gest bez okazania jakichkolwiek uczuć w stosunku do drugiego człowieka. Jeżeli podają rękę z uśmiechem, to mam wrażenie, że tworzy się serdeczna więź z osobą, która ściska mi rękę. Zdarza się, że mimo że tej osoby nie znam, spotkana na ulicy, kłania się. Czło-

wiek może być smutny, ale jak się zwróć do niego z uśmiechem, to może choć na chwilę zapomni o swoim smutku – jest to element pocieszenia.

Druga sprawa to jest słuchanie drugiego człowieka. Moi bracia i ja mieliśmy cudowny przykład naszego ojca, który umiał wspianiale słuchać. Myślę, że jeśli umiemy słuchać, to mamy gwarancję dobrych relacji z naszymi dziećmi, wnukami, a także innymi ludźmi. Nasze wnuki bardzo często przychodzą do nas tylko po to, żeby wygadać się komuś, powiedzieć wszystko, co im leży na sercu. Poprzez słuchanie zdobywamy informację, jak możemy temu człowiekowi pomóc, służyć radą, jeżeli takiej potrzebuje.

Mieliśmy ostatnio takie zdarzenie. Zaprzyjaźniliśmy się pewnym młodym człowiekiem, który robił u nas remont. Poznaliśmy jego żonę, dzieci, czasem nas odwiedza i wiele o sobie opowiada. Jest naprawdę bardzo zdolnym i inteligentnym człowiekiem, ale życie tak nim pokierowało, że skończył tylko szkołę podstawową. Poradziliśmy mu, żeby rozpoczął naukę. Podjął naukę w technikum i mam nadzieję, że oparcie w nas pozwoli mu ją ukończyć.

Czasem zdarzają mi się takie sytuacje, że ktoś przychodzi do mnie, żeby coś powiedzieć o sobie i prosić o radę. Wtedy nieociekona jest pomoc Ducha Świętego, którego proszę o pomoc i zawsze ją otrzymuję.



Elżbieta Mycielska-Dowgiałło i Andrzej Dowgiałło

Andrzej Skoczek

Na terenie naszej wspólnoty parafialnej świętego Tomasza Apostoła działa hospicjum onkologiczne i tam kapłanem jest ksiądz kanonik Tomasz Małkiński, wspaniały kapłan. Pytałem go, jak sobie radzi w tych tragicznych sytuacjach, kiedy umierają ludzie, rodzina oczekuje na pomoc, a on, kapłan, staje w obliczu sytuacji niewytłumaczalnych dla ludzi żegnających osobę umierającą. On mi wtedy powiedział, że trzeba mieć dużo czasu, trzeba nauczyć się milczeć, słuchać i modlić się. Mówił to na podstawie wielu lat doświadczeń. Wielokrotnie ci doświadczani cierpieniem ludzie chcą się podzielić swoją tragedią z kimś innym, a szczególnie z kapłanem, który może ich wysłuchać, wziąć za rękę i na koniec zaproponować wspólną modlitwę. Potężna ulga, która rysuje się na twarzach tych ludzi jest dla kapłana wielką nagrodą. Jest to radość, że potrafi w ten sposób ludzi pocieszać.

Jeszcze jedno wspomnienie. Kilka tygodni temu zmarła w naszej parafii pani Maria Głodzik. Była skromną i cichą osobą, przykładem niezwyklej wprost pokory. Udzielała się bardzo intensywnie charytatywnie, taka ewangeliczna wdowa. Sama schorowana, cierpiąca ponad ludzką miarę, potrafiła innych obdzielać szczerym sercem, wielkim duchem i bezinteresowną pomocą. Myśmy tej po-



Adam Skoczek (z mikrofonem)

mocy nie zauważali, mimo że przez tyle lat żyliśmy i działaliśmy koło siebie. Dopiero po jej śmierci zobaczyliśmy, jakie wielkie miała serce i jak wielkim dobrem obdarzała innych ludzi. Z tej posługi czerpała zapewne całą swą siłę i niewyczerpaną energię, aby innym pomóc. Była wzorem skromnej niewiasty, kochającej i troskliwej ponad przeciętność matki, pokornej i wiernej parafianki, uczynnej sąsiadki. Jakże szkoda, że te przymioty rozblęskły niezwykłym blaskiem dopiero po jej śmierci. Bardzo biję się w piersi i jest mi wyjątkowo smutno z tego powodu.

Janina Wiśniewska

Z informacji, które do mnie docierają, wiem, że dużo młodych ludzi jest zmęczonych otaczającą rzeczywistością. Poczynać to nie tylko umieć słuchać, ale też umieć zauważyć i wyznaczyć granice.

Posłużę się przykładem z mojego życia zawodowego. Gdy prowadziłam zajęcia, miałam wśród słuchaczy młodego człowieka, który nosił same topowe marki, lecz jego zachowanie zostawiało wiele do życzenia. Zawsze wykladał telefon przed siebie. Dzwonił nawet w trakcie zajęć, czasem wychodził i rozmawiał przez telefon.

Zwracałam mu uwagę, ale to nie skutkowało. Gdy pewnego razu drugi raz wyszedł z tym telefonem w trakcie zajęć, nie wytrzymałam i popłynął potok słów. Gdy ochłonęłam, miałam świadomość, że powiedziałam kilka słów za dużo. Podeszłam do okna i próbowałam sobie przypomnieć temat zajęć. Spodziewałam się skargi do dziekana. Jakie było moje zaskoczenie, kiedy pod koniec moich zajęć ten młody człowiek podszedł do mnie i bardzo mnie przeprosił oraz podziękował. Widząc moje zdziwienie, powiedział mi, że jestem pierwszą osobą – i tutaj padła jakaś liczba lat – która potrafiła mu zwrócić uwagę. On miał zamożnych rodziców, którzy spełniali wszystkie jego zachcianki, ale jemu zabrakło wyznacze-



Janina Wiśniewska

nia granic. Myślę, że pocieszyć, to wyznaczyć granice, które dają poczucie bezpieczeństwa.

Ks. Jan Sikorski

Ja może zilustruję to, co pani bardzo dobitnie i mądrze powiedziała. Księga Syracha, rozdział 30: „Kto miłuje swego syna, często używa na niego różgi, aby na końcu mógł się nim cieszyć. Kto wychowuje swego syna, będzie miał z niego pociechę i dumny będzie między znajomymi. Rozpieszcza swego syna ten, kto opatruje każdą jego ranę i komu na każdy jego głos wzruszają się wnętrzności. Koń nieujeżdżony jest narowisty, a syn zostawiony samemu sobie staje się zuchwały. Pieść dziecko, a wprawi cię w osłupienie, baw się nim, a sprawi ci smutek. W młodości nie dawaj mu zbytnej swobody, okładaj razami boki jego, gdy jeszcze jest młody, aby gdy zmężnieje, nie odmówił ci posługi. Wychowaj syna swego żywego do pracy, abyś nie został zaskoczony jego bezczelnością” (Syr 30, 1–2.7-13).

Mądrość Pisma Świętego jest daleka od współczesnych zasad wychowania. Niesamowite. Jeszcze chwila i pójdę za to do więzienia, jak to będę czytał.



Ks. Jan Sikorski i Maciej Syka

Włodzimierz Zając

Współczesne zasady wychowania – to współczesne zasady mody. To jest tylko moda. Nie jest powiedziane, że musimy ulegać modzie. Ważne jest zachowanie rozsądku.

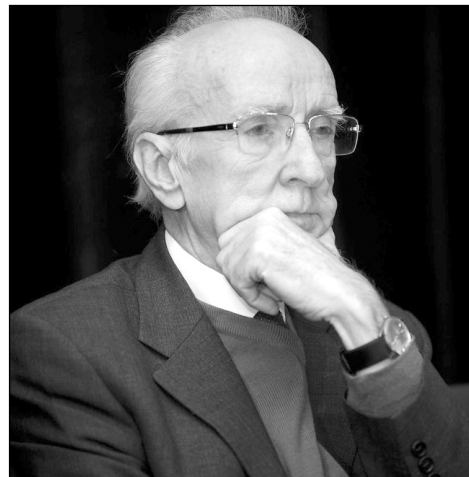
Ks. Jan Sikorski

Jeszcze jedno przychodzi mi na myśl – prawda, że nie ma życia bez krzyża, bez trudności, bez kłopotów. Samo pocieszenie w rodzaju „nie martw się” nie wystarcza. Trzeba oprzeć się na trudnej prawdzie o pogodzeniu się z sytuacją w myśl słów „Bądź wola Twoja”, nawet jeżeli to jest bolesne.

Adam Pietrzak

Zostało już wspomniane, jak ważna w pocieszeniu jest modlitwa. W mojej pracy internetowej otrzymałam kiedyś zapytanie od katechetki, że nie umie się modlić. Co jej radzę? Napisałem jej wtedy „czy Pan Jezus już o tym wie? Idź i powiedz to Jezusowi, że nie umiesz się modlić”.

Strapienie z powodu świadomości, że modlitwa nie jest taka, jaka być powinna, jest dość częste. My często nie doświadczamy modlitwy. Internauci proszą, aby im przysłać modlitwę na jakąś okoliczność. Tych modlitw jest dużo. Modlitwa jest traktowana jako takie czarodziejskie remedium na różne rzeczy i skuteczność jej zależy od urody rymów, jakie są tam zawarte. Wtedy ja zwykle mówię, że ona ma swoje znaczenie przygotowawcze. Ona ma skierować moje myśli do Tego, kto ma wysłuchać tej modlitwy, ale prawdziwa modlitwa jest intymnym spotkaniem z kochającym Ojcem. Jeśli nasze modlitwy nie są tym osobistym kontaktem, to przestają być modlitwą, przestają być rozmową z kochającym Ojcem. Dotyczy to także spowiedzi. Jeżeli ukazuje prawdę o nas, przynosi ukojenie.



Adam Pietrzak

Mój przyjaciel jest chirurgiem i też skarży się, że nie umie się modlić. Radzę mu, by opowiedział Jezusowi o operacji, jaka go czeka, o strachu, który przeżywa i prosił Boga, żeby był z nim i pokierował jego ręką. Wtedy dozna uspokojenia. Jest takie wezwanie, które wzywa Boga, by nam pomógł „Wspomożenie nasze w imieniu Pana”.

Izabela Dzieduszycka

Każdy z nas obraca się w różnych środowiskach. Kiedy przebywamy w środowisku ludzi nam życzliwych, wśród których się dobrze czujemy, nasze troski są mniej bolesne. Wiedząc o tym, powinniśmy się starać o tworzenie takiej dobrej i życzliwej atmosfery. Jest to też jedna z dróg pocieszenia.

Maciej Murkowski

Pozwolę sobie na kilka słów. Jestem lekarzem. Służba zdrowia powinna być przede wszystkim tą instytucją, która poprzez leczenie i opiekę jednocześnie pociesza. Czy jesteśmy jednak do tego przygotowani? Obecne nasze główne problemy to starzenie się społeczeństwa. Nie mamy w kraju adekwatnej do potrzeb polityki zdrowotnej i socjalnej, ukierunkowanej na tę grupę społeczeństwa.

Podobnie nie jesteśmy przygotowani do ogromnego wzrostu zachorowań w obszarze tzw. małej psychiatrii (nerwice, depresje, wszelkie zaburzenia osobowości) – też sobie z tym nie radzimy.

Jeszcze do niedawna nie było u nas medycyny paliatywnej. Nie było hospicjów. Nikt się takimi chorymi nie zajmował. Oni w szpitalach przeszkadzali. Lekarze zajmowali się głównie tymi pacjentami, których było można jeszcze uratować. A właśnie ci chorzy przede wszystkim potrzebują pocieszenia, duchowego wsparcia.

Jeszcze jeden aspekt. My w opiece zdrowotnej odeszliśmy od humanizmu. Kiedyś lekarz to był jak przyjaciel domu i opiekun całej rodziny. Taki był mój ojciec, przedwojenny lekarz domowy. Myśmy to posłannictwo gdzieś zagubili. W tej chwili podstawowa opieka zdrowotna jest niedoceniana. Równocześnie dożyliśmy czasów, kiedy wiele miesięcy trzeba czekać na konsultacje specjalistyczne. W szpitalach też (w szczególności na internie – starzejące się społeczeństwo) brakuje miejsc.



Maciej Murkowski (z mikrofonem) i paneliści: ks. Adam Zelga, Maciej Syka i ks. Jan Sikorski

W przesłanych cytatach był piękny tekst „jak mamy Boga, to mamy wszystko, jak mamy wiarę, to nic nam się nie stanie”. Kto wierzy w Boga, jest silniejszy niż ten, który nie wierzy. To prawda.

Od pięćdziesięciu lat jestem lekarzem i pamiętam dobrze szpitale z czasów komuny. Nie śniło się wtedy o jakiegokolwiek kaplicy i posłudze duszpasterskiej dla chorych. Jak to dobrze, że w szpitalach są obecnie kaplice i duszpasterze niosący chorym ludziom pocieszenie. Nie zwalnia to jednak pracowników opieki zdrowotnej od misji „niesienia pocieszenia i nadziei dla chorych”. Pan Bóg nas we wszystkim nie zastąpi!

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiążę do tego, co mówił mój przedmówca. Chodzimy do Medycyny Rodzinnej na Rakowcu do bardzo sympatycznej młodej lekarki. Jest osobą, która zawsze ma czas dla pacjentów. Dla czekających jest to pewne utrudnienie, bo się długo czeka, ale wejście do niej i moment kontaktu z nią jest ogromnie wartościowy, bo ona interesuje się całym człowiekiem. Dlatego dużo ludzi czeka i wszyscy garną się do niej. To jest lekarz z powołania. Jest to coś, czego możemy życzyć młodym ludziom wybierającym medycynę – żeby

szli na nią nie dla pieniędzy czy kariery, ale z powołania. Wydaje mi się, że zbyt mało mówimy o takich ludziach, którzy są wspaniali w swoim zawodzie. Wolimy narzekać, niż chwalić tych, którzy są oddani swojej pracy.

Ewa Styczyńska-Jurewicz

Chcę krótko streścić pewien obszerniejszy temat, który zatytułowałam „Moje życie z marginesem”. Otóż kiedyś spotkałam nieznanego pijaka leżącego na ulicy w straszną, mroźną pogodę. Od próby pomocy jemu zaczęło się moje zainteresowanie problemem alkoholizmu. Od 10 lat mam kontakt z kilku alkoholikami. Ci moi „podopieczni” zgłaszają się najpierw jako bezrobotni, więc próbuję im pomóc. Zlecam np. skopanie ogródka albo jakieś inne prace w domu, żeby dać człowiekowi jakieś zajęcie. Oni to chętnie



Ewa Styczyńska-Jurewicz

przyjmują, ale użytek robią z tego własny. Wiele lat byłam naiwna, bo moje pieniądze szły na to, żeby pogłębić ich nałóg. Teraz wiem, że trzeba umieć pomagać. Tacy ludzie potrafią konfabulować, nie wolno nam się na to nabrać, bo będą się staczali coraz bardziej i mogą naprawdę zginąć. Spotkanie z „marginesem” to jest prawdziwe poznanie słabości natury ludzkiej...

Jacek Kuroń był człowiekiem bardzo wrażliwym społecznie. Koniecznie chciał wszystkim potrzebującym pomagać. Przyjaźnił się z księdzem Janem Zięją i bolał nad tym, że sam nie ma wiary, a więc nie ma pomocy od Boga.

Ksiądz Jan mu odpowiedział: „Jeżeli masz miłość, to masz Boga”. W tych słowach zawarte jest przesłanie dla nas wszystkich. Jeżeli robimy coś dla innych, to mimo że czasem popełniamy błędy, to jednak musimy to robić, musimy dzielić się doświadczeniem, jak tej pomocy udzielać i musimy być przygotowani na rozczarowania, bo nie wszyst-

ko się udaje. Mogę nawet powiedzieć, że (może na pozór?) wiele rzeczy raczej się nie udaje, niż udaje, nawet jeżeli mamy czystą intencję, żeby pomóc, ale brak nam wiedzy, brak rozeznania sytuacji drugiego człowieka. Słuchanie innych jest bardzo ważne, ale jak postąpić wobec człowieka, który konfabuluje, i okazuje się, że wszystko, co opowiadał, to nieprawda. Jednak wniosek z moich doświadczeń jest taki – nawet jeżeli nieumiejętnie pomagamy człowiekowi z marginesu, to trzeba mu pomóc, żeby nie zginął w tej nędznej sytuacji, w jakiej się znalazł, sytuacji poniżej swojej godności, a resztę... zostawić Panu Bogu.

Druga ważna rada – trzeba wyznaczyć granice, do którego miejsca ja ci pomagam, a dalej ty musisz zrobić coś z tym problemem sam. Masz chodzić na mityngi AA czy w jakieś inne miejsce, gdzie otrzymasz gruntowną pomoc, do poradni lekarskiej czy na spotkania grupy modlitewnej. Dobrze jest podać konkretne adresy, a także tytuły książek do przeczytania (jeżeli chce czytać). Optymistycznym akcentem w postępowaniu z takimi „trudnymi” ludźmi jest fakt, że miłością **zawsze** możemy się podzielić. Miłości nigdy nie ubywa – tylko przybywa.

Dorota Grudzińska

Jestem psychoterapeutą i członkiem Stowarzyszenia Psychologów Chrześcijańskich. Chciałam zwrócić uwagę na rozróżnienie pewnych pojęć. Pojęcie strapienia i przeciwstawne – pocieszenia dotyczy strapienia duchowego. Czym innym jest natomiast depresja jako choroba, w czasie której doświadczamy smutku, cierpienia i bólu.

Ks. Adam Zelga

Zakończę konkluzją, że w każdym rodzaju strapienia pociechą jest ktoś drugi. Nigdy nie wiadomo, kiedy moja obecność przy drugim człowieku jest wypełnieniem przykazania „strapionych pocieszać”. W moich kontaktach z ludźmi, duszpasterstwie, rozmowach bardzo często mam poczucie, że wystarczy czasem nieobojętność, a już dzieją się cuda. Na zakończenie należałoby przytoczyć kluczowe dla antropologii chrześcijańskiej zdanie św. Pawła: „nikt z nas nie żyje dla siebie. Jeżeli żyjemy, żyjemy dla Boga”.

Z nagrania spisał Marcin Borzęcki



Dorota Grudzińska



Słuchacze

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Strapionym potrzebna jest nadzieja

– Nie odchodź jeszcze, czy masz dzisiaj więcej czasu? – pyta Madzia podczas jednej z naszych cotygodniowych wizyt. Zależy mi bardzo, żebyś trochę dłużej została. Mówi powoli, jakby starannie dobierała słowa.

– Oczywiście, że mogę zostać tak długo, jak tylko będziesz chciała – zapewniam ją, a w myśli dodaję, że dobrze, że mąż zawsze wozi w samochodzie książkę do czytania. Zostawia nas zwykle po krótkim powitaniu, abyśmy sobie mogły obydwie swobodnie porozmawiać – chyba że jest potrzebny, by jej w czymś pomóc, podtrzymać ją lub zabrać na przejażdżkę.

– Wiesz – mówi – chciałabym, żebyśmy odmówiły różaniec. Obydwie razem. Będziemy mówić na zmianę, pół ty i pół ja.

Oczywiście, przytakuję z niedowierzaniem. Czy ona rzeczywiście będzie w stanie sama recytować „zdrowaśki”? Jakby czytała moje myśli – nie pomagaj mi, nawet jak się zatnę. Ja muszę sama.

Zaczynamy, nie omijając niczego. Znak krzyża, Skład Apostolski, powoli, 3 razy Zdrowaś Mario (dodając: który w nas wiarę pomnaża, nadzieję utwierdza, miłość rozpala). A potem tajemnice: Radosne, Światła, Bolesne... Wskazówka już trzeci raz obiega tarczę zawieszoną na ścianie zegara...

... Nie, Chwalebnej teraz mówić nie będziemy – odmówię później, mówi Madzia. Wiesz, poprosiłam cię, bo tak bardzo chciałam, żeby jak tylko już będę mogła, odmówić z tobą te tajemnice różańca. Pamiętasz, to już niedługo będzie rok ...

Ona mnie pyta, czy pamiętam. Tego się nie da zapomnieć. Początek grudnia. Letnie sobotnie popołudnie... i ten telefon. Nieznajomy głos:

– W jej notesiku znalazłem pani numer. Magdalena miała wylew. Pogotowie zabrało ją do szpitala w Liverpool. Jest nieprzytomna.

– Dziękuję. Dziękuję panu bardzo. Zaraz tam jedziemy.

Godzinna jazda do szpitala dłużyła się niesamowicie. Wskazano nam drogę do pokoju reanimacyjnego. Leżała z zamkniętymi oczyma, podłączona rurkami i przewodami do skomplikowanej aparatury wypełniającej większą część izolatki. Wezwana lekarka neurolog długo tłumaczyła zasięg wylewu. Jedno było jasne – Magdalena nigdy nie będzie mogła prowadzić normalnego życia. Najważniejsze są pierwsze 24 godziny... Więcej będziemy wiedzieć jutro.

W nocy przyszedł drugi wylew. Lekarze odebrali resztki nadziei. Jeśli przeżyje, będzie żyła jak roślinka.

Jak to, ona już nigdy nie stanie na nogi, nic nie powie? To znaczy, że nie ma nadziei?

Nie, medycyna nadziei nie daje, ale niektórym zdarzają się cuda...

Przeniesiono ją do czteroosobowej sali. Łóżko ustawiono przy oknie. Miała doskonałą opiekę. Odwiedzaliśmy ją codziennie. Żadnych zmian. Czasami otwierała oczy, z którymi nie było jednak kontaktu. Czy nas widzi? Czy poznaje? – Któż to może wiedzieć?

W niedzielę po południu przyszedliśmy znowu. Rozpoczął się drugi tydzień jej pobytu w szpitalu. Madziu! Jest niedziela. W południe byliśmy w kościele. Wiele osób pytało o ciebie (żadnej reakcji). Wyjęłam z torebki różaniec. Wiesz, różaniec jest dla tych, którzy nie mogą w niedzielę uczestniczyć we Mszy świętej. Ja wiem, że nie możesz mówić. Mów ze mną w myśli. Chwyciłam ją za lewą rękę (prawą miała kompletnie bezwładną). Rozpoczęłam półgłosem recytować wszystkie po kolei tajemnice. Gdy skończyłam Radosne – nie było reakcji. Zaschło mi w gardle. Z trudem hamowałam łzy. Po skończeniu tajemnic Światła zapytałam, czy chce, aby mówić dalej – wydawało mi się, że mnie lekko ścisnęła za rękę. Oczy miała zamknięte, ale po jej policzku stoczyła się łza... Zrozumiałam, że tak. Mówiłam więc dalej, powoli, wyraźnie wypowiadając każde słowo modlitwy. Za oknem nad dachami domów kołysały się pióropusze palm, widoczne na tle zachodzącego słońca. Kiedy skończyłam tajemnice Bolesne, było już prawie ciemno. Czy chcesz, żeby mówić dalej? zapytałam. Chyba mi się nie przywidziało, ale leciutko poruszyła głową, że nie. Wiedziałam, że jest zmęczona. Wypuściła moją rękę. Usnęła...

...Ja was wtedy widziałam, jak staliście koło mojego łóżka. Słyszałam, że coś mówicie, ale nie mogłam rozróżnić żadnego słowa. Do moich uszu docierały tylko dźwięki, ale one nie miały żadnego znaczenia, żadnego sensu. Pamiętam, jak raz przyszedł i pokazał mi takie coś, co miał w ręce. Widziałam to już gdzieś, ale absolutnie nie kojarzyłam sobie, co to jest i po co. Potem zaczął mówić. Nie rozumiałam co, ale dochodził do mnie przyjemny, kojący głos. Zamknęłam oczy. Po dłuższej chwili wydało mi się, że z tej jednostajności dociera do mnie coś znajomego. Przecież ja to już gdzieś słyszałam. Skądś to znam. Wyteżyłam wszystkie zmysły. Gdzie? Co to jest? Co ona mówi? Otworzyłam oczy. Słońce już zachodziło. Za oknem widać było palmę, a ty siedziałś przy moim łóżku na krześle. Trzymałaś mnie za rękę. W drugiej swojej ręce trzymałaś ... tak, różaniec. To był różaniec. Ty odmawiałaś różaniec. Coś jakby się przedarło przez mgłę, w jaką był spowity mój mózg. Wyraźnie słyszałam „... twojego Jezus, który się za nas krwią pocił...” Nie chciałam uronić żadnego słowa. Bałam się, że jak przestanę rozumieć, co mówisz, popadnę znowu w tę mgłę, która mnie izoluje od wszystkiego. Leżałam więc z napiętą uwagą i bałam się, że możesz skończyć i wszystko wróci do tego, jak było. Ty na szczęście mówiłaś dalej. To był dla mnie przeogromny wysiłek. Ale wiedziałam, że słyszę i że rozumiem, co mówisz. Nie miałam już siły. Chciałam ci dać znać, że na dzisiaj wystarczy. Miałam nadzieję, że kiedyś razem powtórzymy te tajemnice różańca, które pomogły mi wrócić do świata żywych.

Możesz już iść, bo robi się późno. Ja odmówię jeszcze tajemnice Chwalebne. Ale nie sama. Podniosła się z fotela i oburącz chwyciła za ramę balkonika. Pójdę do Zosi. Ona nie wstaje z łóżka. Potrzebuje, żeby ktoś z nią był.

Kiedy odprowadzała mnie do drzwi, powiedziałam jej, że pani leżąca wówczas w szpitalu na sąsiednim łóżku zapytała raz, z jakiego jestem zakonu („sister” – po angielsku podobnie jak po polsku „siostra” to może być zakonnica, pielęgniarka lub siostra biologiczna). Domyślała się, że mówię różaniec, chociaż nie rozumiała słów. Powiedziała, że mówiła razem ze mną, po angielsku. Roześmiała się serdecznie, kiedy jej odpowiedziałam, że mój zakon to mąż, czworo dzieci i półtora etatu pracy w dwu szkołach.

Beata Rafalik (Warszawa)

„Nigdy nie jest tak, żeby człowiek czyniąc dobrze drugim, tylko sam był dobroczyńcą. Jest również obdarowany tym, co ten drugi przyjmuje z miłością”. Jan Paweł II (Karol Wojtyła)

Pocieszenie za pocieszenie

Czy człowiek umierający, w obliczu śmierci może nieść pocieszenie? Logika podpowiada, że nie. A jednak tak, jeżeli taki jest zamiar Boga. Dzisiaj, 18 lutego jest druga rocznica śmierci mojej Mamy, Blanki. Jej ostatnie godziny życia przyniosły pocieszenie. Moja Mama w ostatnim czasie bardzo cierpiała. Choroba niedokrwienne spowodowała powolne zamykanie się naczyń. Amputowano kolejno obie nogi. Potem już w domu zatrzymało się krążenie w obydwu dłoniach, skutkując częściową martwicą tkanek, bolesnymi zabiegami i uschnięciem zmienionych chorobowo części rąk. Mama ogromnie cierpiała. Była osobą silnej i żywej wiary, skąd czerpała siły do znoszenia cierpienia. Zawsze pogodna, nigdy nie uskarżała się na swój stan zdrowia. Przez cały czas choroby opiekowałam się nią, choć nie obyło się bez upadków. Byłyśmy nieustannie razem, najpierw w szpitalu, a potem w domu, ponieważ zdecydowałam, że moja Mama odejdzie w domu, wśród rodziny. Jednakże tego ostatniego dnia jej życia nie rozpoznałam czasu jej odchodzenia, choć miałam świadomość, że wkrótce się rozstaniemy. Kilka dni wcześniej ustaliłam z synową, że 18 lutego zaopiekuję się rocznym wnuczkiem. Zostawiłam Mamę na półtorej godziny z zaprzyjaźnioną Olą. Mama leżała pod kroplówką, a Ola odmawiała różaniec i pocieszała ją dobrym słowem. Ja tymczasem nieświadoma, że Mama umiera, spacerowałam w parku z malutkim Jankiem. Wróciłam do domu przed godziną 15.00, a Ola poszła do pracy. Miłosierny Bóg sprawił, że byłam z Jasiem przy jej śmierci i trzymałam ją za rękę, bo miałam w tym czasie kłaść dziecko spać. Długo nękały mnie wyrzuty sumienia i nie mogłam sobie wybaczyć, że odeszłam od łóżka umierającej Matki i zostawiłam ją na trzy godziny przed śmiercią z obcą osobą. Dopiero po wyznaniu Oli, co przyniosły te chwile trwania przy mojej Mamie, zrozumiałam, że był to plan Boży. Ola wcześniej wielokrotnie wspierała nas słowem i modlitwą i pocieszała w trudnych

chwilach choroby Mamy. Ola odczytała, że to był czas dla niej od Boga dany i dziękowała mi, że mogła spędzić te półtorej godziny przy mojej Mamie. Dotąd bowiem bardzo bała się śmierci i czasu umierania. Sama myśl o śmierci rodziła u niej niepokój. Towarzysząc mojej Mamie swoją obecnością, modlitwą i dobrym słowem sama doznała pocieszenia. Ola powiedziała, że czas spędzony z Mamą zaowocował ufnym spojrzeniem na śmierć. Została uwolniona z lęku przed umieraniem. Odtąd nie boi się, jak się to stanie i co ją czeka.

„Gdy cierpię, przyslij mi kogoś, kto potrzebuje pociechy”. Czy można zatem pocieszać, nie mając tego świadomości? Pocieszać, czyli dodawać otuchy, koić lęk, napawać nadzieją, podtrzymywać na duchu. Spokojne, z Bogiem odchodzenie mojej Mamy jest tego świadectwem. Dodało Oli otuchy, napełniło nadzieją na dobrą śmierć nawet wbrew rokowaniom lekarskim, ukoilo jej lęk przed umieraniem. Wierzmy obie z Olą, że to był czas łaski i wyraźne działanie kochającego Ojca, Pocieszyciela za wstawiennictwem Matki Bożej Pani i Królowej Karmelu. Bo pocieszenie to Duch Boży, który przychodzi z darem.

Przez cały czas ostatniej choroby Mamy byłam osobą pocieszaną, bowiem na śmierć Matki przygotować się nie sposób. Pan Bóg posyłał ludzi, którzy nieśli pocieszenie przez konkretną pomoc potrzebną w danej chwili. Mama odeszła w domu, tak jak zawsze pragnęła. Zawdzięczam to Bogu, który w decydującym momencie postawił przy mnie księdza Jacka Wardęskiego, Kapelana szpitala przy ulicy Banacha. Jego jedno rozsądne zdanie zdecydowało, że zawierając Bogu i Matce Bożej zabrałam Matkę do domu, wbrew opinii lekarzy i bliskich, nawet kompetentnych osób, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Księdza Jacka pomoc w najtrudniejszych momentach choroby mojej Mamy i o każdym czasie była bezcenna. Wszelkie rokowania lekarskie dotyczące momentu śmierci w takim schorzeniu nie sprawdziły się. Zwyciężyła jak zawsze Opatrzność i Miłosierdzie Boga. A człowiek umierający także do ostatniego oddechu i uderzenia serca może być narzędziem w ręku Boga i – widać – spełnia zadanie tylko jemu powierzone. Zatem każde życie do ostatniego momentu jest bezcenne i potrzebne, bo służy ludziom.



*Wierność w małżeństwie
– jak ją rozumiem?*



Cytaty

Ks. Paweł Siedlanowski, *Dlaczego zgodnie z wiarą katolicką mieszkanie przed ślubem pod jednym dachem jest grzechem?*

W Księdze Rodzaju znajdujemy zdanie: „Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swoją żoną tak ściśle, że stają się oboje jednym ciałem” (Rdz 2,24). Ważne podkreślenie: łączy się z żoną! Jest to więc tak silna, że zaistniała w ten sposób jedność staje się nierozzerwalna. I tylko w takim kontekście może ona zaistnieć – w żadnym innym. Taki jest zamysł Boży. Ktoś powie: „No dobrze, ale tu chodzi o więź fizyczną – a my przecież nie współżyjemy”. Teoretycznie sam fakt wspólnego zamieszkania nie jest grzechem. Pozostaje jednak kilka „ale”: czy nie jest to wydawanie się na pokuszenie (w myśl powiedzenia „krew nie woda”)? Co z intymnością? Przecież będziecie paradować przed sobą w pizamach, ręcznikach etc? Wreszcie kwestia zgorszenia: inni nie muszą wiedzieć, że nie śpicie razem – dla nich jednak będziecie parą, która żyje ze sobą jak mąż i żona. Pomyślą: skoro wam wolno, to im też... I tak będziecie odpowiedzialni za tzw. grzech cudzy.

Młodzi często argumentują, że tylko w ten sposób mogą się najlepiej poznać...

To mit. Sfera seksualna to tylko jakaś drobna część ludzkiej natury. Znajomość „topografii” ciała, własnych zachowań, przyzwyczajzeń nie gwarantuje pełnego poznania, nie jest receptą na szczęście. Najważniejsza staje się wspólnota ducha. A do jej zaistnienia nie jest konieczne wspólne zamieszkanie przed ślubem.

Modę na wspólne mieszkanie par bez ślubu łatwo daje się zauważyć wśród studentów. Młodzi ludzie jako powody wymieniają często: „bo się kochamy i myślimy o ślubie, a mieszkać razem jest wygodniej i taniej”. Deklarują, że czują się związani z Kościołem. Przyjmują

księdza z kołędą, chodzą na Mszę św. Czy jednak nie jest to życie w „duchowej schizofrenii”?

Często młodzi ludzie mówią: „miłość usprawiedliwia wszystko”. Dlatego w jej imię wszystko nam wolno: możemy mieszkać razem, spać w jednym łóżku, kochać się. Czy aby na pewno? Wyobraźmy sobie inną sytuację. Po 15 latach małżeństwa przychodzi żona do męża i mówi: „Słuchaj, zakochałam się w innym mężczyźnie. Z naszym małżeństwem koniec. Rozwodzimy się.

– No, ale jak to? A co z dziećmi, co ze wspólnym kredytem?...

– Trudno. Tak musi być. Nie wyobrażam sobie życia bez niego. Miłość usprawiedliwia wszystko...”.

Miłość to nie subiektywne przekonanie, przelotne uczucie. W jej strukturze zapisany jest wewnętrzny ład, wyrzeczenie, bywa, że i cierpienie. Takiej miłości uczy Kościół, stawia ją w centrum życia chrześcijańskiego – tak kochał Jezus. Każda inna miłość to marna podróbka. Mieszanie w nią Pana Boga staje się nieporozumieniem. Nawet jeśli pozory zostają zachowane, wewnętrzna niespójność deklaracji i postawy życiowej sprawia, że na tak skonstruowanym fundamencie niczego nie da się zbudować. Runie przy pierwszej lepszej okazji. Zwykle usprawiedliwieniem będzie kolejna „miłość”.

Zbigniew Kaliszuk, *Wierność jest sexy!* (fragmenty)

W dzisiejszym świecie istnieje duże przyzwolenie na niewierność. Kolorowe czasopisma i serwisy plotkarskie co chwila donoszą o tym, że ten czy inny celebryta ożenił się po raz trzeci; porzucił żonę dla kochanki, z którą ma dziecko; spotyka się z dwudziestą partnerką w przeciągu dwóch lat. Konfiguracje są najróżniejsze. Takie informacje nie są jednak przedstawiane jako coś gorszego, ale coś ekscytującego, tak jak to było choćby w przypadku głośnego romansu Kazimierza Marcinkiewicza z Isabel, dla której porzucił swoją żonę i dzieci. Seks bez zobowiązań, częste zmienianie partnerów i nie przywiązywanie się do nich oraz szerzej brak szacunku dla drugiej osoby są promowane także w różnych filmach, serialach telewizyjnych, programach rozrywkowych – ogólnie przez znaczną część świata kultury i mediów. Bardzo popular-

ne są firmowe wyjazdy integracyjne, na które nie są zapraszani współmałżonkowie pracowników, co może nie jest wprost zachętą do zdrady, ale wpisuje się w pewien stosunek do małżeństw, które rzadko kiedy są traktowane jako jedność.

Wśród mężczyzn modne jest chwalenie się kolejnymi podbojami, jakby to był powód do dumy. Ten model życia, to „marzenie niejednego faceta” może nam dać krótkotrwałą przyjemność. Z całą pewnością nie da nam jednak długotrwałego szczęścia, które można zbudować tylko w oparciu o relację opartą na wzajemnym szacunku. Co więcej, te chwile przyjemności kosztują ludzi z reguły poranieniem, cierpieniem, ciągłym niezaspokojeniem, brakiem poczucia głębszego sensu życia. Niewiernej osobie, która nie kocha, ciężko będzie też samemu doświadczyć miłości, bycia przez kogoś bezinteresownie kochanym, wspieranym w każdej sytuacji, niezależnie od tego, jak ułoży się życie.

Wierność jednej osobie wydaje się nudna, ale może być ona fascynującą przygodą. Znany kabareciarz, Szymon Majewski oddał kiedyś jej sedno słowami: „Wierność jest sexy. Najfajniejszym afrodyzjakiem jest wierność. Im dłużej płyną lata, im dłużej jesteśmy ze sobą, tym okazuje się, że to wcale nie jest nudne. To wkręca.”. Budowanie związku z jedną osobą może być znacznie ambitniejszym, ciekawszym wyzwaniem niż przelotny romans z nieznajomą. Po 15 latach małżeństwa z pewnością trzeba się trochę napracować, aby zaskoczyć czymś ukochaną osobę. To jest dopiero zadanie dla prawdziwych mężczyzn! Zarazem im dłużej się jest ze sobą tym można zbudować mocniejszą więź i czerpać z niej większą radość.

Rozważając temat niewierności, musimy pamiętać o tym, że nie jest nią tylko seksualna zdrada współmałżonka, ale też flirtowanie z innymi osobami, „nieprzyzwoite” rozmowy z kolegami o różnych kobietach, sięganie po pornografię i wiele innych podobnych postaw.

KONWERSATORIUM LIV

(17 marca 2012)

Wierność w małżeństwie – jak ją rozumiem?

Prowadzący: ks. Piotr Hartkiewicz; Karol i Katarzyna Wyszyńscy (właściciel firmy Public Relations i studentka medycyny), Dominika Figurska i Michał Chorościński (aktorzy), Anna i Krzysztof Łoskotowie (odpowiedzialni za ruch rekolekcyjny dla małżeństw i narzeczonych „Małżeńskie Drogi”).

Ks. Piotr Hartkiewicz

Szczęść Boże. Bardzo serdecznie wszystkich witam na 54. Konwersatorium. Jego tematem jest: „Wierność w małżeństwie – jak ją



Paneliści: od lewej ks. Piotr Hartkiewicz, Dominika Figurska, Michał Chorościński, Anna i Krzysztof Łoskotowie, oraz Katarzyna i Karol Wyszyńscy z córeczką Zosią

rozumiem?”. Szczerze powiedziawszy, to swoją rolę tutaj widzę głównie jako słuchacza. Z zainteresowaniem posłucham państwa świadectw i ewentualnie, gdy trzeba będzie odwołać się do nauki Kościoła, to służę swoją wiedzą, jak również doświadczeniem wynikającym z towarzyszenia różnym małżeństwom w duszpasterstwie i terapii. Bardzo serdecznie witam na dzisiejszym spotkaniu naszych gości. Chciałbym, żeby państwo sami się przedstawili. Czym się państwo zajmujecie? Jaki jest państwa staż małżeński?

Karol Wyszyński

Jesteśmy małżeństwem od prawie półtora roku. A to jest nasza córeczka Zosia.

Dominika Figurska

Dziękujemy za zaproszenie. Jesteśmy małżeństwem od dziesięciu lat i również postaramy się podzielić swoimi doświadczeniami.

Krzysztof Łoskot

My jesteśmy małżeństwem od czterdziestu trzech lat. Naszymi doświadczeniami będziemy dzielić się na końcu, bo nie starczyłoby czasu dla innych. Siedzielibyśmy do zmroku.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Otwierając dyskusję, chciałbym podzielić się z Państwem informacją, którą kiedyś przeczytałem w naukowej prasie psychologicznej. Były robione badania wśród maturzystów na temat, jak oni rozumieją słowa „na zawsze”. Myślę, że są to kluczowe słowa do tematu, którym się dzisiaj zajmujemy. Ku zaskoczeniu prowadzącego badania okazało się, że tylko niewielki procent maturzystów słowa „na zawsze” rozumiało we właściwym znaczeniu, czyli „do końca”, jakkolwiek ten koniec byłby zdefiniowany. Natomiast większość młodych ludzi słowa „na zawsze” definiowało jako „długi okres”. Na pytanie „jak długi?” padały różne określenia – pięć lat, dziesięć lat. Wynika z tego, że te słowa „na zawsze” niekoniecznie dziś są rozumiane jako to, co w formule małżeńskiej jest ujęte jako „do śmierci” – „że cię nie opuszczę aż do śmierci”.

Pomyślmy, jak my to rozumiemy? Co dla mnie znaczy „być ze sobą na zawsze?” Czy przysięga małżeńska, którą w religii katolic-



Ks. Piotr Hartkiewicz (z mikrofonem)

kiej małżonkowie składają sobie w dniu ślubu, jest możliwa do zrealizowania? Od czego to zależy? Jak to jest przeżywane we współczesnym świecie? Mamy okazję popatrzeć na tę perspektywę życia małżeńskiego w różnych przedziałach czasowych: 2 lata, 10 lat i ponad 40 lat. Myślę więc, że to będą bardzo ciekawe punkty widzenia i że nie będą się wykluczać, a wręcz przeciwnie, będą się wzajemnie uzupełniać. Oddaję więc głos fachowcom, jeśli chodzi o życie w małżeństwie.

Karol Wyszyński

Jesteśmy najmłodszy stażem. Co to jest? (Mówiący pokazuje miecz; przyp. red.). Miecz. Do czego służy miecz? Do walki. Czym dla mnie jest wierność? Walką o miłość mojej żony; walką o jedność w naszym małżeństwie; walką, aby uczynić moją żonę najszczęśliwszą kobietą na świecie; walką, która rozpoczęła się przed naszym ślubem i która będzie trwała do końca naszego życia. Ten miecz dostałem od taty Kasi w dniu naszego ślubu jako symbol, że byłem rycerzem przed ślubem i abym był rycerzem po ślubie. Jest to dla mnie znak, bym tej wierności bronił i strzegł.



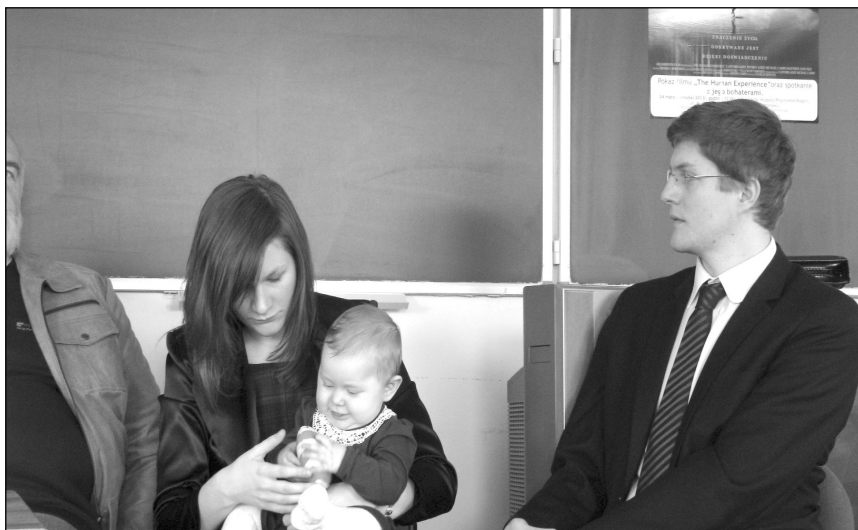
Karol Wyszyński (z mieczem)

Katarzyna Wyszyńska

Dla mnie wierność jest to świadoma decyzja, którą podjęliśmy i za którą postępujemy. Najpierw podejmuję decyzję, a potem się jej trzymam. To jest właśnie wierność.

Taką nadrzędną decyzją dla mnie było pójście za Panem Bogiem. W momencie, w którym się nawróciłam, podjęłam decyzję, że będę Go słuchać, że będę żyć według Jego przykazań, według tego, czego On chce dla mnie. I z tego wynika to, jaką jestem żoną, jaką jestem mamą, po prostu wszystko, co robię. Wierność w małżeństwie jest konsekwencją tej nadrzędnej wierności Bogu.

Mówiąc o wierności w małżeństwie, widzę ją szerszej niż brak zdrady męża. Dla mnie wierność to staranie się, aby uczynić mego męża szczęśliwym i aby nasze małżeństwo było szczęśliwe. Byśmy dbali o siebie. Staram się być dobrą żoną, staram się być dobrą mamą dla naszej córeczki i przyszłych dzieci, mam nadzieję. Dla mnie



Katarzyna Wyszyńska z Zosią, obok Karol Wyszyński

wierność mojemu mężowi jest czymś, co mogę wnieść w nasze małżeństwo. Jest to powiedzenie sobie „tak mogę”, „tak będę się starała”, „będę robiła wszystko, co w mojej mocy”.

Chciałabym jeszcze powiedzieć, że uważam, iż tak jak mężczyzna powinien dbać o skromność wzroku, tak kobieta powinna dbać o skromność myśli. Wydaje mi się, że kobiety mają tendencję do fantazjowania, czytając i przeżywając romanse, oglądając filmy. Uważam, że powinny zwracać uwagę, aby nie porównywać swojego męża z nikim innym. Nawet z postaciami literackimi, filmowymi czy nawet ze znajomymi.

Mój mąż ma dla mnie głos nadrzędny. Mam do niego zaufanie. Możemy się wcześniej spierać, ale trzymamy wspólny front. Jeśli on powie „róbmy to”, to tak robimy. Jesteśmy jedno, jesteśmy małżeństwem. Mnie dużo daje Sakrament. To jest nie naszą mocą. To jest wiara, że Bóg da nam siły i wytrwanie.

Karol Wyszyński

Podzielę się z państwem opinią, czym jest dla mnie wierność. Oprócz świadectwa naszego osobistego życia, staram się promować tę ideę. Ponad rok temu wspólnie z Przeznaczeni.pl i ze Stowarzyszeniem Soli Deo zaczęliśmy w internecie akcję pod hasłem

„Wierność jest sexy”. Zaczęło się od tego, że zobaczyliśmy plakat z filmu „Och, Karol 2”, gdzie Piotr Adamczyk ma pięć kochanek, a Natalia Kukulska śpiewa „Wierność jest nudna”. Stwierdziliśmy, że chcemy pokazać coś innego. Chcemy pokazać, że wierność jest ważna. I zaczerpnęliśmy cytaty z Szymona Majewskiego, który kiedyś powiedział właśnie, że „Wierność jest sexy”. Zaprosiliśmy też kilka osób znanych, lubianych, żeby podzieliły się swoim doświadczeniem. Portal spotkał się z dużym zainteresowaniem mediów (m.in. TVP INFO, w prasie katolickiej i na facebooku). Mam nadzieję, że akcja ta będzie się rozwijała.



Karol Wyszyński

Kończąc swoją wypowiedź, chciałbym przeczytać manifest, który napisałem przy okazji rozpoczęcia tej akcji. Portal wystartował w walentynki zeszłego roku.

„Czy mąż może być gwałtownikiem? Czy może? Mąż musi być gwałtownikiem! Ma być wierny swojej żonie, ma walczyć o nią każdego dnia, ma ją prowadzić do Boga. Ma sprawić, by była najszczęśliwszą kobietą na świecie. Po pierwsze kochać. Kochać, to dla mnie podjąć decyzję, że ja, Karol, będę z Tobą, Katarzyno, do końca, w każdej sytuacji, zawsze. Będę się starał prowadzić Cię do Boga i dam Ci się prowadzić, bo jesteśmy jedno. Kochać, to znaczy zaprowadzić do Boga, który pozwolił nam się spotkać, poznać i wybrać. To zaproszenie, by był w naszym małżeństwie, by otoczył je swoją opieką.

Po drugie, bądź wierny. Znowu cytaty, tym razem z Hioba. „Zawarłem z wami przymierze, by was przyprowadzić do Pana”. Dzisiaj nawet jadąc tramwajem każdego dnia, jesteśmy narażeni na pokusy. Trudne? Może nawet bardzo trudne. Nawet dla wojownika to nie jest łatwe, ale nie jest to niemożliwe. Chroń oczy i serce. Bądź wierny Twojej żonie i niech wie, że to ją kochasz i jej pragniesz.

Po trzecie, rozmawiaj. Czasem wystarczy mały gest, ale najważniejsza jest rozmowa. Kiedy ostatnio rozmawiałem z kobietą, którą kocham, o czymś innym niż o jakichś głupotach? Czy wiem, co ona teraz przeżywa? Jakie są jej radości i smutki? Nie wiesz? Po prostu ją zapytaj. Zaproś do kawiarni i powiedz: „kochanie, co teraz się dzieje w Twoim życiu? Jestem Twoim mężem, chcę wiedzieć”. W czasie takiej rozmowy bądź aktywnym słuchaczem, ale pamiętaj, że nie wystarczy tylko słuchać, trzeba działać. Ty musisz wiedzieć, z jakim przypadkiem masz do czynienia.

Po czwarte, bądź obecny. Pamiętaj, że poślubiłeś żonę, a nie pracę. Zawód może być twoją pasją, może być sposobem na utrzymanie twojej rodziny, ale nie możesz go stawiać wyżej od żony. Nic nie zastąpi twojej obecności. Jeśli zacząłeś się zastanawiać, czy nie pracujesz za dużo, obejrzyj film „Adwokat diabła”. Zobacz, co się dzieje, gdy mężczyzna stawia pracę wyżej od małżeństwa”.

Łukasz Sobieraj

Sytuacja sytuacji nie jest równa, zwłaszcza jeśli mówimy o pracy. Ja akurat jestem na etapie, kiedy razem ze współnikami zakładam firmę i mam świadomość

tego, że muszę pracować po piętnaście godzin dziennie. Z pracy wracam, jak już wszyscy idą spać.



Łukasz Sobieraj

na pracę, bo inaczej zwariujesz. Szybko się wypalisz. Mnie to przekonuje. Jeśli nie jestem w stanie zrobić czegoś przez 50 go-

Karol Wszyński

Ja zaczynam pracę o piątej rano, a kończę o piętnastej. Wracam do domu i jeszcze około pół godziny pracuję. Założyłem firmę w połowie czerwca. To jest wyczerpujące, ale jest możliwe. Jak napisał Leszek Czarnecki, autor książki „Biznes po prostu”, poświęć nie więcej niż 50 godzin w tygodniu

dzin, to oczywiście mogę pracować jeszcze następne 24 godziny. Pytanie, jak długo.

Powiem o doświadczeniu bardzo bliskiej mi osoby, która jest biznesmenem, a jego firma jest szacowana na 20 milionów złotych. Jest osobą kreatywną. Ma dorosłe dzieci, jest bogaty. Niestety, ma depresję. Nie ma kontaktu ze swoimi dziećmi. Jest dla nich obcy. Nie ma wspomnień z dzieciństwa dzieci. Przepracował swoje i ich najpiękniejsze lata.

Łukasz Sobieraj

Przedstawię sytuację. Zainwestowanych w firmę kilka tysięcy złotych. Produkt jest na rynku, ale nie rozwija się, nie mam środków na reklamę. Wybór nie jest łatwy. Mam tylko tę firmę. Jeśli właduję się w kredyty, to będę musiał pracować po piętnaście godzin, spłacając kredyty, albo pracować po osiem godzin i zostać z kredytami, a biznes się nie rozkręci.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Chciałbym, żebyśmy wysłuchali najpierw gości, a potem otworzymy naszą dyskusję dla wszystkich. Bo tak, to skończy się spotkanie, a zaproszeni goście nie zdążą się wypowiedzieć.

Michał Chorosiński

Tak jak Dominika powiedziała, jesteśmy małżeństwem od prawie jedenastu lat. Mamy trójkę dzieci, czwarte jest w tej chwili w drodze. Jest nam bardzo miło, że zostaliśmy zaproszeni do tak zacnego grona, żeby móc powiedzieć o swoich doświadczeniach. Przyznam, że jestem bardzo zdenerwowany. Przychodząc tutaj, miałem uczucia dość ambiwalentne. Chciałem przyjść, ale równocześnie bałem się rozdrapywania ran. Nasze małżeństwo miało pewne zakręty po kilku latach sielanki. Wszystko zaczynało się pięknie od wspaniałego wzajemnego zako-



Michał Chorosiński

chania. Byliśmy ze sobą trzy lata, zanim postanowiliśmy się pobrać. Układało się bardzo dobrze. Najpierw urodziła się pierwsza córka, później druga. Wtedy nastąpiła pewna stagnacja w naszym małżeństwie. Zacząłem skupiać się bardziej na własnych sprawach, na własnych problemach, własnych pasjach.

Dla mnie ważny był sport i teatr. Zacząłem zaniedbywać Dominikę. Stopniowo oddalaliśmy się coraz bardziej od siebie i w pewnym momencie stwierdziliśmy, że coraz mniej jest wspólnych tematów. Była dwójka malutkich dzieci, a my coraz częściej kłóciliśmy się. Doszło do takiej sytuacji, że rozstaliśmy się. Każdy próbował stworzyć nowy związek, mimo że pozostawaliśmy dalej małżeństwem. Ale nasze małżeństwo legło w ruinie. To była katastrofa. Dzieci na jakiś czas przychodziły do mnie, na jakiś czas do Dominiki. Wszystko skończyłoby się tak, jak się kończy większość tego typu przypadków, gdyby nie sakrament małżeństwa, który, wierzę w to bardzo mocno, uratował nasze małżeństwo. Sakrament i ludzie, którzy modlili się za nas. Mieliliśmy wielu przyjaciół, którzy byli osobami wierzącymi. Myślę, że to nas uratowało. W pewnym momencie przyszło otrzeźwienie i stwierdziliśmy, że rozbite gliniane naczynie, które zostało z naszego małżeństwa, trzeba jakoś ratować. Z dwóch przyczyn. Po pierwsze, że jest to sakrament, czyli jest to przysięga, którą złożyliśmy Panu Bogu, po drugie, że są dzieci, które zostały skrzywdzone tą sytuacją. To nie jest takie proste zlepianie tego glinianego dzbanka, ale jest to możliwe i z pomocą Pana Boga nam się udało i jesteśmy dalej małżeństwem, bardzo szczęśliwym. Później urodził się jeszcze Józio, teraz Dominika znowu jest w ciąży.

Gdy patrzę z perspektywy czasu na to wszystko, co się zdarzyło, to widzę, jak jest ważne, że przecież byliśmy ludźmi wierzącymi. Nasze małżeństwo zaczynało się pięknie, od zakochania, od wspólnej modlitwy, od tego, że chcemy Panu Bogu ofiarować nasze życie i nagle...

W życiu duchowym nie można stanąć ani się cofać, ponieważ wtedy coś się kończy. Miłość do Boga musi być podsycana w małżeństwie, gdy zaś zaczęliśmy się skupiać na przyziemnych, choć ważnych rzeczach, typu praca, nasze pasje, z przekonaniem, że każdy ma prawo do tego, zaczęliśmy tracić rzeczy, które są najważniejsze.

Zaznaczyłem sobie fragment z mojego ulubionego świętego Jose Marii Escrivy, który cytuje św. Augustyna: „Jeśli powiesz dość,

jesteś zgubiony. Staraj się zawsze iść do przodu. Nie stój w tym samym miejscu, nie cofaj się, nie zbaczaj z drogi”. To jest dla nas wielka nauczka. To paliwo musi być. Nie można zapominać, kto jest tutaj najważniejszy. Ja wierzę, że wierność powinna trwać aż do śmierci. To nie jest pięć, dziesięć lat. Śmierć to jest coś, co kończy tę relację. Nie mogę wymagać, by Dominika po mojej śmierci nie wchodziła w żaden inny związek. Ja sam wiem, że chyba bym nie wszedł, nie chciałbym. Dominika została mi dana przez Pana Boga. Miłość nie jest aktem woli. Nie można podjąć decyzji, że się człowiek zakocha. Natomiast sama miłość jest decyzją, jest odpowiedzialnością. Wierność jest konsekwencją miłości. To jest zgodne z tym, co powiedział św. Augustyn: „Jeśli Pan Bóg na pierwszym miejscu, to wszystko jest na swoim miejscu”, „kochaj i rób, co chcesz”, w tym znaczeniu. Bardzo przepraszam za chaotyczność, ale to z nerwów z powodu rozdrapania tej blizny, która boli, mimo że minęło już parę lat.

Jeszcze jedna ważna rzecz. Nie można zapomnieć, że jesteśmy bardzo słabi. Jeżeli o tym zapominamy i mamy poczucie, że Pan Bóg nie jest nam potrzebny, że dajemy sobie radę bez Niego, to jest to pierwszy krok do upadku. Jeżeli do niego dojdzie, trzeba mieć tego świadomość i zawierzyć swoje życie Panu Bogu.

Dominika Figurska

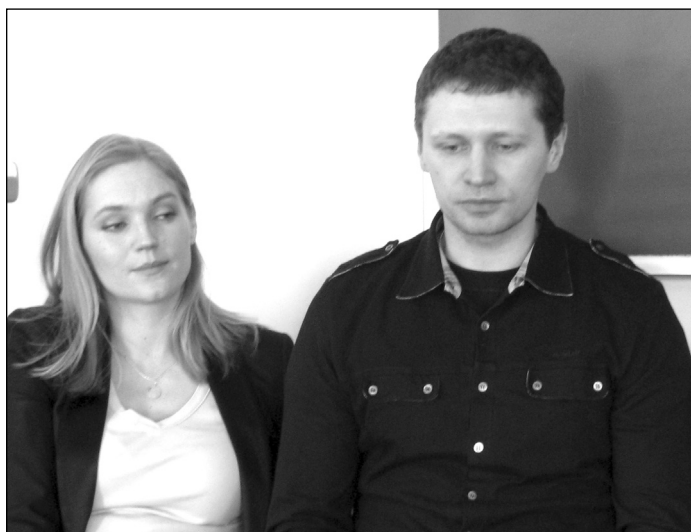
Zanim tu przyszłam, zastanawiałam się, po co ja tutaj przychodzę i czy w ogóle powinnam. Uznałam, że jest to mój obowiązek i splata długu. Muszę świadczyć, że dzięki Bogu nasze małżeństwo zostało uratowane. No i cóż, to chyba tyle.

Było tak, jak Michał mówił. Z przyjemnością słuchałam świadectwa młodego małżeństwa. Tak też było u nas. Było bardzo romantyczne. Potem przyszło życie codzienne. Jedno dziecko, drugie...



Dominika Figurska

Niewierność, zdrada jest często spowodowana jakimś długotrwałym kryzysem w małżeństwie i u nas rzeczywiście ten kryzys narastał. To nie było tak, że to się stało nagle, tylko to postępowało. Przy tych wszystkich ideałach te zwykłe rzeczy, pranie, sprzątanie, gotowanie wydawało się jakimś banałem, ale dokładnie z tego składało się nasze życie codzienne. I o te niby banały zaczęło rozbijać się nasze małżeństwo. Czułam się niedoceniana. Po prostu źle się u nas działo. Potem stało się jeszcze gorzej. Były próby związków z innymi osobami, które pewnie w naszym mniemaniu miały być idealne i inne od tego, w jakim trwaliśmy. Nic bardziej złudnego. Pewnie za moment doszlibyśmy do tego samego momentu, gdzie egoizm bierze górę i mur nie do przebiccia pojawiłby się znowu. A w kolejnym związku już nie ma co liczyć na pomoc z Góry, bo przestajemy żyć według dekalogu. Uświadomiłam sobie wtedy, że moje życie nie ma nic wspólnego z przysięgą, którą złożyłam, po drugie, że nie mogę przysiąc tego żadnej innej osobie. Jediną osobą jest mój mąż Michał. Zaczęła budzić się we mnie świadomość i rósł niepokój, że coś źle robię, że idę nie tą drogą, coś jest nie w porządku. Jednak Pan Bóg nie zostawia bez pomocy, kiedy się go prosi i nawet z wielkiego zła potrafi wyprowadzić dobro. W naszym przypadku miało to miejsce. Dzięki Panu Bogu i dzięki ludziom, którzy nam pomogli, wróciliśmy do siebie. Po tych doświadczeniach myślę, że nasze małżeństwo jest teraz dużo silniejsze.



Dominika Figurska i Michał Chorościński

Teraz też już wiem, tak jak Michał powiedział, że jestem słabym człowiekiem, nie mogę sobie ufać. Nie było to tak, że nagle odeszliśmy od Boga. Stawało się to stopniowo. Na jedną Mszę świętą nie poszliśmy, potem na drugą. Diabeł nie wyłącza światła, wykręca żarówkę jedną po drugiej, a my nie potrafimy tego dostrzec. Są różne pokusy, które zaczynają unieważniać te uczucia z pierwszych lat małżeństwa.

Michał Chorościński

Takie optymistyczne zdanie przyszło mi teraz na myśl. Jose Maria mówi, że te popękane naczynia są dużo piękniejsze, bo są używane, i że jak się je skleji, to widać na nich żyłki. Warto zawsze walczyć o małżeństwo, o rodzinę, to jest ogromna wartość.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Mieliśmy już świadectwo dwuletniego małżeństwa, zakochanego i pełnego entuzjazmu, mieliśmy świadectwo dziesięcioletniego małżeństwa po przejściach, aż się boję teraz słuchać tych czterdziestu trzech lat.

Krzysztof Łoskot

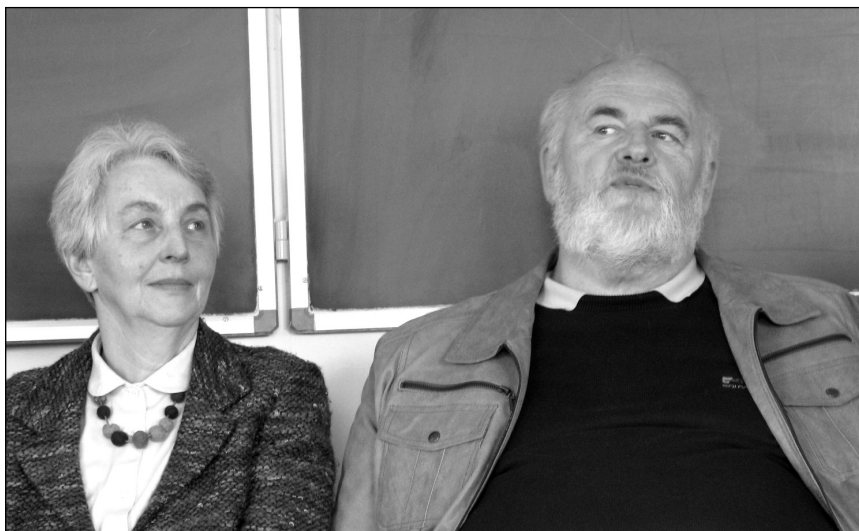
Pan Bóg nas uchował. Nasz pięcioletni staż przedmałżeński – powiem od razu, chociaż to niemożliwe – bez łóżka. My wychowywaliśmy się przez długie narzeczeństwo nawzajem. Przed ukończeniem studiów nie mieliśmy żadnych warunków ani mieszkania, by się pobrać. Czekaliśmy więc, aż coś się wydarzy i wtedy się pobierzemy. Człowiek ma chęć dostosowania się do drugiej osoby. Jeśli przez łóżko wchodzi się do małżeństwa, to jest to na tyle fascynujące, że usprawiedliwiamy nawet zauważone wady drugiej osoby. A tu rozsądek jest potrzebny. Jeśli, na przykład, narzeczony nie może zacząć dnia bez piwa, to nie jest to dobra wiadomość dla przyszłego małżeństwa. Nie można tego zastąpić seksem, tym, że jest dobry w łóżku.

Ja myślę, że wierność to jest coś, co Bóg zasiał w naszym sercu. Nie spotkałem młodych ludzi, którzy nie chcieliby wejść w małżeństwo i nie chcieliby mieć kogoś na trudne chwile w życiu, kiedy będą chorzy lub bezrobotni i ten ktoś wtedy ich nie zostawi. Obojętne, czy są wierzący czy niewierzący. Wszyscy tak chcą. Nie

wszyscy wierzą, że to jest możliwe. Nie wszyscy wierzą, że sami tak potrafią.

Ja na rozwody patrzę od drugiej strony. Owszem, to jest tragiczne, że ludzie się rozwodzą, ale jednak 71% się nie rozwodzi, a nie wszyscy są wierzący. Wierzę, że Bóg w nich to zasiał. Ja mam łatwiej. Mogę sobie powiedzieć: Chrystus nakazał dożgonne małżeństwo i ja będę tak robił, i chyba dobrze na tym wyjdę. Po latach mi się to potwierdza.

Wierność to jest stałość w miłości. Miłość to jest realizacja dobra drugiej osoby. Ja coś otrzymuję i coś chcę dać. Ale miłość uczuciową to możemy mieć ciągle do kogoś innego. Rano do żony, a koło południa do sekretarki, która jest przepiękna i ma takie kształty, że mnie do niej ciągnie, a za tydzień jestem na wyjeździe i tam jest jeszcze ktoś piękniejszy. Gdybym miał tylko miłość uczuciową, to bym był człowiekiem niestałym, do niczego się nienadającym. Trzeba mieć miłość taką, jaką można przyrzekać w ślubowaniu małżeńskim. W pracy, gdy kogoś awansowałem, to patrzyłem na jego sytuację rodzinną. Jeśli się awansuje kogoś na kierownika zespołu, to dobrze żeby miał żonę i dzieci. To jakaś gwarancja stabilności.



Krzysztof i Anna Łoskotowie

Wierność jako stałość w miłości jest niezwykle ważna, bo umożliwia budowę jedności małżeńskiej. Czytając katechizm, zauważamy, że małżeństwo ma dwa podstawowe równorzędne cele: rodzicielstwo i budowę jedności. O tym rodzicielstwie to jest sporo napisane, bo to widać. Są dzieci. Ale co to jest – tak praktycznie na co dzień – ta budowa jedności małżeńskiej, to już bardzo trudno znaleźć w literaturze. Nie można budować jedności bez wierności. A jedność jest niezbędna, po pierwsze, żeby wychować dzieci, bo każde z rodziców było kształtowane w innej rodzinie. Dopracowanie się wspólnych metod postępowania z dziećmi to niezbędna, ale trudna i niekończąca się lekcja budowy jedności małżeńskiej. Po drugie, jedność potrzebna jest małżonkom, nawet jak nie ma już dzieci. Bez wierności budowa jedności małżeńskiej jest niemożliwa.

W nauce Kościoła na pierwszym miejscu jest małżeństwo, a nie wierność pracy. Jeśli dla kogoś praca jest ważniejsza, to on będzie miał sukcesy w pracy, ale nie będzie miał sukcesów w małżeństwie. Ja się zgodzę, że można od czasu do czasu poświęcić czas na jakąś robotę, wyjazdy, szkolenia i małżeństwo powinno przetrwać takie rzeczy, ale zawsze trzeba się zastanowić, po co ja to robię? Czy dla małżeństwa? Czy mam coś ważniejszego od małżeństwa? Uważam, że małżeństwo należy do spraw ważniejszych od pracy zawodowej. Gdyby zawód był najważniejszy, to św. Piotr byłby szefem spółdzielni rybackiej i nigdy byśmy o nim nie usłyszeli.

Anna Łoskot

Pamiętam, jak trafną definicję wierności usłyszeliśmy od księdza, który błogosławił nasz związek. Ponieważ mieliśmy jego wypowiedź nagraną na taśmie, to potem mogliśmy ją sobie przesłuchać. Zacytuję, co powiedział do mnie: „Od dzisiejszego dnia nie jesteś dla siebie. Myśli, pragnienia i marzenia musisz uzgadniać w sercu swoim z potrzebami Twojego męża”. Uważam, że to jest fundament bycia wiernym. Początkowo, kiedy analizowałam te słowa, to wydawało mi się, że ograniczają one moją wolność. Mąż jest ważniejszy niż ja. Ja mam myśleć o jego potrzebach, nie o swoich. I budził się we mnie bunt. Potem przyszły mi jednak na myśl inne słowa „kochaj bliźniego swego jak siebie samego”, że wtedy ja będę go kochać, kiedy będę wiedziała, czego chcę od życia, kim jestem, będę miała poczucie własnej wartości. Wtedy mogę dać je-

mu coś wartościowego. To „uzgadnianie w sercu swoim” rozumiem jako słuchanie mojego sumienia, podejmowanie przeze mnie decyzji na podstawie rozeznania, co dla niego jest dobre. Czyli że ja, w swojej pełnej wolności, podejmę decyzję, że chcę przy każdej mojej czynności, przy każdej mojej myśli, przy każdym moim marzeniu mieć w świadomości pytanie, czy to będzie dobre dla mojego męża. Będę jemu wierna, jeżeli od rana do wieczora będę miała na uwadze, czy każdy mój czyn jest dobry dla niego. Wtedy go nie zdradzę. Jeżeli będę tak żyć, to będzie mi to przynosić satysfakcję i radość. Jest to trudne, gdy się kłócimy, gdy wydaje mi się, że mój mąż przesadził i był dla mnie niedobry. Wtedy przekroczenie prógu własnego urażonego „ja” jest trudne, ale to jest ten mały odprysk Pana Boga, że możemy siebie przekroczyć. My możemy nie budować na swojej rozpacz, tylko przekroczyć ten próg i zrobić coś dobrego.

Następną sprawą, którą poznaliśmy po latach, jest taka, że nasze małżeństwo jest nie tylko dla nas. My mamy być obrazem miłości Pana Boga do ludu wybranego. Ozeasz był wierny niewiernej żonie, którą powinien był ukamienować i oddalić, a bez końca ją kochał i tym dawał przykład, jak wierny jest Bóg swojemu ludowi. W związku z tym nasza wierność nie jest tylko dla nas. My mamy świadczyć o niej innym.

Krzysztof Łoskot

Myślę, że niezależnie od tego, czy jest się wierzącym czy nie, chciałoby się, żeby ten drugi był mi wierny. To brzmi trochę egoistycznie. Ale mnie to też dotyczy. Ja też mam być wierny. To sobie przysięgaliśmy. Wierność bierze się ze świadectwa. Młodzi często nie mają wzorców. Katolicy powinni starać się być takimi wzorcami, świadectwami. My nie możemy się rozejść, choćby z tego względu, że jesteśmy katolikami. Wiemy, że przetrwamy okresy kryzysu, trudu, bo wartość małżeństwa, jako sposobu na życie, jest wielka.

Lubię przyrównywać małżeństwo do prowadzenia samochodu. Jeżeli prowadzę samochód, mogę być spięty, zmęczony, mogę przeklinać, mogę ostro hamować, ale się nie nudzę. Dlatego strasznie się dziwię, że ktoś może się w małżeństwie nudzić. Według mnie nudzić się może tylko ktoś, kto nie „prowadzi” małżeństwa. Jest pasa-

żerem we własnym małżeństwie/samochodzie. Gdy droga rzuca nim na zakrętach, chętnie by wysiadł, czyli rozwiódł się. Nie można być pasażerem w małżeństwie, tylko kierowcą. Owszem, gdy jest dwóch kierowców, jest sztuką skrócić w odpowiednią stronę. Samochód naszych małżeństw ma dwie kierownice i trzeba uzgadniać, jak skrócić i w którą stronę. Jest to istota małżeństwa. Tak staramy się to traktować. To, że jesteśmy wkurzeni, czasem coś się nam nie uda, to nic, następnym razem będzie lepiej, ale to nigdy nie jest nudne. Czasem słyszę receptę, by małżonkowie starali się czymś nawzajem zaskakiwać. Czy prowadząc samochód, ktoś chce być zaskoczony? Na pewno nie, ale to się zdarza. Jadę powoli i na maksa uważam, ale wjeżdżam w dziurę, urywa mi się resor, jest wypadek na trasie. I w małżeństwie różne są przypadki. Nie ma małżeństwa genialnego, ale zawsze można starać się robić wszystko lepiej. Dlatego nie rozumiem, jak można nudzić się w małżeństwie.

Ks. Piotr Hartkiewicz

My często zmieniamy samochody na lepszy model.

Krzysztof Łoskot

Jest to rzeczywiście popularne w przypadku samochodu czy pracy. Niestety, czasem również w naszych związkach. Pracę można zmienić, żony nie należy, to jest kwestia wiary i nierozzerwalności sakramentu. Ślub cywilny, który nie zakłada dozgonności, dopuszcza zmianę małżeństwa, czyli samochodu. Ja się związałem z jedną firmą. Wierzę Chrystusowi, że tak jest najlepiej i z wiekiem mam coraz więcej argumentów, że tak rzeczywiście jest.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Jesteśmy 50 lat po ślubie. Myślę, że naszym małżeńskim sukcesem było to, że mimo że czasem kłótnie nasze były ostre, nigdy nie mieliśmy ani jednego „cichego dnia”. Jeśli człowiek na serio traktuje to, co mówi, i kiedy wieczorem odmawia Modlitwę Pańską i prosi Boga „odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy na-

szym winowajcom”, to nie może nie odpuścić swojemu winowajcy, którym jest małżonek. To było dla nas oczywiste.

Druga sprawa to traktowanie na serio przysięgi małżeńskiej. Jeżeli ją się tak traktuje, to w konflikty małżeńskie nie wchodzi się zbyt głęboko. Stale towarzyszy nam świadomość, że będziemy musieli się wycofać, przeprosić. W związku z tym ograniczam ostre wypowiedzi w stosunku do męża, bo musimy trwać w naszym małżeństwie. A ponadto nasze trwanie musi być miłe dla wszystkich. To jest nasze przesłanie, które dajemy naszym dzieciom. To jest nasz model na życie w małżeństwie. Gorąco go polecamy.

Zbigniew Witecki

Chciałbym się odnieść do dozgonności wierności małżeńskiej.

Kiedy czterdzieści lat temu ślubowałem małżeńską wierność



Zbigniew Witecki, obok Andrzej Dowgiałło

mojej żonie, przedstawiłem w modlitwie swoje obawy: „Panie Boże, znam siebie, ona jest moją pierwszą i jedyną kobietą, podjęliśmy współżycie po ślubie, ale ja nie jestem w stanie zagwarantować, że będę jej wierny do końca życia”. I dalej modliłem się tak: „Będę starał się unikać pokus, będę starał się dochować wierności swojej żonie, ale wtedy, gdy już sam nie będę kontrolował swoich myśli i re-

akcji, to upoważniam Ciebie, byś Ty zrobił coś, bym tej wierności dochował”. No i parę takich sytuacji było. Niezawinionych. Ale wtedy obrót sytuacji był taki, że do zdrady nigdy nie doszło. Chwała Panu, że On jest wierny i że mnie chronił. Bez Jego pomocy byłoby niemożliwe, żeby tę wierność zachować.

Karolina Lenikowska

Pan Krzysztof porównał życie w małżeństwie do prowadzenia samochodu. Ja bym porównała małżeństwo do ogrodu, który trzeba

pielegnować, bo podczas prowadzenia samochodu na długich trasach wkrada się zmęczenie, a tego w obu przypadkach trzeba unikać.

Krzysztof Łoskot

Małżeństwo można też przyrównać do domu, o który się dba, czyści, reperuje, podpira, wstawia zbite szyby w okna i drzwi. Ładnie ma wyglądać i ma być wygodny. Tak było w naszym małżeństwie, bo myśmy o nie dbali.

Ale może być i odwrotnie. Byłem w opuszczonych gospodarstwach PGR-owskich. Pracownicy dostawali mieszkanie, ale dbał o nie PGR, a nie oni sami. Kiedy PGR upadł, a szyby się zbiły, to gaciami zasłaniali okna, a chałupa wyglądała gorzej niż chlew. Mogła się zawalić. Nasze małżeństwa też tak mogą wyglądać. Potem się dziwimy, jak to mogło się stać.

Jeśli człowiek chodzi po wysokich górach, naraża życie dla pięknych widoków, nie ma prawa wejść w związek małżeński. Takie jest moje zdanie. Można być księdzem, można poświęcać się całkowicie różnym pasjom i zainteresowaniom, ale wtedy nie można być mężem. Jeżeli ryzykuję życie dla pięknych widoków i własnych przeżyć, to nie wolno mi narażać żony, że nie wrócę z wyprawy i ona zostanie wdową. To brak odpowiedzialności.



Od prawej Krzysztof i Anna Łoskotowie, Michał Chorościński i Dominika Figurska

Ks. Piotr Hartkiewicz

Obserwuję małżeństwa na różnych etapach ich życia. Towarzyszę narzeczonym, gdy przychodzą do kancelarii parafialnej z zamiarem podjęcia decyzji o ślubie, a potem na różnych etapach ich małżeńskiego życia. Zauważyłem taką prawidłowość: przed ślubem związek dwojga ludzi wydaje mi się o wiele intensywniejszy niż po ślubie. Widać to nawet w używanym słownictwie. Kiedy obserwuję zakochanych przed ślubem, to słyszę, że ilość czułych słówek na określenie siebie nawzajem jest nieporównywalnie większa niż potem. Narzeczony czy narzeczona przed ślubem to „muszka”, „żabcia”, „robaczek” i wiele innych. Po ślubie często te zwierzęta rosną i zamieniają się na „małpę”, „świnię”, „krowę”.

Drugą rzecz, którą zaobserwowałem, to taka, że przed ślubem ludzie są gotowi do niezwykłych poświęceń dla swojego narzeczonego czy narzeczonej. Przenieść góry, przepłynąć morze – nie stanowi problemu. Wtedy praca, kariera są nieważne. Biegnie się na spotkanie. Przed chwilą skończyła się randka, a on już do niej pisze sms: „gdzie jesteś, tak długo Cię nie widziałem”. Na tym etapie zakochania towarzyszy narzeczonym wiele romantyzmu. Po ślubie ci sami ludzie wpadają w pewien automatyzm, rutynę i często przestają o sobie zabiegać.

Pamiętam takie doświadczenie duszpasterskie. Jeden pan narzekał na kryzys w jego życiu małżeńskim, a ja mu zadałem pytanie: „a kiedy pan był ze swoją żoną na randce?”. „Przed ślubem, proszę księdza”. A byli dwadzieścia parę lat po ślubie. „I nigdy pan nie był na randce z żoną po ślubie?”. No i za pokutę zadałem mu, żeby poszedł z żoną na randkę. Później mi powiedział, że jeszcze nikt tak ciężkiej pokuty mu nie zadał.

Moim zdaniem, jest to obowiązek chodzić ze sobą na randki po ślubie. Na przykład, na łąkę z koszykiem pełnym różnych specjałów. Trzeba dbać o atrakcyjność tych wspólnych spotkań. Jeśli nie będzie się dbało o atrakcyjność małżeństwa, to mogą na horyzoncie pojawić się elementy atrakcyjniejsze. Często się zdarza, że mąż spotka kobietę ładniejszą od swojej żony, ale czy atrakcyjniejszą? Myślę, że to nie jest to samo. Atrakcyjność fizyczna nie wyczerpuje wszystkich poziomów atrakcyjności. Są inne, które w małżeństwie trzeba rozwijać. Stąd mój apel, który kieruję do małżonków, by dbali o swoją atrakcyjność. Trzeba dawać żonie kwiaty, wykonywać drobne miłe gesty, które na nowo potwierdzają decy-

zję złożoną sobie przed ołtarzem: „jesteś dla mnie ważny”, „jesteś dla mnie wyjątkowa”. Chciałbym, aby w tym kierunku poszła nasza dyskusja. Państwo mówili, że wierność jest piękna, ale trudna. Pomyślmy, co zrobić, aby była możliwa.

Łukasz Sobieraj

Ja wrócę jeszcze do tego, co mówił pan Krzysztof o górach, o dalekich podróżach, że osoba, która się poświęca swoim pasjom, można powiedzieć – ekstremalnym pasjom, nie powinna zakładać rodziny. Ja się z tym nie zgadzam, bo ludzie muszą sobie ufać.



W ostatnim rzędzie drugi od lewej Łukasz Sobieraj i Karolina Lenikowska

Gdy wyjeżdżam w celu załatwiania interesów czy jadę w góry, bo wspinaczka jest moją pasją, mam wsparcie tej drugiej osoby. Ona wspiera mnie, a ja wspieram ją. Dlaczego mam rezygnować ze swojej pasji? Z czegoś, co jest bardzo istotne dla mnie w życiu. Rodzina może pozwolić rozwinąć skrzydła tej pasji. Rodzina może w tym współuczestniczyć. Ona może się do tego zapalić.

Krzysztof Łoskot

Można realizować pasje, ale wyłącznie za zgodą drugiej osoby. Pełną zgodą, nie wymuszoną.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Zgadzam się z Krzysztofem. Jeżeli człowiek jest odpowiedzialny, ma rodzinę, dzieci, to nie powinien uprawiać sportów ekstremalnych, które zwiększają ryzyko śmierci. Miałam brata ciotecznego, który zginął w czasie wyprawy w Himalaje. Wprawdzie nie miał formalnie rodziny, ale był związany z dziewczyną, która po jego śmierci długo nie mogła dojść do siebie.

Łukasz Sobieraj

Życie jest ryzykiem. Przeżyłem kilka wypadków w swoim życiu, ostatnio zderzenie z ciężarówką i nikt mi nie dawał szans na przeżycie. Nie mogę żyć pod kloszem. Chcę życie odczuwać pełną piersią, bo jest ono zbyt krótkie.

Dominika Figurska

Ale to, o czym pan mówi, to jest coś innego od tego, że ryzykuje pan swoje życie świadomie. Jest to wystawianie Pana Boga na próbę. Co innego jest zderzenie z ciężarówką, na które nie miał pan wpływu, a czym innym świadomy wybór niebezpieczeństwa. Moim zdaniem, jest to czysty egoizm. Oczywiście, że każdy ma prawo do swojej pasji, ale decydując się na rodzinę, muszę nauczyć się wybierać i z pewnych rzeczy rezygnować.

Anna Łoskot

Jeżeli małżeństwo stawia się na pierwszym miejscu, to wszystko inne jest na swoim miejscu i trzeba umieć zrezygnować z pewnych rzeczy na rzecz dobra małżeństwa. Można swoją pasję realizować, jeśli małżonek ją akceptuje. Czasem jednak trzeba poczekać wiele lat, nim on dojrzeje do akceptacji mojej pasji. To jest owoc mojej miłości, że ty jesteś ważniejszy niż moja pasja.

Michał Chorościński

Chciałem zapytać pana Łukasza, czy ma dzieci?

Łukasz Sobieraj

W drodze.

Michał Chorościński

Doskonale pana rozumiem. Do pewnego momentu życia skoki na spadochronie, bungee, wspinaczka, chodzenie po skałkach było moją pasją. Moim marzeniem było zostać alpinistą. Jednak od czasu, kiedy założyłem rodzinę i pojawiły się dzieci, totalnie mi się odmieniło. Jak są dzieci, to nie można ryzykować. Również wtedy, gdy mam odpowiedzialność za rodzinę.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Nie porównywałbym tych dwóch stanowisk, bo one są wypowiedziane z trochę innego pułapu doświadczenia życiowego. Myślę, że raczej są w jednym i drugim przypadku. Aczkolwiek w tym, co mówi pan Łukasz, są takie cechy, które charakteryzują obecne młode pokolenie – silne poczucie autonomii. „Ja sam i wszystko to dla mnie”. Trochę jest to związane z egoizmem: bo jak to, ja nie mam prawa siebie realizować!!? Dzisiaj młodzi ludzie są bardzo uczuleni na to, gdy ktoś im mówi, że mają jakieś ograniczenia. Młodość nienawidzi ograniczeń. W tym, co pan mówił wcześniej o pracy, przebijało takie podejście: nie dam się niczym ograniczyć.

Łukasz Sobieraj

Wszystko zależy ode mnie. Za chwilę będę miał na utrzymaniu dziecko. Wolę poświęcić teraz więcej czasu na pracę, żeby później mieć większą swobodę działania. Jeśli ja nie zadbam o tę rodzinę, to kto to zrobi?

Ks. Piotr Hartkiewicz

Myślę, że jak pan za trzydzieści lat siądzie na miejscu naszych gości, to pan powie „kurczę, jaki ja byłem głupi. Miałem poczucie, że wszystko zależy ode mnie”.

Łukasz Sobieraj

W tym wypadku tak jest. Mam świadomość, że najbliższe miesiące mogą być kluczowe i mnie już to boli, że moja córka urodzi się za miesiąc, a ja będę się z nią mijał. Ale jeśli teraz tego nie zrobię, to może być jeszcze gorzej, bo mogę stracić pracę, stracić źródło utrzymania. Praca jest gwarantem bezpieczeństwa, szczególnie teraz, jak rodzina się powiększa.

Karol Wyszyński

Wróć do tego, o czym wcześniej rozmawialiśmy. Moje doświadczenie pokazuje, że nic nie zastąpi mojej żony i dziecka. Każde pieniądze, każdy kontrakt jest mniej ważny od nich. Moja sytuacja może być dwojaka: albo się mijam z Kasią, albo stawiam sobie granice. W konkretne dni nie ma mnie w pracy. Jeżeli klient tego nie respektuje, to trudno. Jeśli splajtuję, to też trudno, nie udało się, pójdę do innej pracy. Mogę być nauczycielem. Za mniejsze pieniądze, ale za dwa miesiące płatnych wakacji.

Moja córka urodziła się w lipcu i byłem przy porodzie. Te wspomnienia zostaną mi do końca życia. To dla mnie jest ważniejsze od tego, że będę miał super samochód, super dom, ale córka za ileś lat mi powie: „Stary, ale ja cię nie znam”.

Krzysztof Łoskot

To jest trudne, że my w życiu nie możemy mieć jednego celu, jednego zajęcia. Chcielibyśmy robić wiele rzeczy, a nie da się ich robić na raz. Cały problem polega na wyborze. Decyduje hierarchia wartości. Nie można żyć tylko pracą albo tylko rodziną, to się musi kupy trzymać. Jeśli musimy z czegoś zrezygnować, to nie z rodziny, tylko z pracy. Ksiądz Zdzisław Wojciechowski prowadzi od lat grupę mężczyzn o nazwie „40 plus”, którzy zarobili dużo pieniędzy, ale w życiu osobistym różnie im się ułożyło. Często nie mają rodzin lub z wielkim trudem zwalczają skutki swoich błędów i braków wobec najbliższych.

Michał Chorosiński

Chciałbym wrócić do wspomnianego przez Księdza Piotra zakochania przed ślubem. Ten pierwszy okres to jest rzeczywiście takie szaleństwo. To jest wspaniały okres i na pewno podoba się Panu Bogu. Do podjęcia decyzji o małżeństwie potrzebna jest ta odrobina szaleństwa. Niestety jest, jeśli po kilku latach mam ochotę odnowić to szaleństwo z kimś innym, tym bardziej, że w małżeństwie te okresy szaleństwa powracają co jakiś czas.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Tu na sali jest trochę małżeństw, więc zadam pytanie: ilu panów ofiarowuje często kwiaty swojej żonie? Bardzo do tego zachęcam, bo jest to bardzo dla nas miłe.

Krzysztof Haman

Jestem wśród nich. Co tydzień ofiarowuję kwiaty mojej żonie. Poradził mi to wiele lat temu znajomy rabin.

Krzysztof Łoskot

Panowie też lubią być obdarowywani. Niekoniecznie kwiatami.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Ponieważ czas nam się kończy, prosiłbym o krótkie podsumowanie, w którym byłaby reklama wierności. Dlaczego chcę być wierny?

Karol Wyszyński

Wspaniale jest czerpać z doświadczenia innych. Jestem pod wielkim wrażeniem, że w świecie aktorskim są pary, które są wielkim świadectwem wierności. Kolorowe pisma pokazują świat całkowicie odmienny: ten czy tamta są razem, ale za chwilę już się rozwodzą.

Chciałbym się podzielić tym, jak ważną dla nas sprawą jest, że mamy grupę przyjaciół w podobnej do naszej sytuacji życiowej. Jest to dla nas umacniające, że możemy się co jakiś czas spotkać, dzielić się swoimi doświadczeniami i wspólnie się pomodlić. Zachęcam do budowania grup prawdziwych przyjaciół.

Katarzyna Wyszyńska

Jeszcze dodam, że jeśli jest się wierny w małym, to łatwiej jest zachować wierność w dużym. Jeśli sobie pozwalam na małe odstępstwa, bardzo szybko upadam. To jest taka równia pochyła. Też mi się wydaje, że te drobne dowody miłości w małżeństwie, tak jak wspomniane kwiaty, są ważne dla jedności i wierności.

Michał Chorościński

Trzeba pamiętać, że małżeństwo to nie tylko związek fizyczny, ale też związek duchowy, na którym każda niewierność odbija się silnym pęknięciem. Jeżeli nie dotrzymujemy wierności, to wcześniej czy później to małżeństwo się rozpadnie.

Dominika Figurska

Należy zapobiegać, żeby nigdy, z nikim, w jakiegokolwiek dziedzinie nie być bliżej niż ze swoim małżonkiem.

Krzysztof Łoskot

Dla mnie wierność to jest cecha człowieka, który umie być stały. Wierność to jest stałość w miłości. Taki człowiek nie musi być pilnowany. W małżeństwie tacy ludzie dają poczucie bezpieczeństwa.

Druga sprawa. Wierność w małżeństwie nie tylko dotyczy seksu. Większą niewiernością byłoby dla mnie to, gdyby moja małżonka opowiadała o naszych słabościach czy naszych tajemnicach komukolwiek, np. mamie, siostrze czy koleżance.

Elżbieta Pierścionek

Wierność jest naturalną sytuacją dla sakramentalnego małżeństwa. Jest bezwarunkowo konieczna, żeby małżeństwo żyło, kwitło i przynosiło owoce.

W zdrowym i odpowiedzialnym związku wierność nie uwiera, nie stanowi problemu. Jest wyrazem szacunku dla współmałżonka, dla własnej osoby i założonej rodziny. Wierność to nieustanne budowanie relacji we wszystkich aspektach życia, które jest przecież dynamiczne.

Podstawą każdego szczęśliwego i długotrwałego związku jest uczciwość, wierność zasadom i obowiązkom. W dzisiejszych czasach wierność to miara naszego człowieczeństwa. Od czterech miesięcy jestem wdową po śp. profesorze Zdzisławie Pierścionku. Moja więź z mężem od początku aż do końca trwania naszego małżeństwa była niezwykła. Teraz czerpię z niej siły do dalszego życia, już bez niego.

Anna Łoskot

Jestem wdzięczna mojemu mężowi, że jest mi wierny. Daje mi to poczucie bezpieczeństwa, pewności, siłę do życia. Jestem mu wdzięczna, że byliśmy razem również w trudnych chwilach, które występowały np. przy wychowywaniu naszych dzieci, lub w czasie chorób i śmierci naszych rodziców. Trudności też nas łączyły i dzisiaj możemy cieszyć się sukcesami, których nie spodziewaliśmy

się. Jest to ogromna pomoc dla własnego rozwoju, jeśli się wie, że ma się przy sobie kogoś wiernego.

Ks. Piotr Hartkiewicz

Bardzo serdecznie dziękujemy za te świadectwo z różnych etapów naszego życia. Myślę, że żadne nie jest gorsze i żadne nie jest lepsze, każde jest wyjątkowe. Życzę wytrwałości.

Osobiście bardzo się cieszę, kiedy mogę obserwować ludzi, którzy trwają w małżeńskiej przysiędze. Warto się wspierać, warto przez takie spotkania pokazywać, że wierność jest ważna. Myślę, że świadectwa państwa, którzy przeżyli po czterdzieści i pięćdziesiąt lat w małżeństwie, są dla nas wszystkich bardzo ważne. Ksiądz Twardowski mówił, że w małżeństwie najtrudniejszych jest pierwsze pięćdziesiąt lat, później to już jakoś leci.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

Wierność

Któraś z dziewcząt przyniosła do akademika psychozabawę. Na bitych dwu stronach chyba „Zwierciadła” zamieszczono serię pytań. Zakreślenie jednej z podanych możliwości (A, B lub C) miało w efekcie dać odpowiedź na pytanie: czy naprawdę kocham czy tylko po prostu jestem zakochana. Wywiązała się zagorzała dyskusja: co to znaczy kochać i czy być zakochaną, to nie jest to samo? Oczywiście, nie. Było to blisko 50 lat temu.

Pamiętam jedno z ostatnich pytań tamtej psychozabawy. Brzmiało ono mniej więcej tak: Spróbuj wyobrazić GO sobie za kilkadziesiąt lat, kiedy nie będzie miał gęstych włosów, zgrabnej sylwetki, będzie chodził powoli i narzekał na bóle reumatyczne... Wszystkich możliwości odpowiedzi dokładnie nie pamiętam, ale wiem na pewno, że jedna z nich brzmiała: będziesz mu wtedy tak samo wierna. Teraz dopiero mnie olśniło, że wśród podanych wówczas możliwości odpowiedzi zabrakło jednej – za kilkadziesiąt lat oboje będziemy tacy sami.

Rzeczywiście, kiedy patrzę na fotografie z tamtych lat, oboje byliśmy inni. Zmieniliśmy się przez te lata i to nie tylko fizycznie. Za parę miesięcy będziemy obchodzić kolejną „okrągłą” rocznicę naszego ślubu.

Dla mnie wierność jest podstawowym fundamentem trwałości małżeństwa. Chodzi tu nie tylko o wierność fizyczną, w znaczeniu seksualnym, tę najbardziej oczywistą, wręcz namacalną. Chodzi o całokształt wierności wszystkiemu, co ta druga osoba reprezentuje. Wierności sobie, swojemu uczuciu, wierności tej fascynacji, jaką darzyliśmy siebie nawzajem na początku naszej znajomości. I w tym tkwi chyba podstawowa różnica między miłością a zakochaniem się. Jeśli ta pierwsza fascynacja nie przerodzi się w prawdziwą, głęboką miłość, wówczas niezwykle trudno jest się wystrzec zdrady. Bo zdrada to poszukiwanie nowej fascynacji. Nawet początkowo niewinny flirt daje poczucie, że komuś się jeszcze podobam, a on/ona w domu tego nie dostrzega.

Wierność to szczególne wyczulenie na potrzeby tej drugiej osoby. To bezustanna dbałość o to, aby się od siebie nie oddalić, nie zacząć chodzić każde własnymi drogami. Współczesny świat otacza nas tyłu pokusami. Trzeba bez przerwy mieć się na baczności.

Kiedy podczas niedzielnej Mszy świętej podajemy sobie ręce na znak pokoju, kiedy na sekundę spotykamy się wzrokiem, nabieramy oboje pewności, że możemy bez obawy zacząć kolejny tydzień wspólnego życia.

A gdyby się zdrada przydarzyła? Trudno mi teoretyzować, ale ja bym walczyła o moją miłość. Nie pozwoliłabym sobie w tak błahy sposób wydrzeć tego, co dla mnie najcenniejsze. Myślę, że potrafiłabym przebaczyć, ale miałabym się mocno na baczności. Każdy najdrobniejszy sygnał mobilizowałby mnie do chuchania na naszą miłość jak na coś najcenniejszego, ale bardzo kruchego. Dlatego, aby nie dopuścić do zdrady, nie wystarczy stać z walkiem w oczekiwaniu na spóźniającego się męża. Nawet nie wolno tego robić. Trzeba polerować każdą oznakę miłości, aby lśniła swoim oryginalnym blaskiem. Nie można dopuścić, żeby spowszedniała, żeby zaśniedziała, żeby się rozplynęła, rozmyła w siermiężnej nieraz codzienności.

Jacek Mycielski (Włochy)

To opowieść mojego znajomego Henka.

Sally jest inteligentną blondynką w pełni kobiecej dojrzałości. Henk, będąc na delegacji, spotkał ją w holu gwiazdkowego hotelu w drodze na kolację. Obydwoje są inżynierami w tej samej firmie, ona w Ameryce, on w Holandii. W ubiegłych latach kilkakrotnie widzieli się na debatach technicznych i mieli podobne stanowiska, co ich niewątpliwie zbliżyło. Ucieszyli się ze spotkania. Henk – rzecz jasna – zaprosił Sally do swojego stolika. Menu eleganckie, obsługa na medal, jest uroczo. George – gitarzysta basowy, na podium o dwa kroki, śpiewa czule angielską wersję *La vie en rose*. Sally opowiada wydarzenia ostatnich miesięcy: sukcesy zawodowe, problemy rodzinne (oboje mają dorastające dzieci) i kłopoty z mężem – od niedawna żyją w separacji... Henk słucha ze zrozumieniem i przejęciem. Wino smakuje. Ona jest o kilkaset kilometrów od domu, on o kilka tysięcy: *safe distance*... Pokoje mają na tym samym piętrze...

No i co dalej?? – pytam. Trudno mi sobie wyobrazić, że Henk pod wpływem chwili zdradził swoją miłą żonę (którą dobrze znam) i teraz mi to wszystko bez zażenowania opowiada.

Otóż uratowała go obietnica (którą dał sam sobie), że nigdy nie wejdzie do cudzego łóżka pod wpływem chwili, zauroczenia, alkoholu, przypadku. I jakoś udało mu się dotrzymać słowa. Pożegnali się miło w drzwiach restauracji: „Sally, ty musisz jutro wcześniej jechać na lotnisko, ja muszę jeszcze przygotować jutrzejsze wystąpienie ... Dobranoc !” (Nie odprowadził Sally na piętro, choć serce bolało!).

Zapamiętałem tę opowieść i jej przesłanie. Ile dramatów, ile komplikacji życiowych zaczyna się niewinnie, przypadkiem! Ile małżeństw się wali, ile życiorysów się komplikuje! Może warto uniezależnić się od takich przypadków, od ślepego losu? Przykładem Henka.



Czy słucham głosu sumienia?



Cytaty

List pasterski Episkopatu Polski, *Sumienie drogowskazem człowieczeństwa* (fragmenty)

Do zasadniczych wyzwań współczesnego Polaka należy troska o ocalenie prawości ludzkich sumień. Troska o ludzkie sumienia jest jednym z zasadniczych znaków pontyfikatu Jana Pawła II. Jej szczególnym wyrazem była podarowana Kościołowi przed 10 laty encyklika *Veritatis splendor*, w której wiele uwagi poświęca Papież tematowi ludzkiego sumienia.

Życie każdej społeczności, w celu właściwego rozwoju, domaga się ludzi o prawym sumieniu. Takich ludzi potrzeba na każdym odcinku życia społecznego. „Jakże ważne jest – podkreślał Ojciec Święty w Skoczowie – aby nasze sumienia były prawe, aby ich osądy oparte były na prawdzie, aby dobro nazywały dobrem, a zło złem. (...) Najbardziej podstawowym problemem naszej Ojczyzny pozostaje sprawa ładu moralnego. Ten ład jest fundamentem życia każdego człowieka i każdego społeczeństwa. Dlatego Polska woła dzisiaj nade wszystko o ludzi sumienia”.

„Jest ważne – przypomina Katechizm Kościoła Katolickiego – by każdy wszedł w siebie, ażeby usłyszał głos swojego sumienia i szedł za nim. To poszukiwanie głębi wewnętrznej jest tym bardziej konieczne, że życie często niesie ze sobą niebezpieczeństwo, iż uchylamy się od wszelkiej refleksji, zastanowienia się lub wejścia w siebie” (1779).

Sumienie natomiast pozostaje wciąż żywe: zachęca bądź przestrzega przed podjęciem działania, a probuje czyn bądź oskarża człowieka po jego dokonaniu. Przed podjęciem czynu osąd sumienia wskazuje, czy jest on podporządkowany dobru czy też nie. Mówimy wówczas, że sumienie nakłania, zachęca, czy nawet zobowiązuje do wykonania czegoś. Po spełnieniu czynu głos sumienia wydaje osąd aprobujący, mówimy wówczas o spokojnym sumieniu. Gdy natomiast wartość moralna czynu była negatywna, sumienie reaguje dezaprobatą, człowiek doświadcza stanu wyrzutów sumie-

nia, które woła z mocą biblijnego proroka Natana, wypominającego królowi Dawidowi jego grzech: „Ty jesteś tym człowiekiem, który zgrzeszył” (2 Sm 12, 7).

Oddzielenie życia od religii i od zasad moralnych prowadzi do permissywizmu moralnego, czyli postawy zwalniania się z obowiązków i odrzucania zasad wymagających jakiegokolwiek wysiłku i trudu. Dzisiaj uwidacznia się to między innymi w dziedzinie etyki seksualnej. Jest to swego rodzaju obniżanie wymagań w postawach i zachowaniach w duchu rzekomego poszanowania „praw” człowieka. Wydaje się, że ta ideologia wchodzi w skład wielkiego programu neomarksizmu i postmodernizmu, według których cała rzeczywistość winna być pozbawiona ocen moralnych – winna być „odmoralniona”, etycznie zneutralizowana – słowem samowolna. Człowiek dzisiaj bardzo często chce być normą dla siebie, nie w sensie kierowania się własnym sumieniem zgodnie z obiektywnymi prawdami moralnymi, lecz na podstawie dobierania sobie zasad w zależności od aktualnych upodobań i potrzeb. Do wartości i norm podchodzi się wybiórczo zależnie od tego, czy kierowanie się nimi będzie opłacalne, przynosząc korzyści czy straty.

**Benedykt XVI, *Gdy człowiek postępuje wbrew sumieniu,
rani samego siebie.***

(26 lutego 2011, fragmenty)

W sumieniu cały człowiek – rozum, uczucia, wola – realizuje swoje powołanie do dobra, tak że wybór dobra lub zła w konkretnych sytuacjach życiowych głęboko naznacza osobę ludzką w każdym aspekcie jej istnienia. Cały człowiek w istocie zostaje zraniony, kiedy jego postępowanie jest sprzeczne z głosem własnego sumienia. Jednakże nawet wtedy, kiedy człowiek odrzuca prawdę i dobro, które proponuje mu Stwórca, Bóg go nie opuszcza, lecz właśnie przez głos sumienia nadal go szuka i przemawia do niego, ażeby uznał błąd i otworzył się na Boże miłosierdzie, zdolne uleczyć każdą ranę.

W szczególności lekarze nie mogą uchylać się od poważnego obowiązku obrony przed oszukiwaniem sumienia licznych kobiet, które sądzą, że usunięcie ciąży pozwoli im rozwiązać problemy ro-

dzinne, ekonomiczne, społeczne czy problemy zdrowotne swojego dziecka. Zwłaszcza w tym ostatnim przypadku kobieta często bywa przekonywana, niekiedy właśnie przez lekarzy, że aborcja jest nie tylko moralnie dozwolonym wyborem, ale wręcz że aborcja jest koniecznym działaniem „terapeutycznym”, pozwalającym zaoszczędzić dziecku i jego rodzinie cierpienie, a społeczeństwu „niesprawiedliwego” ciężaru. W obliczu kultury, którą cechuje zanik poczucia sensu życia, w której znacznie osłabło powszechne postrzeganie moralnej powagi aborcji oraz innego rodzaju zamachów na życie ludzkie, od lekarzy wymaga się, by ze szczególną niezłomnością potwierdzali, że aborcja niczego nie rozwiązuje, lecz zabija dziecko, niszczy kobietę i zaślepia sumienie ojca dziecka, rujnując często życie rodzinne.

KONWERSATORIUM LV (21 kwietnia 2012)

Czy słucham głosu sumienia?

Prowadzący: ks. Włodzimierz Kwieciński, Zofia Ratajska (historyk i krytyk sztuki) i Sławomir Ratajski (nauczyciel akademicki, artysta malarz, dyplomata), Alicja Węgorzewska-Whiskerd (śpiewaczka operowa, prezes fundacji StartSmart) i Peter Whiskerd-Węgorzewski (finansista).



Rozmowa panelistów przed Konwersatorium

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Rozpocząłem jak przystało na księdza, teraz przejmę rolę prowadzącego: witam serdecznie wszystkich obecnych na tym Konwersatorium. Dzisiaj postawiono nam pytanie, na które można udzielić prostej odpowiedzi, ale przypuszczam, że odpowiedź nie będzie taka prosta. „Czy słucham głosu sumienia?” Oczywiście każdy z nas odpowie „tak”, bo jak można nie żyć w zgodzie z własnym sumieniem. Ale myślę,

że warto się zastanowić, czym jest sumienie? Co mamy na myśli i jaki wpływ na moje życie ma sumienie? Myślę, że zaproszeni tu goście, którzy się za chwilę przedstawia, pomogą nam iść tropem tych pytań, a raczej tropem odpowiedzi na te pytania.

Dzisiejsze konwersatorium poprowadzę w zastępstwie księdza proboszcza – księdza Adama Zelgi. Mam nadzieję, że nie splamie



Ks. Włodzimierz Kweciński i paneliści: od lewej Alicja Węgorzewska-Whiskerd, Peter Whiskerd-Węgorzewski, Zofia i Sławomir Ratajcy

wyrobionej dobrej opinii o tych spotkaniach, prowadzonych zwykle przez księdza Adama.

Zacznę od tego, czym jest sumienie, dlaczego mamy się nim kierować i jaki ono może mieć wpływ na nasze życie. Nie jest to pojęcie chrześcijańskie, chrześcijaństwo tylko je niejako zaanektowało. Jest to pojęcie, które zrodziło się w filozofii greckiej, zostało przejęte następnie przez łacinę. Najkrócej można byłoby powiedzieć, że sumienie jest to wewnętrzny głos, wewnętrzny nakaz lub zakaz. W języku greckim sumienie oznacza dosłownie współ-widzenie, czyli że na coś patrzymy z różnych punktów widzenia i oceniamy jako pewną normę postępowania. Łacina określa ten termin jako współ-wiedza,

czyli mamy położony akcent raczej na znajomość. W zasadzie chodzi o to, że ten głos wewnętrzny mamy skierować ku prawdzie i dobru. To pojęcie przejęte przez chrześcijaństwo już się bardzo dobrze zadomowiło w teologii, ale także w oficjalnym nauczaniu Kościoła. Warto sobie przypomnieć w tym miejscu chociażby ostatni Sobór Watykański II, Konstytucję Duszpasterską o Kościele w świecie współczesnym oraz otrzymany tekst z nauczania Jana Pawła II. Enyklika *Veritatis Splendor* jest w całości poświęcona tej tematyce.

Zatem na pytanie postawione w tytule „czy słucham głosu sumienia?” każdy z nas prawdopodobnie odpowiedziałby „tak”. Pozostaje jednak pytanie, czy i jak ono wpływa na nasze życie.

Alicja Węgorzewska-Whiskerd

Kiedy pani Profesor zaprosiła mnie do udziału w tym Konwersatorium, pomyślałam, że to jest bardzo dobry moment, żeby zrobić rachunek sumienia ze swojego życia. Zaczynałam przypominać sobie różne momenty, kiedy sumienie grało znaczącą rolę. Urodziłam się w Szczecinie i wychowałam w katolickiej rodzinie, która przybyła ze wschodu, z Wilna. Głos głębokiej etyki rodzinnej i czynienia dobra naokoło było dla mnie bardzo ważne. Natomiast później, kiedy zaczęłam podróżować, zaczęłam studiować, zaczęłam swoją karierę, przychodziło mi często na myśl, że moja rodzina niczego mnie nie nauczyła, że ten głos wewnętrzny czynienia dobra, bycia fair w wielu sytuacjach nie prowadzi mnie do założonego celu. Postępując według wszelkich zasad etyki wyniesionych z domu i obserwując otoczenie, widziałam wyraźnie, że do tego, do czego dążę w życiu, dążę w zupełnie innym stylu i innymi drogami. Zastanawiałam się wtedy, jak osiągnąć założony cel, nie idąc na kompromis z samą sobą. Oczywiście zajęło mi to dużo, bardzo dużo czasu. Było tak, że wszyscy już uciekali do przodu, a ja stałam w tym samym miejscu i zastanawiałam się, dlaczego postępując dobrze w życiu, nie mogę się rozwijać w ten sposób, w jaki chcę, szczególnie widząc takie zachowania, które świadczyły, że ludzie mimo że słyszą swój głos sumienia, postępują absolutnie wbrew niemu. Później stwierdziłam, że jednak pozostanę outsiderką i pójdę swoją drogą w życiu, słuchając właśnie głosu sumienia, nie idąc na kompromis z otaczającym mnie światem.



Alicja Węgorzewska-Whiskerd (z mikrofonem), obok ks. Włodzimierz Kwieciński i Peter Whiskerd-Węgorzewski

Na początku tej drogi czułam się słaba. Myślałam, że wszyscy są mądrzejsi, inteligentniejsi, bardziej utalentowani, a ja stoję w takim punkcie życia, gdzie muszę o wszystko walczyć. Kiedy jednak patrzę z perspektywy czasu, to widzę, że to, co było moją słabością, dzisiaj okazało się moją siłą. Idąc w życiu długimi i okrężnymi drogami, doszłam do takiego punktu, gdzie czuję się bardzo dobrze sama ze sobą, z tym, co robię dla siebie, dla swojego rozwoju i z tym, co robię dla innych. Nie mówiąc tego głośno, żyjąc, a przynajmniej starając się żyć według Pisma Świętego i przykazań.

Oczywiście jestem słabym człowiekiem, ciągle zdarzają mi się wpadki, słabości, potknięcia, ale nie wynikają one z niesłyszania głosu sumienia, tylko ze zwykłej ludzkiej słabości. Natomiast kręgosłup moralny i moją powieź – wiara, o której lubię bardzo głośno mówić, dają mi siłę, a postępowanie według zasad mojego sumienia, wyniesione z ciepłego, katolickiego domu, jest podstawą, zasadą mojego życia. Wiele osób, które znają mnie tylko z mediów i oceniają bardzo powierzchownie, rozśmiesza to, kiedy mówię, jaką wartość ma dla mnie rachunek sumienia, który robię przed pójściem do spowiedzi.

To taki wstęp, proszę księdza. Jak państwo widzą, mam ogromną treść. Nie jestem wcale taka wygadana i taka mądra, bo ja, tak

naprawdę, byłam zawsze outsiderem. Siedziałam sobie cichutko, zawsze gdzieś w kącie i czekałam, żeby inni mnie znaleźli. Poszłam wcześniej do szkoły, nie ściągałam i nie dawałam nigdy ściągać, bo uważałam, że wszyscy mają się uczyć i być mądrzy.

Niestety, dzisiejsze media kierują się nie tym, co mają przekazywać, tylko tak zwaną oglądalnością i to najlepiej w przedziale wieku 16-49, który jest tak zwanym potencjałem do zakupów i do przekazu reklamy. To jest ten przedział, który jest obliczony na największe konsumenckie parcie. Zauważyłam to, między innymi na podstawie programu, w którym teraz biorę udział – „Bitwa na głosy”. Przekaz medialny, który powinien być pozytywny, nie jest taki. To, co się przekazuje w mediach, nie może być dobre, nie może być ciepłe, nie może być prawe, bo wtedy jest nudne, nieciekawe i nienośne. Wszystko ma się opierać na skandalu, na opluwaniu. Gdzie jest sumienie tych mediów?

Gdy patrzę na dzisiejsze media, wydaje mi się, że są one bardziej komunistyczne niż za czasów komunizmu, gdyż nie uwzględniają w ogóle potrzeb ludzkich. Służą tylko zaspokajaniu najbardziej prymitywnych potrzeb i utrzymywaniu społeczeństwa na najniższym poziomie moralnym. Media nie prowadzą ludzi na dobrą drogę, nie budzą głosu sumienia, a wręcz przeciwnie – uczą prymitywizmu i zaspokajania podstawowych potrzeb. W programie, o którym wspomniałam, spotkałam się z zarzutem, że my jesteśmy nieciekawi w tym programie, bo zamiast podzielić ludzi na tych do oplucia i na tych do wychwalenia, to my pokazujemy samych dobrych. Medialnie jest to nieciekawe. Myślę, że musimy jako społeczeństwo postawić sobie pytanie, czy to, co przekazują media, jest ich głosem sumienia czy tylko głosem komercji, zaspokajania potrzeb?

Bardzo przeraża mnie to, że odwołując się do np. Ruchu Pali-kota, różni transseksualiści, homoseksualiści itp. czują się odrzu-ceni i że próbuje się zagarnąć głos sumienia, mówiąc: „musimy być tolerancyjni dla tych ludzi, musimy dać im wszelkie prawa”, a równocześnie słyszę, że stewardesa w polskich liniach lotniczych Lot ma zdjąć krzyżyk, bo jest to symbol wiary. Gdzie jest głos sumienia w drugą stronę? Ja w tej chwili czuję, że będąc katoliczką, jestem na pozycji odrzuconej. Czyli jako katoliczka muszę tolerować wszystko i wszystkim na wszystko zezwolić, natomiast odrzuca się mój punkt widzenia.



Alicja Węgorzewska-Whiskerd

Bardzo dużo podróżowałam, często latałam na koncerty nad Zatokę Perską, do Kuwejtu, Kataru, Bahrajnu. Myślałam wówczas co by było, gdyby kultura europejska, wkraczając w te rejony i oceniając Kuwejt po wojnie w Zatoce, kazała wszystkim Arabom zdjąć galabije i nakrycia głów. Jest to bowiem demonstracja wiary i sumienia powinno im nie pozwalać, by demonstrowali swoją wiarę. Świat idzie w tak dziwnym, niebezpiecznym i niedobrym kierunku.

Bardzo się cieszę, że sumienie jest dzisiejszym tematem, bo w momencie, kiedy nauczymy społeczeństwo słuchać głosu sumienia, będzie to pierwszy krok ku lepszemu.

Peter Whiskerd-Węgorzewski

Jeśli Alicja ma treść, to ja, jako Anglik – dziesięciokrotnie większą. Początkowo myślałem, że będę mówić tylko o roli sumienia w biznesie, ale teraz myślę, że najpierw muszę powiedzieć parę słów o sobie, a przede wszystkim nawiązać do tego, co powiedziała Ala. Znam Alicję od dwudziestu lat i znam jej wątpliwości, które dotyczyły od wielu lat jej kariery, właściwych wyborów i własnego rozwoju. Przeżywam je razem z nią. Widzę w nich inspiracje



Peter Whiskerd-Węgorzewski (z mikrofonem), obok Sławomir Ratajski

polskich wartości, polskiego Kościoła i Papieża Jana Pawła II, który jest dla mnie największym ze współczesnych ludzi.

Jestem w Polsce od dwudziestu lat. Urodziłem się w Anglii. Nazwisko Węgorzewski przyjąłem na ślubie cywilnym z Alicją, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że będzie ono sławne. Nie był to chwyt marketingowy, ale miłość do Alicji.

Miałem ogromne szczęście urodzić się w wolnym kraju. Dla mnie trudno jest wyobrazić sobie, jak to było w Polsce w czasie komunizmu. Babcia Alicji przeżyła dwie wojny światowe i jako prezent dostała potem reżim komunistyczny i często ta historia Polski jest dla mnie powodem do rachunku sumienia.

Mam 56 lat i z punktu widzenia zawodowego w wielu krajach już byłbym wykluczony, a Polska mi pomaga przedłużyć moją karierę i jestem jej za to wdzięczny.

Byłem protestantem. W kościele bywałem regularnie, gdyż śpiewałem w chórze jako chłopak w wieku 9-13 lat. Często byłem i piętnaście razy w kościele w ciągu tygodnia. Śpiewałem między innymi dla królowej Elżbiety i dla Richarda Nixona. Ale nie rozumiałem, co to znaczy Kościół, co to znaczy sumienie. Dla mnie to była praca. Było nas 22 chłopców. Chór był na bardzo wysokim poziomie, ale nie było powiązania z religią. W czasie kazania pozwalano nam czytać własne książki.

Alicja Węgorzewska-Whiskerd

Gdzież sumienia księdza? Do kogo było kazanie?

Peter Whiskerd-Węgorzewski

Dla nas to była praca, za którą nam płacono, bo wymagano od nas dużego wysiłku. Nawet mieliśmy darmową edukację. Potem bywałem w kościele regularnie z rodzicami, ale tylko dlatego, że co niedziela musimy być w kościele. Nasz kościół był marny. Potem na dziesięć lat prawie straciłem kontakt z kościołem. Pamiętam do dziś pierwsze Boże Narodzenie w Polsce w 1993 roku. Byłem zaskoczony, ile razy musieliśmy chodzić do kościoła. Siedziałem obok Alicji kompletnie zakochany i patrząc na nią, widziałem, jaka jest skupiona i jak głęboko przeżywa obecność w kościele. Zaczynałem wtedy rozumieć, co to jest czas na refleksję i co to jest sumienie. Poznałem wtedy babcię Alicji, która była dla mnie wielkim człowiekiem. Ona i Jan Paweł II mieli tę samą dobroć na twarzy i byłem przekonany, że kiedy on umrze, ona już niedługo będzie żyła. Trzy miesiące później umarła.

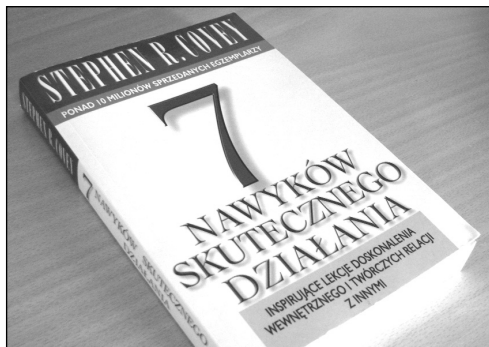
Kiedy co roku bywałem z Alą w Szczecinie i spotykaliśmy się z jej mamą i babcią, coraz lepiej zaczynałem rozumieć, jak kościół może mi pomóc być wdzięcznym za to, co ja mam. Współczułem ludziom, którzy mieli mniej. Mama Alicji robiła karierę marketingową. Jej poziom zawodowy był podobny do mojego, ale ona zarabiała tysiąc razy mniej ode mnie – dyrektor marketingu w Spółdzielni Społem zarabiał 800 złotych miesięcznie. Realia, które widziałem, były też powodem do rachunku sumienia.

I jestem bardzo wdzięczny, że znalazłem Kościół w Polsce. Nie jestem katolikiem. Tylko raz byłem u spowiedzi, kiedy nasza córka miała pierwszą Komunię świętą. Pytałem wtedy księdza Adama Zelgi, czy mogę wyjątkowo przyjąć Komunię i on pozwolił mi, ale po spowiedzi. Kościół i przede wszystkim ludzie są dla



Peter Whiskerd-Węgorzewski

mnie inspiracją. Ksiądz Adam zawsze mnie pyta o mój zespół piłki nożnej w Anglii. Jest zawsze na bieżąco i jestem wdzięczny, że



Książka „7 nawyków skutecznego działania”

mam ten moment cotygodniowy, kiedy mam czas na refleksję nad sumieniem. Co zrobiłem źle, co mogłem zrobić lepiej.

Chciałbym powiedzieć teraz nieco na temat sumienia finansistów. Mam tutaj ze sobą książkę „Siedem nawyków skutecznego działania”.

To jest typowa amerykańska książka, która próbuje pomagać ludziom w życiu biznesowym. Dla mnie ciekawe jest to, że autor jest bardzo religijny. Dużo mówi o roli

Kościoła, ale przede wszystkim o tym, że sumienie to jest zbiór zasad życiowych. Najlepsze przywództwo, które poznałem w życiu, i najlepsze firmy, w których pracowałem, mają głębokie zasady moralne w podejściu do pracy. Miałem już okazję 3 lub 4 razy być zwolnionym i też zwalniać ludzi. Sumienie ma tu rolę kluczową. Jest jeden bardzo ważny aspekt biznesowy, który rzadko jest doceniany w Polsce, to jest spójność. Jestem ja i mój zespół. Jeżeli chcę osiągnąć jakieś wyniki, ważne jest nie tylko to, co jest dobre dla mnie, ale też to, co jest dobre dla mojego zespołu. Taka dwustronna spójność w relacjach biznesowych jest wartością podstawową. Sumienie podpowiada mi, czy to, co robię, jest nie tylko dla mojego dobra, ale też dla całego zespołu. Oczywiście czasami właściciele czy akcjonariusze nie są tacy, ale w czasie ostatnich 5-6 lat dotarło do mnie, że bez tej spójności nie da się być dobrym na żadnym kierowniczym stanowisku w biznesie. To mi pomaga być dobrym liderem.

Jeszcze słowo odnośnie do globalizmu. Ja myślę, że największym wyzwaniem, które mamy w dzisiejszym świecie, jest internet – dlatego, że on nam pozwala wszystko mieć albo pozwala zobaczyć wszystko, czego nie mamy. Jest to wielki problem dla sumienia, bo nie ma czasu na refleksję. Kościół, gdzie wyłączamy komórki, jest idealnym miejscem, żeby pomyśleć i zrobić rachunek sumienia.

Zofia Ratajska

Jestem historykiem i krytykiem sztuki. Zajmuję się sztuką współczesną, publikuję artykuły o sztuce i kulturze współczesnej, współpracuję z kilkoma pismami. Pracowałam też w radiu i robię filmy dokumentalne dla TV. Stąd mam więc również doświadczenia z mediami i z dziennikarzami. Dylematów moralnych jest tu bardzo wiele. Widziałabym jeden podstawowy, od którego chciałabym zacząć. Jeżeli piszę cokolwiek na jakikolwiek temat i podpisuję to własnym nazwiskiem, to muszę sobie zadać pytanie, czy piszę dlatego, żeby coś wartościowego przekazać, czy piszę na swoją chwałę, żeby ładnie myśli sformułować i żeby, jak to się teraz brzydtko mówi, „zaistnieć” w tej czy innej gazecie, żeby ludzie powiedzieli „o, jak ty dobrze piszesz”. Czy na pierwszym miejscu jestem ja, mój interes jako osoby piszącej, czy wartość sprawy, dla której piszę?

Wielokrotnie mam ten dylemat. Jeden ze znajomych księży powiedział mi „wyprostuj intencje”. Pomyśl zawsze o tym, po co piszesz. Czy nie dla własnej kariery, żeby mieć kolejny artykuł, czy też, że jest to ważne, istotne i ma jakieś znaczenie.

W związku z tym, pisząc o sztuce współczesnej, która jest – mówiąc w dużym skrócie i uproszczeniu – przynajmniej zewnątrz, często daleko od Boga, nawet czasami przeciwko, staram się znajdować rzeczy, z których artyści nie zawsze sobie zdają sprawę lub boją się przyznać, że szukają czegoś więcej. To jest takie niemodne. Współczesny artysta powinien być zbuntowany, krytyczny wobec rzeczywistości, a jak jego nastawienie jest pozytywne, a twórczość jest oparta na głębszych wartościach, to jest niedzisiejszy. Staram się zawsze złapać te dobre elementy, a nawet w pracach bardzo kon-



Zofia Ratajska

trowersyjnych jakoś je znaleźć. Często potem artyści się zgadzają ze mną. Staram się to robić nienachalnie. Czasem przytoczę jakiś cytat z odpowiedniej książki czy myśliciela. Nie wiem, czy to słusznie robię czy nie, te wątpliwości zawsze są, ale staram się brać odpowiedzialność za to, co piszę. Jest to codzienny dylemat sumienia w przypadku osoby piszącej i to jeszcze piszącej o takich sprawach na wskroś współczesnych.

I druga sprawa. Doświadczenie, które mam z pracy w radiu, jest bardzo podobne. Co jest na pierwszym miejscu: ja czy wartość, którą chcę przedstawić. W pracy z innymi dziennikarzami panuje ogromna konkurencja, kto dostanie ten program, komu się uda, kto będzie mógł zrobić swoją audycję. Znowu jest ten sam dylemat – ja czy inni? Podobnie jak w biznesie. Czy współpracujemy ze sobą, czy walczymy ze sobą? Wiele razy miałam do czynienia z takimi sytuacjami, że jeżeli nie ja ciebie, to ty mnie załatwisz. Są to naprawdę bardzo trudne i poważne kwestie. Dam przykład podobnego wyboru sumienia.

Pragnę tu wspomnieć znajomą, młodą dziennikarkę, która została zwolniona z „Rzeczpospolitej”. Stała praca dla dziennikarza jest niezwykle trudną i upragnioną rzeczą. Większość pracuje na zleceniach lub jako wolni strzelcy. Po zwolnieniu z „Rzeczpospolitej” dostała różne propozycje, między innymi bardzo intratną



Zofia Ratajska, obok Sławomir Ratajski

z jednego z pism kolorowych. Poszła na rozmowę, w czasie której spytała, czy mogłaby pisać tak, jak jej się wydaje za słuszne, coś wartościowego, czy też to miałyby być taka miazga, jak to jest w tych kolorowych pismach, pełna ploteczek i skandali. Ponieważ w czasie rozmowy zorientowała się, że nie mogłaby pisać tak, jakby chciała, nie podjęła tej pracy i nadal jest na lodzie. Mamy tutaj do czynienia z wyborem sumienia u osoby, której zależy na pracy, na karierze. Dlatego warto pamiętać, że dla takich ludzi pracujących w mediach bardzo ważne jest nasze wsparcie, opinii publicznej, czy też to, jak się zachowujemy, jak świadczymy i jak mówimy publicznie o tym, co jest dobre, a co złe. To wzmacnia osoby wypowiadające się publicznie. Jeśli my ujawniamy to, jakimi wartościami żyjemy, to ludzie chętniej ujawniają swoje wartości i to dobro, które mogliby czynić. Postępowanie zgodne ze swoim sumieniem inspiruje innych ludzi do podobnego postępowania.

Sławomir Ratajski

Prawdę mówiąc, nie wiem, od czego zacząć. Poruszono tu już wiele wątków i to w różnych kontekstach. Jedno wydaje się najistotniejsze: co to znaczy działać zgodnie ze swoim sumieniem? Przede wszystkim trzeba to sumienie kształtować w sobie i rachunek sumienia nie powinien być robiony raz na tydzień przy okazji niedzielnej Mszy świętej, tylko codziennie wieczorem, żeby następnego dnia starać się jeszcze lepiej pracować ze swoim sumieniem. Trzeba robić wszystko, co możliwe, zgodnie z sumieniem katolika, żeby siebie formować zgodnie z tym, co przekazuje nam Kościół katolicki, a więc dbać o prawość swojego sumienia. Prawdę mówiąc, trzeba ufać. Nasze sumienie jest najistotniejszym wyznacznikiem, tylko trzeba słyszeć ten głos i umieć go rozpoznać.

Świat współczesny dostarcza wielu wyzwań na każdym kroku. Ja działam w zasadzie na styku różnych pól. Z jednej strony, jestem artystą malarzem, a więc działam w kontekście sztuki współczesnej, gdzie preferowanymi tendencjami są te, które wywodzą się z postmodernizmu i neomarksizmu. Ale czy to znaczy, że mamy potępiać tych wszystkich malarzy, którzy chcą zdobyć sławę kierowani swoją pychą, która wodzi nas na manowce? Czy ja nie powinienem kierować się zasadą „miłuj bliźniego swego jak siebie samego” i mieć szacunek do drugiego człowieka jako do osoby i szukać dobra w je-



Sławomir Ratajski (z mikrofonem), dalej na lewo Zofia Ratajska, Peter Whiskerd-Węgorzewski, Alicja Węgorzewska-Wihiskerd i ks. Włodzimierz Kwieciński

go wnętrzu i tak, jak mówiła Zosia, moja żona, znajdować dobro tam, gdzie on sobie nawet nie zdaje sprawy. Bo twórczość artysty, jak powiedział święty Tomasz, trzeba związać z jego osobą.

Prowadzę również zajęcia, jako profesor, na Akademii Sztuk Pięknych, między innymi zajęcia seminaryjne dotyczące estetyki. Nie mogę uczyć o estetyce dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, nie ucząc postmodernizmu i neomarksizmu. Ale w jaki sposób to przedstawiam? Tak, żeby być w zgodzie ze swoim sumieniem, a jednocześnie nie zamykając drzwi do wiedzy, która jest niezbędna, żeby funkcjonować we współczesnym świecie i żeby umieć rozpoznawać rzeczywistość. Należy też wiedzieć, jakim językiem mówią media, co mówią i co mogą powiedzieć i jakie treści mogą przekazać. Media mają swój specyficzny język. Moje sumienie podpowiada mi, by uczyć ludzi języka medialnego, żeby mogli wypowiedzieć się. Jest to następna kwestia odpowiedzialności każdego z nas, każdego z katolików, żeby jego głos był słyszany, żeby ten głos dotarł do ludzi, którzy nie wiedzą, że tak można. W sztuce współczesnej jest wielu artystów, którzy nie wstydzą się swego pochodzenia intelektualnego i swojego pochodzenia jako ludzie

wiary. Są ludzie, którzy wystawiają swoje prace we współczesnych muzeach i którzy ewidentnie są rozpoznawani jako ludzie niosący w sobie idee oparte na zasadach chrześcijańskich, ale czy ktoś o tym wie? Czy nie wrzuca się wszystkich do jednego worka?

Następnym moim polem działalności jest dyplomacja, no i w tym momencie już zupełnie rozkładam ręce. Bo co może mieć wspólnego artysta, estetyk i dyplomata? Co jest racją działalności dyplomaty? Czy jestem nim „ja jako dyplomata”, czy racja stanu, czy państwo, które reprezentuję? Może są sytuacje, gdzie państwo wygra, w momencie kiedy ja przegram jako człowiek – to jest prawdziwy dylemat. Tak jak w firmie pytaniem jest, czy jeżeli ja narażę firmę na utratę zysku po to, żeby wygrać jako człowiek, czy jestem lojalny i solidarny z pracownikami tej firmy?

Świat poszedł w jakąś dziwną stronę może dlatego właśnie, że zapomniano, żeby uczyć chrześcijańskiego punktu widzenia sumienia, niezależnie od kontekstu współczesności. Ewangelia jest przesłaniem zawsze nowym i powinniśmy się zastanowić, czy naszym wyzwaniem, zgodnie z sumieniem, nie jest rozpoznawanie obecnej rzeczywistości i uczestniczenie w jej kształtowaniu?

Sprostac temu wyzwaniu możemy pod warunkiem, że sumienie będzie przez nas kształtowane, że dokonamy wysiłku jako ludzie, po to, żeby nasza osoba jako człowieka, jako katolika mogła również zainteresować innych, którzy szukają. A muszę państwu powiedzieć, że w obszarze sztuki, jak i dyplomacji prawie wszyscy szukają. Chodzi tylko o to, żeby pomóc im to odnaleźć, a nie zasłaniać się wstydem, kłopotami z własnym sumieniem, wycofywaniem się gdzieś w bezpieczne schronienia, żeby mnie to nie dotyczyło, żeby nie zabierało głosu.

Jeżeli zabiera się głos, to powinien on być na tyle przemyślany, by trafić nim do tego, który do tej pory nie miał do czynienia z czymś



Sławomir Ratajski

takim, a który się od razu nie odcina, oraz próbować wprowadzić swoją myśl do obiegu medialnego. Starać się zachęcić czy to przez działalność artystyczną, czy to przez działalność finansową, czy też przez działalność publicystyczną – jakakolwiek jest nam dostępna. Jest to wielkie zadanie dla nauczycieli. Jako nauczyciel akademicki w zakresie sztuki, jeżeli staję przed dylematem, że ktoś robi eksperymenty, np. ze swoją nagością i przekracza dopuszczalne granice, to pytam go, po co to robi. Czy dlatego, żeby odnaleźć coś wartościowego dla człowieka, czy po to tylko, żeby zaszokować, pokazując zakres swoich możliwości. Pytam, czy twoje działanie jest dla człowieka szkodliwe czy dobre. Trzeba też sobie postawić pytanie, jaki jest cel, czemu ma to służyć. Jeżeli ma służyć pysze, własnemu egoizmowi, to nasze sumienie mówi, że nie jest to zgodne z tym, co wyznajemy i z czym się zgadzamy. Może to jednak wynikać z miłości do drugiego człowieka, z chęci jego poznania w kontekście współczesności. Z tego typu dylematami spotykam się na co dzień, a więc i z koniecznością znalezienia własnej na nie odpowiedzi.

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Myślę, że żyjemy w świecie, w którym pojęcie sumienia się zindywidualizowało. Wspominał o tym Jan Paweł II w encyklice *Veritatis Splendor*. Problematyka sumienia w tejże encyklice jest bardzo głęboka i wskazuje, że sumienie musi być zawsze w zgodzie z prawdą i wolnością. Myślę, że zagubienie moralne współczesnych ludzi jest wynikiem kryzysu sumienia. Kryzysu, który coraz bardziej się ujawnia. Polega on na tym, że umysł ludzki zatracza zdolność rozeznawania tego, co jest dobre, a co złe, a wola podąża śladem pseudowartości czy też antywartości. Ta problematyka coraz dotkliwiej dotyka życia, a szczególnie współczesności, która w naszym kraju ma swoje korzenie chrześcijańskie. Niebezpieczny wydaje się rozdźwięk, który jest między tradycyjnym nauczaniem Kościoła na temat sumienia a pewnymi poglądami, nawet teologicznymi, które są rozpowszechniane w seminariach, wydziałach teologicznych i w niejednej świątyni.

Ojciec Święty, błogosławiony Jan Paweł II podkreślał, że sumienie, żeby spełniało swoje zadania, musi być nieustannie formowane w prawdzie. Właśnie o tej formacji sumienia wspominał pan Sławomir. Musimy kształtować w sobie sumienie, bo sumienie to

jest nasza ostateczna instancja, która może pomóc osądzić nasz konkretny czyn. Współczesny świat zagubił nie tylko pojęcie sumienia, głosu wewnętrznego, ale też pojęcie grzechu, a one są nierozdzielnie ze sobą związane. To pojęcie jest dzisiaj odrzucane, traktowane jako niewłaściwe, jako zewnętrzne, a przecież w formacji chodzi o to, by być wrażliwym na zło i wrażliwym na dobro. Według lubelskiego teologa księdza Bartnika „na miejscu Golgoty rozsiadła się etyka laika nieznająca idei grzechu”. Tym zdaniem chciałbym sprowokować dyskusję, jak w dzisiejszym zlaicyzowanym świecie, postmodernistycznym, kiedy prawda i dobro wydaje się pojęciem subiektywnym, możemy żyć w zgodzie z własnym sumieniem.



Włodzimierz Kweciński

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Chciałabym podzielić się informacją, którą dzisiaj dostałam pocztą elektroniczną z Australii od osoby, która otrzymuje i czyta na bieżąco teksty naszych Konwersatoriów. Osoba ta opisuje pewien przypadek. Miała znajomą, która miała już dwoje dzieci i między tymi dziećmi dokonała kilku aborcji. Gdy zapytała jej, czy się nie bała, ona jej odpowiedziała, że oczywiście się bała i zawsze przed aborcją odmawiała trzy Zdrowaś Mario!!! Jest to chyba dobry przykład niewykształconego sumienia.

Druga sprawa, o której chciałam powiedzieć, to taka, że wrażliwe sumienie, które podpowiada, gdzie człowiek zbłądził, co trze-

ba poprawić, ułatwia porozumienie z innymi ludźmi. Zilustruję to na przykładzie relacji z dziećmi lub z wnukami. Jeżeli w całkowitej prawdzie potrafię z nimi rozmawiać, mówiąc o swoich ograniczeniach, popełnionych błędach itp., powoduje to, że dzieci i wnuki mówią tak samo prawdziwie o sobie. To otwiera możliwości kontaktu z nimi. Dotyczy to również relacji z innymi ludźmi. Wielokrotnie tego doświadczyłam. Jeżeli w jakiejś rozmowie mówię o sobie prawdziwie, mówię o swoich minusach i plusach i dzielę się tym z drugą osobą, to ona, z pozoru całkowicie zamknięta, otwiera się i zaczyna mówić o sobie. Oczywiście wymaga to ode mnie pełnej dyskrecji, ale buduje głębsze relacje między nami. Często jest to początek późniejszej przyjaźni. Może to być drobnutki nasz wkład w to, aby świat stawał się lepszy.

Bogdan Motelski

Chciałbym odnieść się do publikatorów, które mają za zadanie sprzedać reklamę. Robi się przerwy między reklamami i puszcza się program, albo film, który ma spowodować, że ludzie włączając ten program oglądają potem reklamę. Program ten musi być spójny z reklamami, bo jeżeli przekaz programu będzie, powiedzmy, żeby żyć ascetycznie, nie kupować zbyt wiele, a potem będzie reklama, żeby kupować, to w przekazie zaistnieje wyraźna sprzeczność. Tego typu programy nie mają więc prawa bytu między reklamami. Z drugiej strony, jeżeli człowiek jest dobrze uformowany, to patrzy na te przekazy z dystansem. Odpowiedzialni za reklamy muszą coś zrobić, aby potencjalny widz tego dystansu nie miał. Trzeba zmniejszyć ilość człowieka w człowieku, wtedy jest łatwiej manipulować i łatwiej jest sprzedać reklamę. Człowiek, który jest uformowany na niskim poziomie, będzie brał za dobrą monetę prawie wszystko.

Mowa była wcześniej o tym, żeby człowiek badał ten dystans. W naszej rzeczywistości często się z tym walczy. Urodziłeś się taki, to taki jesteś, trzeba się z tym pogodzić. Nie wymagamy, żebyś nad sobą pracował. Wymaga się, żeby wszyscy byli tolerancyjni wobec takich ludzi, ale nie są tolerancyjni wobec nietolerancyjnych. To jest taki proces dydaktyczny w przedszkolu, w szkole, w rodzinie. Wpływa się różnymi sposobami, żeby ten proces formacyjny był zakłócany. Na przykład, mobilność siły roboczej. To osłabia oczywiście więzy rodzinne. Człowiek ma potrzeby fizycz-



Bogdan Motelski (z mikrofonem)

ne, fizjologiczne i właśnie te reklamy mają je zaspokoić. Ale są potrzeby człowieka kulturalne i duchowe, których nie da się sprzedać i one są kompletnie nieciekawe dla reklamodawców. A zaspokajanie tych potrzeb sprawia, że jest więcej człowieczeństwa w człowieku.

Trzeba zwracać uwagę nie tylko na to, co jest przekazywane, ale także jak to jest przekazywane. Jeśli są przekazywane informacje, to często – mimo że jest to informacja prawdziwa – w rzeczywistości jest to tylko jej fragment. Na tym polega manipulacja tą informacją. Informacja niepełna nie jest prawdziwa. Z drugiej strony, na przykład informacja o ostatnim wypadku kolejowym. Zapytano gapiów i większość z nich orzekła, że winny był maszynista. W podawanej informacji nie jest ważna rzeczywistość, fakty, ekspertyzy, ocena fachowców – ważna staje się opinia ludzi. Powstaje informacja: „większość uważa, że”, a jak szuka człowiek informacji o faktach, to ich nie ma. Jest tylko informacja o opiniach, którą wielu ludzi błędnie uznaje za informację o faktach.

Urszula Kossowska-Cezak

Chciałabym opowiedzieć o konkretnej sytuacji, która naraziła mnie na największy konflikt sumienia w ciągu mojej czterdziesto-

letniej pracy nauczyciela akademickiego na Wydziale Geografii Uniwersytetu Warszawskiego. Kiedy wracam myślą do tej sytuacji, to jestem pewna, że gdybym się znalazła w takiej sytuacji po raz drugi, tak samo nie wiedziałabym, jak postąpić. Miałam dwugłos sumienia, po prostu trudno mi się było zdecydować.

Było to już dość dawno. Prowadziłam wtedy kursowy wykład z meteorologii na pierwszym roku, który kończył się egzaminem, i jak to zwykle bywa, nie wszyscy ten egzamin zdawali. Trafił się jeden taki delikwent, który nie zdał egzaminu i nie zdał poprawki. Wtedy nie wpisałam mu oceny, powiedziałam, żeby się douczył i przyszedł jeszcze raz. Przyszedł drugi raz, znów nic. Był po prostu beznadziejnie tępy i niekomunikatywny. On nie tylko nie umiał, ale nie rozumiał, co do niego mówię. W związku z tym, w zgodzie ze swoim sumieniem postawiłam mu dwóję i to dwóję tak uczciwą, jak rzadko kiedy. Za parę dni zjawiała się u mnie jego ciotka, zapłakana, zalana łzami, z opowieścią, że ten chłopak, rzeczywiście mały, chudy i blady, jest sierotą i ona go wychowuje. Jedno z rodziców umarło w sposób naturalny, drugie popełniło samobójstwo, właśnie bardzo niedawno temu powiesiła się jego siostra, a ta moja dwójka oznacza, że on będzie skreślony z listy studentów, czyli po pierwszym roku skończy karierę studencką. I ta ciotka zapłakana mnie błagała, żebym mu postawiła trójkę, dlatego że ona nie wie, co się z nim stanie, jeżeli on zostanie wyrzucony ze studiów. Nie chciałam brać na swoje sumienie tego, że może chłopak targnie się na swoje życie, i postawiłam tę trójkę. Zastrzegłam jednak, że to nie jest ocena ostateczna, że zawieramy umowę dżentelmeńską, że on się tej meteorologii nauczy, przyjdzie i ten egzamin zda, żebym wiedziała i żeby on wiedział, że tej trójki nie postawiłam mu całkiem w prezencie. On obiecał, że oczywiście przyjdzie. Minał miesiąc jeden, drugi i chłopak się nie pojawił. Kiedyś go przypadkiem spotkałam i pytam: panie Grzesiu, co z tym egzaminem? – Ależ tak, tak, pamiętam, przyjdę. Oczywiście nigdy nie przyszedł, egzaminu nie zdał, nawet nie wiem, na jaką poszedł specjalizację. Wiem, że studia jakoś skończył, mam jednak wrażenie, że oceny były też wyżebrane i wypłakane. Trudno, nie będę w to dzisiaj wnikała.

Zetknęłam się z nim kilka lat później w oddziale warszawskim Polskiego Towarzystwa Geograficznego, gdzie byłam członkiem komisji rewizyjnej, a on był, ku mojemu zdumieniu, sekretarzem.



Urszula Kossowska-Cezak (z mikrofonem)

To była funkcja dosyć odpowiedzialna, a ja, znając jego możliwości intelektualne, nigdy bym go nie posądziła, że on z taką funkcją da sobie radę. Mimo że byłam od niego sporo lat starsza, on zaraz zaczął do mnie po kumpelsku mówić „pani Urszulo”. Zacisnęłam zęby, kadencja się skończyła, więcej człowieka w życiu nie widziałam. Dziś wydaje mi się, że uległam szantażowi jego ciotki. On może wcale by sobie żadnej krzywdy nie zrobił, poszedłby na inne studia, może do szkoły pomaturalnej, zdobyłby zawód na miarę swoich możliwości intelektualnych i jego życie potoczyłoby się zupełnie inaczej.

I historia druga. Do wniosków, które podałam wcześniej, doszłam po kontakcie z inną naszą studentką. Była to dziewczyna bardzo słabo się ucząca. Kiedy doszła do czwartego roku, czyli do pierwszego roku specjalizacji, wybrała klimatologię. Średnią ze studiów miała 2,7. Ona powinna być dawno wyrzucona ze studiów, tylko wciąż ktoś jej dawał jakąś szansę. Potem zaszła w ciążę, pracowała, zniknęła ze studiów. Muszę jednak podkreślić, że bardzo przyzwoicie zwróciła pobrane materiały do pracy magisterskiej. Niestety, należy to do rzadkości. Przeważnie studenci niekończący studiów znikają bez oddania pożyczonych prac czy innych materiałów. Ona znalazła się przyzwoicie.

Kilka lat później spotkałam tę dziewczynę na ulicy. Ona mnie dobrze знаła, gdyż miałam być opiekunka jej pracy magisterskiej. Powiedziała mi wtedy tak: „mam wielki żal do władz wydziału, że mnie nie wyrzucono po pierwszym roku, bo poszłabym na inne studia lub do jakiejś ciekawej pracy, a tak straciłam parę lat na nieciekawe dla mnie studia, których nie skończyłam”. I teraz proszę mi powiedzieć, czy ja stawiając tę trójkę chłopakowi zrobiłam dobrze czy źle.

Peter Whiskerd-Węgorzewski

Myślę, że pani miała rację i postąpiła słusznie – wierzy pani w dobre intencje ludzi. Niestety, zbyt mało z nas wierzy w dobre



Peter Whiskedrg-Węgorzewski (z mikrofonem) wśród panelistów

intencje, przeważa nieufność do ludzi. Jest to efekt polskiej historii. Z tego powodu myślę, że postąpiła pani słusznie.

Zofia Ratajska

Bardzo to ważne, co państwo powiedzieli – wierzyć w dobre intencje. Musimy się tego uczyć.

Sławomir Ratajski

Chciałem się odnieść do kilku kwestii, które zostały tutaj poruszone. Pan zwrócił uwagę na jedną rzecz. Chodzi o telewizję. Metody działania mass mediów zostały opisane już w latach trzydziestych, a potem w latach pięćdziesiątych filozofowie, estetycy i medioznawcy opisywali te metody dotyczące pierwszego zadania, jakim było sprzedanie towaru. Wykorzystanie środków w celach handlowych, czyli z zyskiem.

I wracamy do tego samego, co mówiłem już poprzednio. Natomiast u nas mieliśmy szczęśliwie ten okres propagandowy za komunistów. Nie porównywałbym tych różnych okresów. Nie nauczyliśmy się tych reklam. Jesteśmy społeczeństwem bezbronnym



Zofia i Sławomir Ratajscy

wobec bardzo wielu wyzwań współczesności, jakie przyszły do nas z falą świata, do którego tęskniliśmy. Jesteśmy nieodporni na reklamę, na język reklamy, na język współczesnych mediów, na pokusy finansowe, na respektowanie prawa. „Czy jadąc 50 kilometrów na godzinę, zgodnie ze znakami i tamując ruch, działamy w zgodzie z sumieniem, czy powinniśmy jechać tak jak inni? Dlatego że większość społeczeństwa jest nastawiona na łamanie przepisów drogowych. Dlatego że większość społeczeństwa jest nastawio-



Sławomir Ratajski

na na brak respektowania autorytetu władzy. Czy to jest zgodne z naszym sumieniem, czy nie?”

Jesteśmy młodym społeczeństwem demokratycznym, od 20 lat, ale mamy wielką historyczną pamięć, która czasem przesłania nam współczesność. Czy myślenie o przyszłości w sumieniu katolika jest zgodne z jego poczuciem ewangelizacyjnym, czy nie? Zweryfikowanie naszego sumienia i podjęcie dyskursu ze swoim sąsiadem, kolegą, wykładowcą i zwrócenie mu uwagi na pewne rysy czy nie jest naszym zadaniem również w tej chwili? Bo możemy być zadowoleni – „o, tak myślą wszyscy inni”, ale czy to jest zgodne z naszym sumie-

niem, które staramy się kształtować? Czy poczucie prawdy to nie jest pierwszy obowiązek, który powinniśmy w sobie kształtować, lub czy szanowanie autorytetu władzy, od którego zależy istnienie państwa, nie powinno być zgodne z naszym sumieniem? Czy kolega niemiecki pozwoliłby sobie na pewnego typu wycieczki w stronę władzy, na które pozwala sobie kolega polski? Pozwoliłem sobie na to porównanie w związku z wcześniejszymi wypowiedziami państwa, choć nie wiem, czy to jest bezpieczne. Obawiam się, że nie do końca. Staram się mówić w prawdzie, a prawda w dyplomacji to jest cudowna wartość, o której wszyscy wiedzą, ale nie do końca uważają za stosowne mówienie o tym.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiązując do tego, co mówiła wcześniej Urszula, zauważę, że każdy z nas ma wiele takich dylematów i zadaje sobie pytanie, czy może zaufać, czy nie. Pamiętam kiedyś na Uniwersytecie podeszła do mnie pani, którą znałam z administracji, i spytała się, czy mogę jej pożyczyć pewną kwotę pieniędzy. Wtedy byłam młodą asystentką, zarabiałam niewiele i podana kwota była dla mnie znacząca.

Wspomniana osoba obiecała, że na następny dzień mi ją odda. Poyczzonej kwoty nie otrzymałam następnego dnia i okazało się, że ta pani przestała już pracować w administracji. Pomyślałam sobie wtedy, że nie żałuję swego czynu, ale smutno mi jest, że zostałam oszukana. I pomyślcie sobie państwo, minął chyba rok, może więcej, idąc na Uniwersytet, wstąpiłam do kościoła siostr wizytek. Podeszła tam do mnie ta pani, przepraszając gorąco, że nie wywiązała się wtedy z obietnicy, ale była w bardzo trudnej sytuacji materialnej i nie miała z czego oddać następnego dnia, ale teraz ma i mi oddaje. Pomyślałam sobie – chwała Bogu, że jej wtedy zaufałam.

Spotykamy się jednak niestety i z innymi sytuacjami. Kiedyś przyszła do nas do domu jakaś kobieta, mówiąca, że jest naszą sąsiadką, że ma chorego syna i lekarz z pogotowia kazał jej natychmiast wykupić lek, a jej zabrakło trochę pieniędzy. Obiecała, że odda, gdy mąż wróci z pracy. Niestety, nie oddała ani tego dnia, ani w następne. To jest trochę tak, jak mówił znajomy ksiądz, że daje jałmużnę co piątemu żebrzącemu, bo on nie wie, ilu żebraków rzeczywiście wymaga wsparcia, a resztę zostawia Panu Bogu, żeby przysłał w danej chwili tych naprawdę potrzebujących. Trzeba więc tak do tego podchodzić i myślę, że nigdy nie trzeba z założenia uważać, że ktoś chce nas oszukać.

Ewelina Pulik

Mówimy o tym, aby słuchać sumienia, jednak uważam, że trzeba mieć na uwadze to, że czasami nasze sumienie może chorować. Czasami może ono popadać w pewne skrajności lub może być zaciężone przez różne okoliczności: społeczne, polityczne lub poglądy. Myślę, że o pewnych rzeczach łatwo jest mówić dopiero wtedy, kiedy spojrzysz na to z pewnego dystansu i obiektywnie.

W życiu są pewne sytuacje, w których człowiek zaczyna się zastanawiać nad tym, czy warto jest żyć w zgodzie z sumieniem, bo wiem takie życie często nie przynosi wymiernych korzyści, czasem utrudnia znalezienie pracy, zdobycie wymarzonych rzeczy, odsuwa szansę na „normalne” życie. W dzisiejszym świecie, niestety, liczy się to, jak człowiek wygląda, jaką ma zasobność portfela, jakie ma kwalifikacje, a przede wszystkim, jakie ma znajomości, bo bez tego trudno jest cokolwiek załatwić i zdobyć, między innymi dobrą pracę. Okazuje się, że życie w zgodzie z sumieniem nie jest takie ła-



Ewelina Pulik

twe, a czasami niemożliwe. Kiedy powiemy kobiecie, która ma czwórkę czy piątkę dzieci i męża alkoholika i która nie ma na chleb, aby żyła w zgodzie z sumieniem, co to dla tej kobiety tak naprawdę znaczy?

Jan Paweł II w książce „Pamięć i tożsamość” pisał, że trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że w ludzkiej naturze są skłonności do dobra i do zła, a skłonność do zła została w nas jako dziedzictwo grzechu pierworodnego. Wydaje mi się, że zapominamy o tej ważnej sprawie. Mimo że chcemy być dobrymi ludźmi i pogłębiać w sobie człowieczeństwo i mimo że jako drogowskaz mamy przykazania dekalogu, sami z siebie niewiele możemy, bo skłonność do zła czasami bierze w nas górę. Musimy w takich sytuacjach odwoływać się do Boga i prosić Go, żeby uczył nas człowieczeństwa, żeby nas wspierał. Wydaje mi się, że powinniśmy sami pracować nad swoimi słabościami, nad swoim charakterem, ale powinniśmy również dać Bogu szansę działać w nas tam, gdzie sami jesteśmy zbyt słabi.

Ks. Włodzimierz Kwieciński

Święty Tomasz mówił, że sumienie jest to akt rozumu praktycznego, czyli jest umiejętnością rozpoznanie błędu. Święty Tomasz sformułował też taką tezę, że nieposłuszeństwo nawet błędnemu

sumieniu jest grzechem. To znaczy, że trzeba się opierać na wewnętrznym przekonaniu, nawet jeżeli byłoby ono błędne. W teologii moralnej wyróżnia się sumienie: szerokie, błędne, wąskie, faryzejskie, skrupulanckie, fałszywe, uwikłane itp. Sumienie nigdy nie jest do końca obiektywne, ale tak jak pani wspomniała, możemy odwoływać się do dziesięciu przykazań, które są dla nas chrześcijan drogowskazem.

Sumienie może być kształtowane przez religię, nauczanie Kościoła. Państwo może też kształtować sumienie, a równie dobrze i media.

Jan Cichy

Chciałbym wrócić do tematu, który uprzednio został poruszony, mianowicie konsumpcyjnego trybu życia. Parafrazując japońskiego mistrza Masutatsu Oyamę, łatwy tryb życia psuje ducha. Obecnie, w dwudziestym pierwszym wieku, kiedy dobra konsumpcyjne są na wyciągnięcie ręki, życie jest bardzo ułatwione, w związku z tym sumienie ulega uśpieniu, zapomnieniu i zepsuciu. Lansowany model życia jest łatwy, przyjemny i dostatni, ale nie ma w nim miejsca na sferę duchową. Wyścig szczurów, czyli pogoń za pieniądzem i karierą nie pozostawia czasu na kształtowanie sumienia. Rodzice, zamiast spędzać czas z dziećmi, wolą kupić im zabawkę lub wynająć opiekunkę, żeby zajęła się dziećmi, ponieważ oni nie mają czasu. Muszą zarabiać, aby przeżyć i utrzymać określony standard życia. Kościół traci również na znaczeniu, ponieważ jeśli ktoś się powołuje na Kościół, nazywany jest „ciemnogrodem”, osobą, która nie jest na bieżąco. W związku z tak ewidentnym zanikiem wartościowych autorytetów, co może zdziałać młodzież, której potrzebny jest wzór do naśladowania?

Sławomir Ratajski

Pan poruszył bardzo ciekawy temat. Nasuwa mi się pytanie, czy jeśli sami jesteśmy ludźmi sumienia, to czy musimy ulegać presji czy pokusom życia, jakie wybierają ludzie kierujący się innymi zasadami, czy raczej dawać przykład, że można inaczej? Co wcale nie oznacza potępienia tego świata. Po prostu pozostaniemy wierni sobie. Przecież mamy do wyboru całą paletę możliwości. Możemy wybrać takie życie lub inne. My robimy, co sami możemy, a Bóg dokonuje reszty. Bóg jest najważniejszy.

Nie możemy uogólniać. Jest wiele możliwości. Mamy katolickie uniwersytety, katolickich intelektualistów, mamy do wyboru sposób życia zgodny z sumieniem katolickim. Nie możemy łączyć wszystkiego. Musimy wybierać, czy chcemy osiągnąć sukces, zaistnieć w mediach, zrobić karierę? W jaki sposób, za jaką cenę? Benedykt XVI w encyklice *Caritatis in Veritate* wskazuje drogę katolikom, jak działać we współczesnym świecie. Czy ktoś z państwa zna tę encyklikę?

Rozumiem, że jeżeli kogoś nie stać na przeżycie, to jest skrajna sytuacja. Bóg doświadcza nas w różnych sytuacjach. Bardzo często ci, którzy zrobili karierę, mają za sobą ciężkie lata chorób, doświadczeń i tak dalej. Są to wybory, których musimy na bieżąco dokonywać. Nie możemy przyjmować wzorców tego świata, które są przez kogoś propagowane, jednocześnie będąc w zgodzie ze swoim sumieniem ukształtowanym po katolicku. Trzeba dokonać wyboru.

Alicja Węgorzewska-Whiskerd

Można natomiast żyć po katolicku, będąc celebrytą. Wtedy trzeba mówić o tym głośno, nie wstydzić się.

Sławomir Ratajski

To jest zadanie i traktowanie poważnie naszej pozycji. Bycie katolikiem jest pewnym zadaniem. Na przykład, dostajemy do ręki instrument, którym może być sława. Jan Paweł II był sławnym człowiekiem, ale czy on był sławny dla siebie, czy po to, żeby ewangelizować świat? To są pytania. Pan Bóg wybiera, a my jesteśmy Jego narzędziami.

Ks. Włodzimierz Kwieciński

To jest dobra puenta na zakończenie tego spotkania. Albert Camus powiedział kiedyś, że w człowieku więcej rzeczy zasługuje na podziw niż na pogardę. Właśnie dzięki temu, że mamy w sobie wewnętrzny osąd, że możemy dokonywać osądu własnego postępowania, odczytując to jako głos Boga w nas samych.

Pozwólcie państwo, że na koniec zacytuję mój ulubiony wiersz jako przesłanie herbertowskie. „Przesłanie Pana Cogito” niech będzie takim zamknięciem, a jednocześnie otwarciem na problematykę sumienia:

„Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu
po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę
idź wyprostowany wśród tych co na kolanach
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
ocalałeś nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo
bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny
w ostatecznym rozrachunku jedynie to się liczy
a Gniew twój bezsilny niech będzie jak morze
ilekroć usłyszysz głos poniżonych i bitych
niech nie opuszcza ciebie twoja siostra Pogarda
dla szpiclów katów tchórzy – oni wygrają
pójdą na twój pogrzeb i z ulgą rzuca grudę
a kornik napisze twój uładzony życiorys
i nie przebaczą zaiste nie w twojej mocy
przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie
strzeż się jednak dumy niepotrzebnej
ogładał w lustrze swą błazeńską twarz
powtarzaj: zostałem powołany – czyż nie było lepszych
strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy
światło na murze splendor nieba
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy
czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę
powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz
powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechem zabójstwem na śmietniku
idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów
Bądź wierny Idź”

(ZBIGNIEW HERBERT – *PRZESŁANIE PANA COGITO*)

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki

C.d. dyskusji uzyskany drogą korespondencyjną

Marianna Łacek (Australia)

„Słyszac głos Pana, serc nie zatwardzajcie” – powtarzaliśmy parę tygodni temu refren Psalmu Responsoryjnego. To właśnie Głos Pana odzywa się do każdego z nas poprzez sumienie. Jak tu jednak słuchać, kiedy wokół tyle pośpiechu, tyle wrzawy, pogoni za... no właśnie, za czym? Za tym, żeby było lepiej, wygodniej, weselej. A tu wcale nie jest. Po trwającym nawet cały nieraz wieczór szale dyskotekowym, z najgłośniejszą z możliwych muzyką, po towarzyskim spotkaniu, zakrapianym alkoholem, przychodzi chwila ocknięcia, próba powrotu do normalności. Najczęściej niesie to niezadowolone z siebie, a więc wyrzuty sumienia. Trzeba je zagłuszyć – mocniejszą dawką, głośniejszą muzyką. Na dodatek władze świeckie tworzą i egzekwują prawa nie zawsze zgodne z sumieniem człowieka.

Kościół absolutnie nie chce pozbawiać człowieka radości. Wręcz przeciwnie – śpiewamy „Radujmy się i weselmy w Panu”.

Tak samo państwo/rząd nie chce pozbawiać swoich obywateli radości. W czym więc tkwi zagadka, że ludzie mają coraz więcej problemów, że tak często nie mogą sobie z nimi poradzić, kończą tragicznie, targając się na własne życie?

Moje pokolenie doskonale pamięta rozpowszechnione w Polsce w drugiej połowie ubiegłego wieku prawo kobiet do aborcji. Pamiętam rozmowę z uważającą siebie za wierzącą niespełna trzydziestoletnią kobietą, która nie kryła się z tym, że pomiędzy dwójkiem urodzonych dzieci kilkakrotnie poddała się zabiegowi aborcji. Na moje pytanie, czy nie bała się, które właściwie miało być wprowadzeniem do rozmowy na temat pozbawiania życia nienarodzonego dziecka, ona przerwała mi, mówiąc: oczywiście, że się bałam, za każdym razem, czekając w kolejce, odmawiałam co najmniej trzy „Zdrowaś Mario”.

Dalsza dyskusja sprowadzała się do jednego: księża zawsze będą mówić, że to źle, ale jakby tak było, to i lekarze by tak samo mówili. Nawet środki antykoncepcyjne w aptece kosztują, a usunięcie ciąży państwo gwarantuje za darmo.

Podalam ten drastyczny przykład z Krakowa, z przełomu lat 60. i 70. Chodzi mi o ustanawianie praw świeckich. Coraz częściej mówi się, że należy prawnie usankcjonować istniejącą już sytuację. Argumentem są statystyki – tyle a tyle kobiet pokątnie poddaje się zabiegowi aborcji, taki a taki procent ludzi mieszka ze sobą bez ślubu, wśród nich ileś tam procent stanowią pary tej samej płci itd.

Tak było od wieków. Ludzka natura jest ułomna i to, co w danej chwili wydaje się być jedynym rozwiązaniem, z upływem lat staje się życiową pomyłką. Na szczęście, my chrześcijanie wierzymy w Miłosierdzie Boże.

Ustanawiając jednak prawa przyzwalające na tego typu, sprzeczne z naturą, postępowanie, wprowadza się po prostu zamęt w ludzkich sumieniach. Nazwijmy zło złem. Nie potępiajmy człowieka, który się w życiu potknął. Pomóżmy mu się podźwignąć – ale nie ludźmy się, że prawnie usankcjonowane Zło stanie się Dobrem.

Sofia Okolko (Ukraina)

Sumienie!

Jakże nieuniknioną jest władza twoja,

Przestępców groza, niewinnych pocieszyciel.

Och, sumienie! Naszych czynów prawo i oskarżyciel,

Świadka i sędziego ostoja!

ŻUKOWSKIJ WASILIJ ANDRIEJEWICZ, 1807 (ROSJA)

Każdego dnia słyszę wewnętrzny głos sumienia i nigdy nie byłam zdziwiona, że go słyszę. Jako dziecku trudno było mi ten głos rozpoznać... przypominał napomnienia ojca czy matki, utwierdzając moralność mojego bytu. Ale bywało i tak, że nawet słuchając tego głosu, nie szło się za jego wskazaniem. Był głos, ale się go nie słuchało! Powodem tej „niezgody” był chyba niepokój, lęk, obawa, aby nie znaleźć się w oczach otoczenia w „niezręcznej” sytuacji.

Dziś mogę powiedzieć z przekonaniem, że dzięki przekazanym mi przez rodziców duchowym wartościom, nauczyłam się słuchać tego głosu. Bogu dzięki!

Pięć lat temu przeprowadziłam się z Jałty na studia licencjackie do innego miasta. Nowe otoczenie, nowe towarzystwo, nowi przy-

jacie. Mieszkaliśmy w akademiku, ze studentami z różnych krajów i miast, i z różnymi zasadami życia i rozumieniem cnoty, czy nawet zwykłej kultury. Pierwszy rok był dla mnie trudny, ale był to też rok mojego, a raczej „naszego”, zwycięstwa. Dlaczego „naszego”, będzie dalej.

W większości byłam otoczona studentami, którzy kochali się w pustostłowi, picciu i spędzeniu, w ich mniemaniu, ciekawego życia. Było to całkowicie sprzeczne z moim spojrzeniem na życie i z tym, jak mnie wychowano. Zdałam sobie wtedy sprawę z konsekwencji, gdybym, nieposłuszna głosowi sumienia, dała się wciągnąć w ten zatracający rytm życia. Pamiętam, jak koleżanki i kole-dzy śmiali się z mojego wyboru odrzucenia tej „nieustającej rozrywki”.

Sumienie mówiło mi, że byłaby to zdrada tego, czego uczyli mnie rodzice i mój kościół. Była to też stała walka z pokusą. Ale miałam w tej walce silnego sprzymierzeńca – moje sumienie.

Dzisiaj mam już za sobą piąty rok studenckiego życia i pamiętam ten głos, który cieszył się wtedy wraz ze mną i mówił: „wygrałaś, jesteś na szczycie!” Teraz doświadczam szacunku i poważania od moich rówieśników; również tych, którzy wcześniej kusili mnie, chcąc sprowadzić „na manowce”. Wielu z nich zmieniło się i wybiera lepsze, prawe życie. Cieszę się tym bardzo i radość jest w moim sercu.

To nie było tylko „moje” zwycięstwo; ono było „nasze”, moje i mojego sumienia. Słuchany przeze mnie głos sumienia stał się dla mnie „pocieszycielem niewinnych” jak w cytowanych na wstępie strofach.

*Czego szukam
i do czego dążę w życiu?*



Cytaty

Paweł VI, *Obowiązek stałego poszukiwania Boga* (fragment, 20, 1968 r.)

Posłuchajcie tego prostego, choć może zaskakującego hasła: Musimy szukać Boga! Dlaczego szukać? O jakże długo trzeba by odpowiadać na to pytanie! Powinniśmy najpierw zastanowić się nad tym podstawowym faktem, że życie jest poszukiwaniem. Wszyscy ludzie czegoś szukają. Miłość, która charakteryzuje i wypełnia życie człowieka, jest poszukiwaniem. Życie określa się i mierzy według tego, czego ono szuka.

Dziś człowiek bardziej niż kiedykolwiek szuka rzeczy nowych, nowej pełni. Niepokój, który jest jedną z cech działalności naszych czasów, jest tylko stałym poszukiwaniem, żarliwym, zawsze interesującym, bardziej płodnym, a zarazem bardziej problematycznym, trudniejszym, a często bardziej zawodnym. Szukać, szukać – oto program kultury, nauki, pracy, polityki. Im więcej się znajduje, tym więcej się szuka. Im więcej się znajduje, tym bardziej pragnie się i ma się nadzieję znaleźć. Jest to dowód, że zawsze czegoś brak człowiekowi, że chce on i zawsze musi szukać. Nic mu nie wystarczy. Gdyby wszystko posiadał, szukałby jeszcze, gdyż człowiek jest tak ukształtowany. Musi wzrastać, musi zdobywać, musi wciąż rozszerzać swe poznanie. Nawet jeśli rozum tłumaczy, że należy się zadowolić małą ilością pewnych dóbr, to tylko dlatego, żeby skłonić go do pragnienia i posiadania dóbr wyższych, np. duchowych.

Chwilowo niech nam wystarczy pewne ostrzeżenie, które wywarło na nas poważne, a zarazem miłe wrażenie, gdy je przeczytaliśmy przed wielu laty na pewnej fotografii bardzo ożywionej ulicy dużego miasta holenderskiego. Wielki transparent rozwieszony ponad gorączkowym ruchem ulicy głosił wielkimi literami: Myślcie o Bogu!

Jakież zaskakujące, ale... mądre jest to przypomnienie skierowane do zagubionego w staraniu się o sprawy ziemskie świata... współczesnego. Myślimy o Bogu! Jest On zawsze blisko. Zawsze Go potrzebujemy.

Ks. Marek Dziewiecki, *Podsycanie pragnień* (fragmenty)

W sferze fizycznej różnice między ludźmi nie są wielkie. Niezwykłość i wyjątkowość człowieka rozgrywa się i decyduje gdzie indziej, a mianowicie w jego wnętrzu. Są ludzie, których wewnętrzny świat jest mały, karłowaty, prymitywny. Mieści się w nim jedynie agresja, nienawiść czy rozpacz. Są jednak tacy, których wewnętrzny świat zdumiewa, zachwyca i zaskakuje. Jest to bowiem świat, który przekracza ich cielesność oraz horyzonty życia na tej ziemi. Świat niezwykłych pragnień, aspiracji i ideałów.

Pragnienia i aspiracje można zdefiniować jako dążenie człowieka do określonego celu, który jawi się jako cenny. Dążenie to nie jest jedynie odruchowym impulsem, lecz stanowi przejaw świadomego poszukiwania czegoś ważnego i pociągającego. Każdy człowiek przychodzi na świat z bogactwem pragnień, aspiracji, marzeń i ideałów. Zwykle już małe dzieci mają mnóstwo pomysłów i planów na przyszłość. Okres dorastania jest czasem przeżywania jeszcze bardziej intensywnych pragnień i ideałów. Marzymy wtedy o tym, by kochać i być kochanym, by stać się kimś silnym, uczciwym, niezwykłym, by żyć w przyjaźni z Bogiem i w zgodzie z samym sobą, by cieszyć się uznaniem oraz przyjaźnią ze strony ludzi, by założyć szczęśliwą rodzinę, by mieć ciekawe zainteresowania, fascynujące pasje i hobby. Pragnienia, aspiracje i ideały stają się źródłem radości i entuzjazmu, poszerzają horyzonty, pobudzają do wysiłku i poszukiwań, pozwalają przetrwać ciężkie chwile. Podtrzymują nadzieję na lepsze jutro.

Niestety, w miarę upływu lat pragnienia i aspiracje wychowanków zwykle ulegają zubożeniu lub zniekształceniu. Tracą swój blask i swoją atrakcyjność. Czasami wydają się nierealne lub zbyt trudno osiągalne, by o nie walczyć. Tego typu proces jest w pewnym zakresie nieunikniony. Wiąże się on z zewnętrznymi ograniczeniami i trudnościami, których dziecko doświadcza w kręgu rodzinnym, w szkole, wśród rówieśników. Z drugiej strony każdy z nas przeżywa też rozczarowania, niepokoje i kompleksy związane z własnymi słabościami, zaniedbaniami czy popełnianymi błędami.

Skrajnie niebezpieczna sytuacja pojawia się wtedy, gdy w życiu wychowanka następuje drastyczne zubożenie, a nawet zupełne uśmiercenie podstawowych pragnień, ideałów i aspiracji. Proces ten

następuje zazwyczaj stopniowo. Początkowe bogactwo pragnień i ideałów niemal niepostrzeżenie zostaje zawężone do nielicznych dążeń. Zwykle są one zredukowane do sfery fizjologicznej i emocjonalnej (np. zaspokojenie głodu, doraźna poprawa nastroju, zaspokojenie jakiegoś popędu, odreagowanie napięć). W takiej sytuacji pragnienia i aspiracje nie tylko zostają zredukowane, ale również zniekształcone, gdyż największe z nich (pragnienie życia w miłości, prawdzie, wolności, odpowiedzialności, świętości) są zastąpione przez te, które nie mogą przynieść trwałej satysfakcji i szczęścia.

W drugiej fazie procesu zawężania i zniekształcania pragnień może dojść do sytuacji, w której wychowanek zostaje zdominowany jednym rodzajem dążeń (np. alkohol, seks, narkotyk, pieniądze, władza). Gdy dojdzie do tak skrajnego zredukowania aspiracji, wtedy człowiek staje się niewolnikiem tych nielicznych pragnień, które mu jeszcze pozostały. Pragnienia te stają się monopolistami, gdyż odtąd skupiają i pochłaniają całą energię życiową, którą człowiek wcześniej wiązał z całym bogactwem aspiracji i fascynacji. Nieliczne pragnienia, które jeszcze pozostały, wydają się niezwykle atrakcyjne również z tego powodu, że zniewolony nimi człowiek nie wyobraża już sobie innej drogi do szczęścia. W rzeczywistości zawężenie i zniekształcenie pragnień staje się drogą, która prowadzi w przeciwnym kierunku, czyli do kryzysu i cierpienia. Nałogi i uzależnienia stają się obsesją i niepodzielnym władcą ludzkiego życia. Jeśli ktoś zredukował swoje pragnienia i aspiracje na przykład do chęci posiadania pieniędzy, to poświęci wszystko – łącznie ze zdrowiem, sumieniem i rodziną – byle te pieniądze zdobyć. Podobnie będzie w sytuacji człowieka, którego jedynym pragnieniem jest seks, alkohol czy narkotyk. Taki człowiek poświęci wszystko inne – łącznie z własnym życiem – byle zaspokoić to jedyne pragnienie, które mu jeszcze pozostało.

Jednym z najczęstszych obecnie przejawów dramatycznego zawężenia pragnień jest kierowanie się przez wychowanków zasadą doraźnej przyjemności. W dzieciństwie każdy z nas przeszedł tę fazę. Dla małego dziecka jest ona czymś normalnym, powinna jednak stanowić jedynie fazę rozwoju, a nie stać się sposobem na całe życie. Ktoś, kto kieruje się jedynie logiką przyjemności, nie jest zdolny do tego, by kochać i by ochronić swoją wolność. Przeciwnie, stopniowo staje się coraz bardziej niewolnikiem ciała, popę-

dów, egoizmu, wygodnictwa. Popada w bolesny konflikt z samym sobą, z drugim człowiekiem i z Bogiem. Przeżywa kryzys. Chcąc uciec od bolesnych emocji, które ten kryzys sygnalizują, wchodzi na drogę uzależnienia od alkoholu, narkotyków czy leków psychotropowych, a więc od wszystkiego, co obiecuje powrót do dobrego nastroju. W ten sposób dążenie do doraźnej przyjemności prowadzi do trwałego cierpienia.

Konsekwencją każdego zawężenia pragnień jest najpierw rosnąca naiwność, a następnie uzależnienie i dramatyczne cierpienie. Uzależniony cierpi zawsze. Jeśli uzależnił się od pieniędzy, to cierpi wtedy, gdy ich nie ma. Ale gdy już je zdobędzie, to odkrywa, że nadal jest kimś nieszczęśliwym. Wyciąga wtedy wniosek, że musi zdobyć więcej pieniędzy. Nadal poświęca wszystko, byle tylko stać się jeszcze bogatszym i znów przekonuje się, że nie przyniosło mu to takiego szczęścia, jakiego oczekiwał. Człowiek uzależniony może aż do śmierci nie wyciągnąć oczywistego wniosku, iż pieniądze nie wystarczą mu do tego, by stać się kimś szczęśliwym. Podobna jest sytuacja ludzi uzależnionych od osób, bodźców, rzeczy czy substancji chemicznych. Z każdym dniem stają się oni coraz bardziej zniewoleni, a jednocześnie coraz bardziej rozczarowani. Wcześniej czy później prowadzi to do rozpacz, gdyż ludzie ci odkrywają, że jedyne pragnienie, któremu podporządkowali swoje życie, okazało się toksyczną iluzją.

KONWERSATORIUM LVI

(19 maja 2012)

Czego szukam i do czego dążę w życiu?

Prowadzący: ks. Adam Zelga (proboszcz parafii pw. bł. Edmunda Bojanowskiego), Teresa Stankiewicz (filozof, nauczyciel akademicki) i Marek Stankiewicz (etnograf, antropolog kulturowy), Anna Srebro (prawnik) i Maciej Srebro (biznesmen, poseł na Sejm RP pierwszej kadencji, minister łączności w rządzie Jerzego Buzka), Konrad Falkowski (biznesmen, prezes firmy Granna).

Ks. Adam Zelga

Kiedy na obrazek prymicyjny wziąłem słowa: „Czy ty mnie miłujesz? Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię Kocham”, nie przypuszczałem, że stanie się on mottem ostatniego etapu mojego życia. Piotr Apostoł był mi bliski od dawna. Bo łatwo się zapalał i jeszcze łatwiej gasł. Bo był niepewny i chwiejny, a w chwili zapalu gotów chwycić za miecz, bić się. I oddać życie. Bo łatwo się zaparzał, gdy chodziło o proste wartości – jak prawda... Więc podobnie jak On, ów Rybak, i ja powoli zaczynam wchodzić w misterium słów: „Kiedy byłeś młody, chodziłeś, gdzie chciałeś, ale kiedy się zestarzejesz, inny cię poprowadzi, dokąd nie chcesz...”

Całe życie się z tym zmagalem. Moje wybory nie były jak wybory Pana. Często przed ich podjęciem się chowałem, kluczyłem, uciekałem... Tak było, na przykład, z przyjęciem decyzji, że będę „budowniczym” kościoła. Gdy byłem starzejącym się wikariuszem i podjąłem starania o wyjazd z Polski, nagle Pan oznajmił: „Będziesz proboszczem”. A zaraz potem dodał z naturalnym dla siebie poczuciem humoru: „I wybudujesz kościół”. I ta budowa jakoś idzie. Nie najgorzej... Tak uczyłem się owego „prowadzenia”. Prowadzenia przez Pana. W ubiegłym roku patron mojej parafii, Edmund Bojanowski, poprosił: „Twórcie szkołę dla dzieci z autyzmem”. I znowu pojawiło się pytanie – rozpocząć budowę pleba-

nii czy remont budynku na szkołę. Z decyzją było już łatwiej, bo nauczyłem się przyjmować prowadzenie Pana.

Takie jest moje świadectwo. Proszę o Wasze.

Anna Srebro

Jestem matką czworga dzieci, mam czterech synów. Wydaje mi się trochę za wcześnie mówić na temat, czego szukam i do czego dążę w życiu, bo dopiero jestem w drodze, a MIEĆ szczęśliwe małżeństwo i spełnioną rodzinę, to jeszcze nie wszystko. Każdy z nas, kto ma rodzinę i dzieci, to wie, że codziennie trwa walka o to, żebyśmy byli szczęśliwi. Żebyśmy mogli kiedyś cieszyć się szczęściem naszych dzieci, żeby je dobrze wychować i żebyśmy mogli oglądać tego owoce. Kiedy byliśmy młodszy, przyszedł kiedyś taki moment, że zadaliśmy sobie pytanie, co jest istotne w życiu. Dzisiaj młodzież często ucieka przed pytaniem o swoje powołanie w życiu. Bez zadania sobie tego pytania i próby sformułowania na nie odpowiedzi trudno jest realizować jakieś plany życiowe, które będą opierać się na wartościach.

W młodości stawiałam sobie takie pytania. Kiedy byłam pewna, że chcę założyć rodzinę, to myślałam, jakiego męża chcę mieć.



Anna Srebro wśród panelistów (od lewej Maciej Srebro, od prawej Konrad Falkowski)

Na szczęście udało mi się, że znalazłam dobrego męża i założyliśmy szczęśliwą rodzinę. Ale oczywiście to jest tylko jakaś część życia, bo przecież studiowałam, skończyłam prawo na uniwersytecie w Poznaniu i myślałam, że będę pracować w zawodzie. Równocześnie zawsze myślałam, że jak założę rodzinę, to ona będzie na pierwszym miejscu. Po urodzeniu pierwszego dziecka życie rodzinne pochłonęło mnie bez reszty i odsuwałam myśl, aby wracać do pracy i z trudem godzić rodzinne i zawodowe obowiązki. Mój mąż mnie wspierał i uważał, że jeżeli ja się na to zgadzam, to nie muszę wracać do pracy zawodowej. Dla mnie to było bardzo dobre rozwiązanie. Później się okazało, że z wielu różnych względów chyba najlepsze. Dzięki temu mogłam zaangażować się również w pracę społeczną i prowadzić życie, w którym rzeczywiście można szukać wielu rzeczy, rozwiązywać konkretne problemy i znajdować czas na ich rozwiązanie.

W podejmowaniu dobrych decyzji pomogła mi bardzo formacja Opus Dei, z którą zetknęliśmy się dość wcześnie. Patrząc na wiele zaprzyjaźnionych rodzin czy też młodych ludzi, myślę, że w dzisiejszym świecie jest wiele zasadzek, świat jest skomplikowany, często podaje dziwne rozwiązania i w wielu sytuacjach człowiek powinien mieć dobre kierownictwo duchowe. Może to być oparcie w jakiejś formacji religijnej czy w dobrym księdzu spowiedniku, tak aby nie opierać się tylko na własnych wyborach i na tym, co mnie się wydaje, ponieważ łatwo zafałszować nawet własne sumienie. Dla mnie taką pomocną drogą okazało się zetknięcie z Opus Dei.

Przeczytałam z radością tekst Pawła VI, który został zamieszczony w cytatach, mówiący o obowiązku stałego poszukiwania Boga. Kojarzy mi się to z powszechnym powołaniem do świętości i to bez względu na to, gdzie Pan Bóg nas postawi – w jakich okolicznościach społecznych, rodzinnych czy politycznych; przed jakimi stajemy wyzwaniem. Przed podejmowaniem poważnych decyzji warto myśleć o tym, żeby podobać się Panu Bogu i mieć czyste intencje.

Kolejny fragment, który dostaliśmy do rozważania: „Podsycanie pragnień”. Myślę, że nie do końca tak myślałam w życiu o swoich pragnieniach – co bym jeszcze chciała, jakie jeszcze pragnienie mogłabym zrealizować. Do życia podchodzę nie jako obszar spełniania pragnień, ale jako okazji do służenia innym. Na szczęście

Pan Bóg tak pobłogosławił, że wiele rzeczy udało nam się rozwiązać. To, co mi pomagało w tych chwilach, kiedy było bardzo trudno, to sposób myślenia o życiu. Jestem po to, by służyć i to nie jako cierpiętница, która musi się poświęcać, ale tak, jak Chrystus uczył – z radością i prostotą. Musimy po prostu być dla innych po to, żeby być szczęśliwi. Próbuję każdego dnia i z trudem wiąże różne wyzwania, jakie się teraz pojawiają, kiedy starsze dzieci dorastają i wybierają swoją drogę życiową. Moje codzienne wyzwanie to unikanie sterowania życiem dzieci, a równocześnie, w dyskretny sposób, przygotowanie ich do podejmowania ważnych decyzji.

Maciej Srebro

Myślę, że moja żona powiedziała wiele rzeczy z tych, o których ja chciałem powiedzieć, a ponieważ jesteśmy zgodnym małżeństwem, to zgadzam się z nią w stu procentach.

Sądzę, że kwestia powołania i planu na życie jest kluczową sprawą, gdy chcemy odpowiedzieć na pytanie – czego szukam i do czego dążę w życiu. Jest to często temat naszej refleksji przy okazji świąt Wielkiej Nocy czy jakichś wydarzeń eschatologicznych, z którymi mamy do czynienia, na przykład śmierć w rodzinie czy jakieś nagłe wydarzenie, kiedy zadajemy sobie pytanie,



Maciej i Anna Srebro

czego szukam i po co jestem na tej ziemi. Warto podkreślić, że jest to pytanie, które powinniśmy sobie zadawać codziennie. Zawiera ono w sobie duży ładunek praktyczny, niezależnie od tego, czy naszym powołaniem jest rodzina, małżeństwo, kapłaństwo czy życie zakonne. Zawsze aktualna jest odpowiedź na pytanie, jak wypełniam i realizuję to powołanie i czy staram się je udoskonalić, a w praktycznym życiu jeszcze lepiej je wypełniać. Chcę podkreślić aspekt praktyczny tego pytania, ważny każdego dnia naszego życia. Jak planuję swoje codzienne obowiązki, jak pracuję, czy się nie lenię, czy realizuję swoje zadania, czy rozpraszam się, czy się nie spóźniam, czy daję dobry przykład, szczególnie w rodzinie. To są pytania, które od strony praktycznej wypełniają moją odpowiedź na temat, czego szukam i do czego dążę w życiu.

Uważam, że wszystko to zawiera się w tym, co moja żona mówiła o praktycznym wymiarze życia religijnego. Każdy jest powołany do świętości i każdy powinien w praktycznym życiu tę świętość realizować – w różnych drobnych sprawach – w tym, jak pracuję, jak się uczę, jaki przykład daję innym i jak innych, a szczególnie własną rodzinę, wdrażam do poszukiwania Boga i pokazuję im Go swoim życiem. Nie wstydzę się świadczyć, że jestem człowiekiem wierzącym i religijnym.

Podsumowując, chcę powiedzieć, że zadane nam na wstępie pytanie ma dla mnie wymiar praktyczny i codzienny. Nie jest pytaniem tylko od święta, ale zadaję je sobie codziennie i codziennie próbuję je w praktycznym życiu wypełniać. Jest to dla mnie dążeniem do świętości, dążeniem do tego, żeby zostać zbawionym i żeby zagarnąć niebo.

Konrad Falkowski

Gdy się zastanawiałem, co mam powiedzieć państwu, będąc zaproszony tutaj na to spotkanie, pomyślałem sobie, że moje doświadczenia życiowe mogą być dla kogoś pomocne. Zaczę więc od przedstawienia się. Jestem mężem i ojcem, mam trzy córki. Dwadzieścia lat temu zdecydowałem się razem z żoną założyć firmę. Wcześniej pracowałem jako pracownik naukowy na politechnice, a będąc zachęcony przez naszych polityków, wziąłem sprawy w swoje ręce. Była to dla mnie podstawowa, życiowa decyzja, która zaowocowała, w jakimś stopniu, moim nawróceniem, choć zawsze

uważałem się za osobę wierzącą i religijną. Chcę o tym powiedzieć.

Czego szukam i do czego dążę w życiu? Trzydzieści lat temu moja mama zadała mi pytanie: czego ty chcesz? Miałem wtedy szesnaście lat. Odpowiedziałem jej, że bardzo chciałbym mieć życie harmonijne, żeby nie być rozrywany emocjami i napięciami. Muszę powiedzieć, że całe życie do tego dążyłem, ale...



Konrad Falkowski

Przyklejając się coraz bardziej w swoim życiu do Pana Jezusa, zauważyłem, że wcale nie udaje mi się tak żyć, jak sobie zaplanowałem i do dzisiaj twierdzę, że Pan Bóg prowadząc nas, nie pozwala na życie spokojne, bez troski, ułożone codziennie według tego samego harmonogramu, bez napięć i problemów. Jeszcze do momentu, kiedy urodziły się nasze dzieci, myślałem, że udaje mi się prowadzić takie spokojne, harmonijne życie.

Potem założyliśmy z żoną firmę rodzinną, produkującą gry dla dzieci. Sądzę, że większość z państwa, którzy mają dzieci, znają firmę Granna. Od tego momentu życie moje się zmieniło. Nie udało mi się już żyć według moich założeń, spokojnie i bezproblemowo. Uważałem, że jestem sprawnym, silnym i inteligentnym człowiekiem i sobie poradzę z każdym problemem. Odkąd jednak założyłem działalność gospodarczą, każda decyzja, kiedy musiałem wypłacić pensję swoim pracownikom, kończyła się dylematem, skąd te pieniądze wziąć. Wszystko w zasadzie robiłem słusznie. Kiedy sobie zdałem sprawę, w co wszedłem, przedstawiłem problem mojemu spowiednikowi, który poradził mi zawierzyć firmę Matce Bożej. Zastanawiałem się, dlaczego sam wcześniej o tym nie pomyślałem. Gdy to zrobiłem, przez 20 lat, w czasie których prowadzę firmę, każdego miesiąca, kiedy trzeba wypłacić pensje, nigdy nie zabrakło mi pieniędzy, chociaż były sytuacje bardzo dramatyczne. Przekonałem się, że zawierzenie swoich spraw Panu Bogu, a szczególnie Matce Bożej jest niesłychanie skuteczne. To jest

złudne, co człowiek sobie wyobraża, że w biznesie Pana Boga nie ma. Mało się o tym mówi, ale obracając się w tej sferze, widzę wartość zawierzenia Bogu i mogę o tym świadczyć swoim życiem.

Drugim doświadczeniem, o którym chcę powiedzieć, jest to, że obecność Pana Boga uwidacznia się również w relacjach z ludźmi. Zatrudniam obecnie 80 osób i wielokrotnie miałem różne poważne problemy z pracownikami. Powiem o moim doświadczeniu jako szefa zespołu. Wśród pracujących w firmie trafiają się ludzie o trudnych charakterach, niezdolni we współżyciu, których chciałoby się wyrzucić i zamknąć relacje. Jednak jako człowiek wierzący zawsze rozważam, co mam zrobić w danej sytuacji. Kiedyś, gdy miałem problem z jedną z pracujących osób, poszedłem poradzić się do mojego proboszcza. Posłuchał, co ja mówię i w odpowiedzi otrzymałem jedno krótkie zdanie, jedną książkę i przypomnienie doświadczenia Ojców Pustyni. Oczywiście nie zwolniłem tej osoby. I dzisiaj, kiedy ta osoba wciąż pracuje, widzę, jak zadziwiająco Pan Bóg jest obecny we wszystkich naszych trudnościach, kiedy się tego nawet nie spodziewamy. Kiedy natrafiamy na problemy, jest tuż obok nas i podsuwa nam myśl pójścia do odpowiedniej osoby, od której możemy otrzymać słowo, które On do nas kieruje. Przekazuje nam sygnały przez przyjaciela, spowiednika, a czasem przez osobę, z której strony najmniej się tego spodziewamy. Trudny bliźni jest jak lekarz stawiający diagnozę, który pokazuje, na jakim etapie świętości jesteśmy. To, jak bardzo dajemy się wyprowadzić z równowagi i zdenerwować, pokazuje, jak jesteśmy daleko od Pana Boga, jak bardzo jesteśmy pod wpływem realizowania swoich celów, a nie tych, które stawia nam Bóg.

Jeszcze nawiążę do tego, co napisał Paweł VI, że cele zmieniają się wraz z wiekiem. Zupełnie inaczej patrzymy na każdy dzień, na nasze obowiązki dzisiaj niż kiedyś. Niezwykłych rzeczy dokonuje Pan Bóg przez dodawanie im blasku. Urzekło mnie świadectwo o ojcu Pio, który spowiadał w różnych językach ludzi przychodzących do niego, mimo że nie znał tych języków. Najpierw słuchał, co mówi ta osoba, a jak nie rozumiał, to prosił Anioła Stróża, a ten mu tłumaczył. Jak to przeczytałem, to zrozumiałem, że wszyscy jesteśmy w takiej sytuacji i kiedy mamy problem do rozwiązania, zawsze możemy się spytać naszych wspomóżycieli, do których modlimy się codziennie. Możemy dać sobie tę chwilkę i zatrzymać

się, aby usłyszeć. Staram się tak żyć, bo problemów mam niemało. Każdego dnia szukam zadania, które Pan Bóg stawia przede mną, i codziennie pytam się, co mam z nim zrobić. Staram się jak najdalej odsuwać od siebie swoje własne ambicje i egoizmy. Pragnę identyfikować się z tym, co święty Paweł powiedział „dzisiaj żyję już nie ja, tylko żyje we mnie Chrystus”, to jest moje pragnienie, które wzrasta.

Staram się mówić w pełni szczerze, mając nadzieję, że moje państwu pokazać, że w tym świecie, który wydaje się, że żyje tak, jakby Pana Boga nie było – wcale tak nie jest. Pan Bóg działa, wspomaga. Los dzisiejszego człowieka i jego problemy niewiele różnią się od tego, co było dwa tysiące lat temu. Podobnie jak Abraham, który podjął decyzję, że ma wszystko zostawić i pójść za głosem Boga, tak samo można i dzisiaj. Każdy z nas jest do tego powołany.

Teresa Stankiewicz

Jestem pracownikiem tej uczelni – Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin. Tydzień temu pani rektor zaprosiła mnie do grona prelegentów. Miałam tydzień na przemyślenia. Doszłam do wniosku, że w życiu mam rozmaite zadania: jako matka, żona, nauczycielka, a być może w przyszłości naukowiec. To są zadania, które trzeba w jakiś sposób wypełniać, każde z nich jest trochę inne. Przede mną są dwie drogi: albo robię coś dobrze, albo źle. Od czego zależy wybór drogi? Czy jest jakiś czynnik, od którego ten wybór zależy? Uważam, że istotnym elementem jest moja praca nad sobą, moje kształtowanie siebie. Im więcej we mnie przestrzeni, wolności, im mniej małostkowości, im mniej pesymizmu, czasem też im mniej liczenia tylko i wyłącznie na siebie, mniej dążenia, że za wszelką cenę muszę mieć to, co chcę, tym łatwiejszy wybór właściwej drogi. Przekłada się to również na zdobywanie wewnętrznego spokoju, pozbywanie się rozmaitych kompleksów i wszystkiego tego, co mi przeszkadza w kontaktach z innymi ludźmi. Takim celem, bardzo ważnym na dziś, jest dobre wychowanie naszych dzieci, by byli dobrymi, mądrymi ludźmi, a jakie one będą, zależy również od tego, jaka będę ja, jaki będzie mój mąż, jakie będą relacje między nami i innymi ludźmi.

Zaczynem do myślenia o tym było dla mnie zaproszenie pani rektor, dzięki któremu uświadomiłam sobie, że głównym moim za-

daniem jest kształtowanie siebie samej, po to, żeby potem tym, co w sobie ukształtuje, udoskonale, mogła dzielić się z innymi ludźmi, żebym mogła przekazywać to swoim i też innym dzieciom, uszczęśliwiać swojego męża.

Przyszły mi do głowy dwa symbole – obrazy z Biblii. Jeden przedstawia Boga zawierającego przymierze z Izraelem. Nie rozmawia z niewolnikami, którymi byli w Egipcie, wyzwala ich najpierw, dopiero potem do nich przemawia i zawiera z nimi Przymierze.

Przymierze z ludźmi wolnymi.

Drugi symbol to piękny psalm dawidowy, w którym Dawid mówi: „dajesz mi poznać różne drogi życia i napełniasz mnie radością przed obliczem Twoim”. Tak się złożyło w moim życiu, że szłam różnymi drogami, w czasie których miałam okazję poznawać, jakim jestem człowiekiem, ile dobra rozsięwam wokoło, ile daję poczucia bezpieczeństwa ludziom, którzy ze mną pracują czy którzy są ze mną, na ile jestem w stanie zaangażować się



Teresa Stankiewicz

w różne przedsięwzięcia, które życie stawia przede mną. Bardzo bliska jest mi modlitwa Salomona, który nie prosił Boga o bogactwo czy o władzę, tylko prosił o mądrość i mówił: „dajże mi mądrość, która przebywa z Tobą”. Myślę, że wymieniałam elementy, które są fundamentem, na którym można budować wszystko inne: małżeństwo, rodzinę, relacje z innymi ludźmi i również kształtować swoje życie w obranym kierunku.

Im więcej ode mnie zależy, tym więcej muszę wkładać wysiłku w kształtowanie siebie, żeby inni czuli się dobrze w moim towarzystwie. Być może jest to element dążenia do doskonałości, która jest człowiekowi zadana.

Marek Stankiewicz

Gdy czytałem teksty cytatów, uderzyły mnie słowa Pawła VI. Zacytuje: „Szukać, szukać – oto program kultury, nauki, pracy, po-

lityki. Im więcej się znajduje, tym więcej się szuka. Im więcej się znajduje, tym bardziej pragnie się i ma się nadzieję znaleźć. Jest to dowód, że zawsze czegoś brak człowiekowi, że chce on i zawsze musi szukać”.

W moim życiu pojawiło się słowo-klucz – Afryka. Poprzez Afrykę dotarłem do tego punktu, w którym jestem dzisiaj. Spędziłem kilka lat w Afryce i doświadczyłem pustyni, dosłownie i w przenośni. Pracowałem w rejonie Pustyni Kalahari. Zetknąłem się tam



Marek Stankiewicz

z zupełnie odmienną mentalnością czarnego człowieka, w kraju, który był bezpośrednio po transformacji ustrojowej. Poznałem rzeczywistość czarnych ludzi, którzy żyli inaczej, mimo że ubierali się tak jak my, próbowali myśleć tak jak biały człowiek.

Pustynia to miejsce szczególne, gdzie człowiek staje wobec rozmiaru natury. Ludzie tam żyjący ciągle podróżują, ciągle czegoś szukają, tak jak ja niegdyś nieustannie szukałem czegoś w moim życiu. W tym, co znalazłem, mieści się i Afryka, i moja żona, a również wysiłek intelektualny i duchowy, dąże-

nie do tego, aby przemienić siebie w kogoś lepszego i uczciwszego. Widziałem ludzi podróżujących, oczekujących na poboczach drogi, w kurzu, w pyłe, w słońcu, całymi godzinami. Podróżowali oni nieraz setki kilometrów w poszukiwaniu pracy, na przykład do kopalń złota, aby zapewnić byt rodzinie. Starali się zaistnieć w nowej rzeczywistości, zamieszkując obrzeża miast (tzw. locations), budując domy z czego się dało na dawnych wysypiskach śmieci. Zakładali substytuty rodzin.

Odwiedzałem tych ludzi w ich lepiankach w buszu, gdzie biały człowiek był widywany nieczęsto. Starłem się uczyć ich języka i kiedy odzywałem się, ja, biały człowiek, w ich języku, to nawiązywały się między nami relacje i odkrywały mi się różne strony ich życia. Równocześnie, nawet przy wielkim wysiłku i chęciach, nigdy

nie udało mi się dotrzeć do sedna mentalności czarnego człowieka. Zrozumieć ich styl myślenia. Pozostawało obserwować i uczyć się, jak żyć na pustyni.

To jest całkowicie inna rzeczywistość, mimo że też doświadczałem pustyni, na której oni przebywali. Kiedy przemierzałem setki kilometrów po sawannowych drogach, wydawało mi się, że jestem wolny, ale ciągle czegoś szukałem, szukałem siebie. Pustynia jest jak papierek lakmusowy, który wskazuje na słabości człowieka, wyciąga wszystko, co jest nie w porządku w człowieku. W tej drodze, przeżywając zmagania ze sobą, spotkałem w którymś momencie moją przyszłą żonę. Chciałem być wolnym człowiekiem, a musiałem zmienić całe swoje życie i przywyknąć do realiów życia w rodzinie. Dziś to ja spełniam wszelkie obowiązki domowe, żona pracuje, a ja jestem w trakcie przygotowywania doktoratu i poszukiwań pracy.

Jedyną rzeczą, którą w Afryce ludzie mają w nadmiarze, jest czas. Dotykamy tutaj zupełnie innego wymiaru czasu, mającego związek z afrykańską ontologią. Afrykanin jest „zawsze na czas.” To jest ta rzecz, której my w Polsce nie mamy, bo zajmujemy swoje życie milionem różnych czynności i przede wszystkim uciekamy od siebie. Boimy się nadmiaru czasu, ciszy pustyni, gdyż pojawia się ryzyko usłyszenia niemiłych rzeczy i prawdy o sobie czy też konieczność zmiany życia. Pytałem siebie często, gdzie jest mój dom i gdzie jest moje miejsce, i uważałem, że moim miejscem jest Afryka. Tam człowiek inaczej funkcjonuje. Dzisiaj staram się tak jak oni być zawsze „na czas” i myślę, że to jest duże osiągnięcie. Ważna jest filozofia czarnych ludzi, upraszczając problem, egzystencji ludzkiej: „przeszłość, jeżeli jej nie pamiętamy, to jej nie było; ważna jest terażniejszość – wydarzenia, które dzieją się teraz; przyszłość – dalsza niż parę miesięcy – jest pojęciem pustym i obojętnym.” Tak sformułowane zagadnienie czasu sprawia, że czarny człowiek żyje tu i teraz. My zaś najczęściej myślimy o przyszłości, staramy się zapewnić sobie i swoim dzieciom jakieś w miarę przyzwoite „jutro”.

Dyskusja

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Nawiążę do tego, co mówił mój przedmówca. Podobnie przez parę lat moim terenem badawczym była Sahara. Muszę powiedzieć, że mam podobne wspomnienia jak pan Marek. Pustynia zachwyca swoją przestrzenią, spokojem i kolorytem. Równocześnie jest ogromnie trudno przekazać żyjącym tam ludziom sposób właściwego gospodarowania posiadanymi zasobami, z których najważniejsza jest woda. To, co się będzie działo „jutro” (określone perspektywą najdalej dziesięciu lat), nikogo nie obchodzi. Inszallah – z pomocą Allaha.

To, do czego dążymy w życiu, ulega zmianie w czasie. Powiem na swoim przykładzie. Najpierw studia, potem doktorat, kolejno rodzina. Były to okresy o różnych priorytetach. Gdy przyszły na świat dzieci, to tak starałam się ustawić terminarz zajęć na uniwersytecie, aby jak najwięcej być obecna, kiedy dzieci są w domu. Przez 15 pierwszych lat były w domu również kolejno dwie gospoście (bardzo zacne osoby), dzięki którym dzieci nasze nie były nigdy dziećmi z kluczami na szyi. A potem, gdy dzieci dorosły, założyły własne rodziny i wywędrowały z naszego domu, priorytetem dla mnie stała się praca badawcza i tworzenie zespołu badawczego. Wtedy podstawowym moim celem było stworzenie takiego klimatu w zespole, aby praca dawała wszystkim radość i satysfakcję, a równocześnie aby wzrastała przyjaźń między ludźmi. Niestety chanie pomaga mi w tym modlitwa do Ducha Świętego z prośbą o Jego dary, a szczególnie o mądrość, radę i umiejętność. Od czasu gdy zostałam rektorem Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin, koronką do Ducha Świętego jest bardzo częstą moją modlitwą. I zawsze otrzymuję dary, o które proszę.

W kontaktach z innymi ludźmi człowiek spotyka na ogół życzliwego rozmówcę, ale czasem trafiają się też ci „nieznośni”. Miałam kiedyś taką sytuację, że moja koleżanka z uniwersytetu, osoba trudna, zrobiła mi dość duże świństwo. Byłam na nią oburzona, na szczęście pomógł mi wtedy mój mąż, który wlał oliwę na moje rozgrzane emocje. Po przemyśleniu sprawy przesłałam nad nią do porządku dziennego. Po jakimś czasie dowiedziałam się od jakiejś trzeciej osoby, że moja koleżanka, która mi to świństwo zro-

biła, powiedziała jej, że się dziwi, że wtedy ostro nie zareagowałam. Potem spotkałyśmy się w czasie pielgrzymki do Częstochowy i ona mi podziękowała, bo ten moment sprawił, że postanowiła pracować nad zmianą swojego zachowania.

Bogdan Motelski

W młodym wieku, gdy planujemy swoją przyszłość, myślimy o tym, żeby się rozwijać, szukać swego powołania. W wyniku takiego myślenia decydujemy, jakie – naszym zdaniem – jest to powołanie. Bywa, że powołanie, o którym zdecydowaliśmy, jest odgórnie zmieniane. A przecież wybraliśmy dojrzałe. To, co nas spotyka w życiu (w wyniku powołania), to normalne życie, rodzina, praca z tymi wszystkimi osiągnięciami i kłopotami, które się zdarzają. Trzeba umieć poradzić sobie z tymi napotykanymi trudnościami i Pismo Święte może nam w tym pomóc. Jeśli mam jakiś kłopot, to im więcej myślę o Biblii, im wcześniej zawierzę Bogu, tym lepiej. Tym szybciej okazuje się, że kłopot znalazł rozwiązanie. Ja nawet nie staram się zrozumieć tego, z czym sobie nie radzę. Parę dni mija i okazuje się, że wszystko wraca do porządku. Trzeba trwać na tej modlitwie, takiej modlitwie kontaktu między mną a Bogiem.

Pani wspomniała, że zastanawiała się nad swoim powołaniem. Nasza cywilizacja zachęca nas, byśmy nie byli dojrzałymi i nie zastanawiali się nad naszym powołaniem. Uważam, że jest naszą rolą, żeby do tego zachęcać wbrew tendencjom współczesnej cywilizacji.

Nawiązując do wspomnień pana Marka z Afryki, chciałbym uzupełnić wyjaśnienie – dlaczego nie potrafimy zrozumieć tych ludzi. Okazuje się, że u niektórych ludów nie ma pewnych pojęć podstawowych i abstrakcyjnych. Nie można ich im wytłumaczyć. Fragmenty tego niezrozumienia trafiają się nawet w mieszanych – religijnie lub kulturowo – rodzinach i trzeba się z tym pogodzić.

Teresa Stankiewicz

Pan powiedział, że nasza kultura nie tworzy warunków, by być dojrzałym. Zgadzając się z panem, uważam, że jest to katastrofa. O istocie człowieka w naszym myśleniu postmodernistycznym, które króluje, twierdzi się, że „znacysz tyle, ile przeżyjesz”. W mediach pokazuje się celebrytów, o których trudno powiedzieć, czy wnoszą coś sensownego, natomiast istnieją o tyle, o ile przeżywają nasz podziw, mówienie o nich. To jest miarą ich życia, w któ-



Teresa i Marek Stankiewicz

rej nie ma miejsca na dojrzałość. U młodych ludzi, których uczymy, często można zaobserwować niski poziom odpowiedzialności i brak potrzeby bycia dojrzałym, ukształtowanym człowiekiem. Liczy się ilość i jakość przeżyć, im więcej, tym lepiej.

Krystyna Mroczek

Jestem absolwentką studiów geograficznych na Uniwersytecie Warszawskim i odkąd pamiętam, to chciałam coraz więcej wiedzieć. Jak napisał Paweł VI „im więcej się szuka, tym więcej się znajduje”. Mogłabym o sobie powiedzieć, że im więcej wiem, tym bardziej wiem, że coraz więcej nie wiem i coraz więcej wiedzieć chcę.

Po studiach chciałam pracować naukowo, robić doktorat, z różnych powodów nie wyszło, poszłam do pracy blisko miejsca zamieszkania, do szkoły podstawowej. Chciałam przekazać uczniom nie tylko wiedzę, ale też sposób jej zdobywania. Nauczyć ich się uczyć ze zrozumieniem, a nie tylko pamięciowo. Założyłam rodzinę, przyszły na świat dzieci i chcieliśmy im z mężem przekazać, żeby byli ludźmi mądrymi, uczciwymi, wrażliwymi na bliźnich i wiernymi Bogu. Dzieci dorosły, dziś odpowiadają same za siebie. Czy mi się udało – czas pokaże.

Jeśli chodzi o szkołę, to pracowałam w zespole szkół – szkoła podstawowa i gimnazjum. Dziś obserwuje się, że młodzież w gimnazjum jest coraz mniej odpowiedzialna i ma mniej chęci do nauki, a nauczycieli traktuje jak wrogów. W początkach mojej pracy tego jeszcze nie było. Życie jest dla mnie służbą najbliższemu, otoczeniu, Oczywiście, cały czas w relacji z Bogiem. Jemu zawierzałam i zawierzam wszystkie trudne sprawy i jestem wdzięczna Mu za pomoc.



Krystyna Mroczek

Jan Mroczek

Postawienie pytania, które jest tematem dzisiejszego konwersatorium, wymaga kreatywności i autorefleksji. Trzeba umieć zadać sobie to pytanie i zdać sobie sprawę, że czegoś szukam, a nie jestem tylko elementem kultury konsumpcyjnej. Nie trzeba żyć z dnia na dzień, ale trzeba mieć dalszą perspektywę. Wymaga jej szukanie i działanie w życiu, nie tak jak w przypadku celebrytów, którzy istnieją, jeżeli tylko my ich widzimy, jeżeli są w centrum za-



Sluchacze, w ostatnim rzędzie Jan i Krystyna Mroczek

interesowania. Szukanie i działanie to jest osobista, prywatna sprawa i każdy powinien sam sobie odpowiedzieć na te pytania. Jest to etap długofalowy, bo wyznacza drogę postępowania na całe życie, według tego mamy żyć. To pytanie jest bardzo ważne dla młodych ludzi. Niestety, młodzież często nie potrafi sobie zadać tego pytania. Nie potrafi, bo albo nie chce, albo dlatego, że tak została nauczona. Brak odpowiedzialności będzie skutkowało tym, że odpowiedź na to pytanie będzie coraz trudniejsza.

Anna Srebro

Prawdą jest, że gdy rozmawiamy na te tematy, stwierdzenia są dość pesymistycznie, szczególnie w odniesieniu do ludzi młodych.



Anna Srebro

Uważam jednak, że mimo wszystko nadzieję można pokładać w tym, żeby uczyć młodych ludzi modlitwy. Żeby zobaczyć, co mam robić w życiu, to trzeba zaufać, mieć odwagę podjąć trudne wyzwania. Można mieć to tylko z natchnienia Ducha Świętego i w pełnej ciszy, żeby móc usłyszeć Jego głos. Nasze życie jest często obłądne w tym pośpiechu, w tym zaganianiu i braku czasu dla drugiego człowieka. To jest oczywiste, jeśli się ma stale słuchawki na uszach, telewizor z kilkudziesięcioma kanałami, internet, gdzie jest masa informacji, z których często nic nie wynika i które nie docierają do głębi serca młodego człowieka. Dlatego trzeba uczyć już małe dzieci odcinać się od tego natłoku.

I każdy z nas musi uczyć się modlitwy. Jest ta droga, która daje nadzieję. Wciąż jest dużo ludzi, którzy ją wybierają. Jest szansa, że również ludzie młodzi, opierając się na Bogu, odkryją swoją drogę.

Marcin Borzęcki

Chciałbym potwierdzić znaczenie formacji duchowej. Jestem od dziewięciu lat na Drodze Neokatechumenalnej, jestem ministrantem od 14 lat i skończyłem studia teologiczne. Formacja duchowa, jaką otrzymałem, bardzo pomogła mi i pomaga do dziś. Wi-

dzę, jak bardzo Bóg mnie wspiera w moim codziennym życiu i w moich zmaganiach czy też problemach. Oparcie w Bogu i stawianie Go na pierwszym miejscu i to, że mogę się do Niego modlić, wołając jak ślepiec spod Jerycha „Jezusie, Synu Dawida, ulituj się nade mną”, bardzo mi pomaga, by się nie załamywać, nie poddawać się. Wierzę, że On zawsze mi pomoże wyjść z każdej trudnej sytuacji. Wielokrotnie doświadczyłem w moim życiu Jego pomocy. Jestem wdzięczny Bogu, że dał mi wspólnotę, możliwość słuchania Jego słowa oraz poznania ludzi świeckich i księży, których spotykam na drodze. Ci ludzie są dla mnie też żywym dowodem tego, że Pan Bóg działa, że jest, że się opiekuje i nawet z najcięższych sytuacji może wyprowadzić dobro.

Jestem wdzięczny Bogu za to, co mi dał, ale też daje każdego dnia, nawet za wydarzenia, które nie do końca rozumiem czy też które nie do końca jestem w stanie zaakceptować, jak na przykład ciężka, wręcz tragiczna sytuacja finansowa, brak pracy, brak perspektyw na dalsze życie, czasem niemożność rozeznania powołania. Wiadomo, każdy z nas ma krzyże. Trzeba pamiętać, że są one nam dane dla naszego zbawienia i jeśli zawierzmy te problemy Bogu, jeśli zaufamy, to te nasze problemy mogą stać się krzyżami chwalebnyymi i Bóg naprawdę może zdziałać cuda. Dla Niego nie ma rzeczy niemożliwych. Abraham stał się z nieplodnego starca ojcem narodów dlatego, że zawierzył Bogu i to też jest dowód na to, że On naprawdę działa. Trzeba tylko umieć dostrzec to działanie, uwierzyć i zaufać Bogu.

Marek Stankiewicz

Wracając do Afryki i jej mieszkańców, dodam, że czarny człowiek nie dzieli rzeczywistości na duchową i cielesną, całe jego życie jest umieszczone w kontekście duchowym. Wszystko, co robi, ma odniesienie religijne, do duchów zmarłych przodków, do tych, którzy odeszli. Bo Bóg stworzył świat, lecz my Go nie znamy, a nasi przodkowie to są ci, których znaliśmy, ale odeszli. Z drugiej stro-



Marcin Borzęcki

ny, jest tam wielu czarowników, którzy przychodzą i formują życie religijne. Jest też dużo różnych kościołów i sekt. Tam każdy może sobie założyć „kościół”, tylko jest kwestią, czy będzie miał pieniądze na stroje dla jego członków. I jeśli każdy z nas skoncentruje się na zmaganiu się z samym sobą w tym kontekście, to jest jakaś szansa, że nie straci czasu.

Elżbieta Mycielska-Dowgiałło

Kończąc ostatnie Konwersatorium w bieżącym roku akademickim, dziękuję bardzo wszystkim panelistom i uczestnikom i zapraszam na następne nasze spotkanie w nowym roku akademickim w trzecią sobotę października.

Spisał z nagrania Marcin Borzęcki



Najmłodszy słuchacz z mamą – Teresą Stankiewicz

Spis treści

„Odpowiedzi na trudne pytania dzisiejszego świata”

Tom pierwszy, 2005/2006

I. „Czy angażować się w politykę” – ks. Adam Zelga, Jacek Cichocki

II. „Jak pogodzić rolę ojca, matki z karierą zawodową?” – ks. Adam Zelga, Anna i Łucjan Sokołowski

III. „Czym dla współczesnego człowieka jest modlitwa?” – ks. Adam Zelga, Magda i Wojtek Wicher, Jacek Grabowski, Maks Pudłowski, Ania Poglód

IV. „Wolontariat – służba potrzebującemu” – ks. Adam Zelga, Janina Fabisiak, Iwona Iwińska, Małgorzata Wielopolska

V. „Czym we współczesnym świecie jest jałmużna?” – ks. Adam Zelga, s. Małgorzata Chmielewska, Janina Ochojska, ks. Mieczysław Jaworski

VI. „Czym jest dla mnie post i wyrzeczenie?” – ks. Adam Zelga, ks. Krzysztof Sielski

VII. „Sport w przesłaniu Ojca świętego” – ks. Adam Zelga, Robert Korzeniowski

VIII. „Odpowiedzialność – jak ją rozumiem?” – ks. Adam Zelga, Sławomir Ratajski, Ryszard Szaniawski, Jacek Waksmundzki

Tom drugi, 2006/2007

IX. „Prosta droga w chaosie dzisiejszego świata” – Adam Pietrzak, ks. Józef Maj, Robert Tekieli, Marcin Jędrzejczak

X. „Czy małżeństwo katolickie jest przeżytkiem?” – ks. Adam Zelga, Anna i Krzysztof Łoskotowie, Agnieszka i Sławomir Jaworscy

XI. „Czy rodzina może obronić ład społeczny?” – ks. Adam Zelga, Jolanta i Tadeusz Epszteinowie, Maria i Jerzy Berlińscy, Krystyna i Grzegorz Styczkowie

XII. „Jakie wartości wynieśliśmy z domu rodzinnego?” – ks. Adam Zelga, Paweł P. Piotrowicz, Aleksander Ciepela, Jerzy Górski, Zofia Epsztein, Filip Osmański, Łukasz Pilch

XIII. „Prawda i kłamstwo w naszym życiu” – ks. Adam Zelga, Ewa i Maciej Bednarkiewiczowie, Tomasz Terlikowski, Marian Wiśniewski

XIV. „Co dziś dla nas znaczy >>dzień święty święcić?<<” – ks. Adam Zelga, Irena i Maxymilian Byliccy, Agnieszka i Jan, Maria Jackowscy, Andrzej Ciepela

XV. „W czym wyraża się współczesny patriotyzm?” – ks. Adam Zelga, Anna Radziwiłł, Izabela Dzieduszycka, Tomasz Borecki, Maciej Dąbski

XVI. „Nasz stosunek do innych ludzi: życzliwy, obojętny czy wrogi?” – ks. Adam Zelga, Krzysztof Dowgiałło, Grzegorz Nurkiewicz, Jacek Waksmundzki

Tom trzeci, 2007/2008

XVII. „Czy byliśmy kochani w dzieciństwie i jak to wpływa na nasze dorosłe życie?” – ks. Piotr Hartkiewicz, Krystyna Dylík, Sabina Zalewska

XVIII. „Nagroda czy kara są ważniejsze w wychowaniu?” – ks. Adam Zelga, Róża Piwoni-Cieślińska

XIX. „Czy puste nakrycie przy wigilijnym stole jest dla nas wyłącznie symbolem?” ks. Zdzisław Wojciechowski, Anna Grocholska, Maria Górka-Zabielska

XX. „Jaki według ciebie powinien być proboszcz w twojej parafii?” – ks. Adam Zelga, ks. Tadeusz Aleksandrowicz, Teresa Kapeła, Anna i Łucjan Sokołowscy, Krzysztof Olęcki

XXI. „Co dla nas znaczy przykazanie »nie kradnij?«” – ks. Adam Zelga, ks. Piotr Hartkiewicz, Maria Rotkiel

XXII. „Czy potrafimy przyjmować dary z wdzięcznością?” – ks. Piotr Hartkiewicz, Grzegorz Gruca

XXIII. „Jakie znaczenie ma dla mnie cisza?” – ks. Adam Zelga, s. Stella Drużdżel, Wojciech Brański, Krystyna Dolebska, Jerzy Rakowicz, Andrzej Lipski

XXIV. „Jaką wartość ma dla mnie dane słowo?” – ks. Zdzisław Wojciechowski, Piotr Bejnarowicz, Jacek Krawczyk, Franciszek Podlacha, Jacek Waksmundzki

Tom czwarty, 2008/2009

XXV. „Czy jestem świadomym członkiem społeczeństwa obywatelskiego?” – ks. Adam Zelga, Dorota i Jacek Cichoccy, Rafał Miastowski, Krzysztof Zanussi

XXVI. „Czy starość Panu Bogu się udała?” – ks. Adam Zelga, Wiesław Chrzanowski, Krystyna Długosz-Kurczabowa, Izabela Dzeduszycka

XXVII. „Czy oferta handlowa zabija w nas ducha świętowania (mieć czy być)?” – ks. Adam Zelga, Aleksandra Siewko, Krzysztof Tyszowiecki, Mikołaj Wróblewski, Marek Łuszczyna

XXVIII. „Czy potrafię w pełni zaufać Bogu i ludziom?” – ks. Adam Zelga, ks. Tomasz Bieliński, Maria Berlińska

XXIX. „Czy to co robię uważam za swoją misję?” – ks. Adam Zelga, Robert Kościuszko, Grzegorz Polak, ks. Tomasz Szyszka

XXX. „Jak wpływa na mnie posiadanie władzy i/lub sławy?” – ks. Adam Zelga, Marek Kamiński, Rafał Muchacki, Przemysław Babiarz, Dariusz Kowalski

XXXI. „Czym mnie wzbogaca sport i turystyka?” – ks. Adam Zelga, Jerzy Engel, Ewa Twarowska, Jarosław Prugar, Tomasz Leżajski, Krzysztof Wojtkowski

XXXII. „Moja droga do Pana Boga”- ks. Adam Zelga, Monika i Krzysztof Oczkowscy, Zenon Kosicki, Małgorzata Balicka, Jarosław Babiński

Tom piąty, 2009/2010

XXXIII. „Czy potrafię dostrzec ludzi słabszych od siebie (starych, chorych, dzieci...)?” – ks. Adam Zelga, Paweł Wdówik, Krystyna Mrugalska, Rafał Strent, Jarosław Kalinowski

XXXIV. „Co dla mnie znaczy Boży nakaz: Czyńcie sobie Ziemię poddaną?” – ks. Adam Zelga, Andrzej Zalewski, Tomasz Borecki, Joanna Angiel, Iwona Waksmundzka

XXXV. „Kto jest dla mnie autorytetem i dlaczego?” – ks. Zdzisław Wojciechowski, Franciszek Kampa, Małgorzata i Jacek Grabowscy, Maciej Dąbski, Anna Ciepela

XXXVI. „Co dla nas znaczy fragment Modlitwy Pańskiej: Odepść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom?” – ks. Adam Zelga, Rafał Wieczyński, Sebastian Domagała, ks. Włodzimierz Kwieciński, Tadeusz Pieńkowski

XXXVII. „Czy wiara w Boga ma wpływ na moje codzienne życie?” – ks. Adam Zelga, Jakub Papierski, Monika Nagórko, Leszek Marks

XXXVIII. „Czym jest dla mnie i jaka powinna być praca zawodowa, społeczna, domowa itp.?” – ks. Adam Zelga, Maria i Witold Płotczykowie, Tomasz Berent, Andrzej Ciepiała

XXXIX. „Czy jestem szczęśliwa/y i czy potrafię dzielić się moim szczęściem z innymi?” – ks. Adam Zelga, Zofia Zielińska, Ewa Błaszczak, Paweł Szczęsny

XL. „Czy liczę się z drugim człowiekiem, czyli miłość bliźniego w praktyce?” – ks. Adam Zelga, Zdzisław Bielecki, Alojzy Witeńska, o. Benedykt Malewski, s. Kazimiera Fleran

Tom szósty, 2010/2011

XLI. „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną – co to znaczy w moim życiu?” – ks. Adam Zelga, ks. Eugeniusz Guździół, Radosław Pazura, Dorota Kaczmarowska

XLII. „Jakie są dla mnie granice kompromisu?” – ks. Adam Zelga, Andrzej Mastalerz, Andrzej Filipiak, Jerzy Kijowski, Krzysztof Haman

XLIII. „Co dla mnie znaczy przykazanie >Nie cudzołóż<?” – ks. Adam Zelga, Sylwester Laskowski, Magda Korzekwa

XLIV. „Czy potrafię śmiać się... również z siebie?” – ks. Piotr Hartkiewicz, ks. Bogusław Kowalski, Katarzyna Łaniewska

XLV. „Jakim powinien być człowiek, którego nazywam swoim przyjacielem i jakim ja sam jako jego przyjaciel?” – ks. Adam Zelga, ks. Marek Dziewiecki, Maria i Mateusz Środoń, Paweł Zajac

XLVI. „Czy przeżyte cierpienie ubogaciło mnie wewnętrznie?” – ks. Adam Zelga, Magdalena i Piotr Konczewscy, Krzysztof Ziemięc

XLVII. „Czy doceniam otrzymane błogosławieństwo i czy nie skąpię go innym?” – ks. Adam Zelga, o. Wojciech Jędrzejewski OP, Jan i Dorota Szubscy, Zenon Kosicki

XLVIII. „Czy Dekalog stosuję w życiu w całości, czy wybiórczo?” – ks. Adam Zelga, Adam Pietrzak, Irena i Jerzy Grzybowski

Wydawnictwo
Szkoły Wyższej Przymierza Rodzin w Warszawie
www.swpr.edu.pl
swpr@swpr.edu.pl
22 644-07-97

Wydawnictwo SWPR wydaje zarówno książki jak i wydawnictwa ciągłe i seryjne. Pełen spis wydanych pozycji znajduje się na stronie internetowej. Książki można zamawiać drogą internetową. Poniżej znajdują się tylko wybrane pozycje:

Z zakresu pamiętników i wspomnień:

- KUCEM NA URSYNÓW – *Izabela Dzieduszycka* (2011 r.)
- SPOTKANI NA DRODZE – *Leszek Starkel* (2011 r.)
- CHWILE CZASU MINIONEGO – *Andrzej Mycielski* (2012 r. – wydanie trzecie, rozszerzone)
- CI, O KTÓRYCH POWINNIŚMY PAMIĘTAĆ. Fascynujące życiorysy Polaków rozsianych po świecie, tom I, II i III – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2010, 2011, 2012 r.)
- 50 LAT WSPÓLNOTY PARAFIALNEJ OPATRZNOŚCI BOŻEJ NA RAKOWCU W WARSZAWIE, 1962-2012 – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2012 r.)

Z zakresu rozpraw i podręczników:

- PODSTAWY METEOROLOGII I KLIMATOLOGII – *Urszula Kossowska-Cezak* (2007 r.)
- BADANIA CECH TEKSTUALNYCH OSADÓW CZWARTORZĘDOWYCH I WYBRANE METODY OZNACZANIA ICH WIEKU – *pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło* (2007 r.)
- CHEMIA DLA PRZYRODNIKÓW (drugie wyd.) – *Hanna Rember-towicz* (2010 r.)
- CZŁOWIEK I PAIDEIA. REALISTYCZNE PODSTAWY FILOZOFII WYCHOWANIA (drugie wyd.) – *Mikołaj Krasnodębski* (2009 r.)

Z zakresu publicystyki społecznej:

- ODPOWIEDZI NA TRUDNE PYTANIA DZISIEJSZEGO ŚWIATA –
pod red. Elżbiety Mycielskiej-Dowgiałło, tom I – VI (2006 –
2011 r.)

Z zakresu poezji:

- KIEDY BĘDĘ DO CIEBIE SZEDŁ – *Marek Antoni Wasilewski*
(2010 r.)
- NA GEOGRAFICZNYCH ŚCIEŻKACH ŻYCIA – *Joanna Angiel*
(2012 r.)